



Love me Never

SARA WOLF



Love me Never

Sara Wolf

Przekład
JULIA WOLIN



*Mojej mamie, D i wszystkim innym dziewczynom, które musiały stawić czoło
potworom.*

Jesteście niewiarygodnie odważne i silne, a ja jestem na zawsze z wami.

Rozdział 1

3 lata, 9 tygodni, 5 dni

Gdy miałam sześć lat, tata powiedział coś, co okazało się prawdą: każdy człowiek ma własną listę celów do osiągnięcia.

Stworzenie poniższej zajęło jedenaście lat, ale dzięki pewnemu dupkowi, który pojawił się w moim życiu, wreszcie jest ukończona:

1. Nie mówić o miłości.

2. Nie myśleć o miłości.

3. Myślenie i mówienie o miłości prowadzi do Miłości, która jest wrogiem. A z wrogiem nie należy się bratać. Nawet jeśli ciacha w filmach sprawiają, że miłość wydaje się czymś miłym, rozkosznym i kuszącym, nie dajcie się zwieść. To największe na świecie zło, najgroźniejszy wróg powołany do życia przez napompowanych hormonami dojrzewających kretynów. To Joker, Lex Luthor, ten spaślak, który zawsze zadziera z gangiem Scooby-Doo. Ostateczny wróg w tej głupiej grze komputerowej, którą nazywacie życiem.

Każdy gość na imprezie u Avery Brighton też ma swoją listę, ale większość tych list wygląda identycznie i przedstawia się następująco:

1. Nawalić się.

2. Nawalić się jeszcze bardziej.

3. Postarać się nie zwymiotować na kogoś, kto mi się podoba.

4. Spróbować zaliczyć kogoś, kto mi się podoba, czyli tego, na kogo staram się nie zwymiotować.

To niezawodna lista, którą jest w stanie zrealizować nawet kretyn. Dzięki niej podobają nam się wszyscy, więc nie wymiotujemy na nikogo, a potem próbujemy zaliczyć każdego. Idealna lista dla ludzi, którzy oglądają za dużo telewizji, lubią się schlać do nieprzytomności i obściskiwać z kimś, kogo potem nie będą pamiętać. Z jej powodu wszyscy tu są nieznośni. Zwłaszcza chłopcy. Jeden obejmuje mnie ramieniem, jest czerwony na twarzy i mruczy coś sugestywnie o tym, żebyśmy znaleźli spokojniejsze miejsce.

Nie ma pojęcia, kim jestem. I nie wie, przez co przeszedłam.

Jest idiotą. Ale, żeby mu oddać sprawiedliwość, większość osób tutaj to idioci.

Sznuruję usta i odpycham go, a potem szybko znikam w kuchni. Wszyscy tutaj są zbyt zajęci piciem, żeby kręcić z dziewczynami. Nie, żeby często ktoś ze mną kręcił. To nadal coś całkiem nowego, bo mało kto podrywa grube laski, a ja taka właśnie byłam. Gruba.

Poprawiam koszulkę z Florence and the Machine i upewniam się, że zakrywa co trzeba. Oślepienie wszystkich „fajnych” w East Summit High nie jest najlepszym sposobem na zdobycie znaczących przyjaciół. Albo w ogóle jakichkolwiek. Wszystko mi jedno. Boże, prawda jest taka, że na tym etapie przystałabym nawet na wroga. Jak się nie ma kotwicy, liceum zdające się być bezkresnym morzem, jest najbardziej gównianym miejscem świata.

– Isis! – Sunie ku mnie pijana dziewczyna. Czarne włosy kleją jej się do spoconej twarzy. – Czeeeeś! Jak się... Co tu... Robisz?

– Brawo! – ryzykuję żart, a ona chichocze.

– Jestem Kayla. Poznałyśmy się na historii... planety.

– Na historii powszechnej? – podsuwam.

– Tak! – klaszcze, a potem wskazuje na mnie palcem. – Jesteś naprawdę bystra.

– Jak nie przestaniesz, zaraz będę mokra. – Subtelnie stabilizuję jej rękę, w której niepokojąco huśta się czerwona szklanka z piwem. Ostrzegawczo zrosiła już podłogę i moje dzinsy.

– Będiesz mokra? – Zaciska powieki i uśmiecha się. Gdy nie reaguję, powtarza.

– Co robisz?

– Mrugam!

– Tam, skąd pochodzę, mówi się na to: upijam się.

– Pijana? – Zaczyna się śmiać i spada na mnie kilka kropli piwnej śliny. – Ani odrobinę!

– Słuchaj, jesteś naprawdę... – milknę, bo Kayla beka. – Super, że pogadałaś z dziwną nową dziewczyną, ale chyba powinnaś się położyć. Albo najlepiej cofnąć w czasie. Do epoki sprzed wynalezienia alkoholu.

– Śmieszna jesteś! Kto cię zaprosił?

– Avery.

– Czyli znów to robi. – Kayla wybucha śmiechem. – Nie pij ponczu!

– Co robi?

– Zaprasza na imprezy nowych. Jeśli przez cały wieczór się nie popłaczą ani nie zsikają w majtki, akceptujemy ich.

Super. Siedem godzin picia paskudnego piwa, kupionego przez czyjegoś starszego brata, żeby rozstrzygnąć, kto się nadaje do zaakceptowania, a kto nie. Powinnam była się tego spodziewać po nudnym, grzecznym przedmieściu w Ohio.

– A co jest nie tak z ponczem? – Zerkam przez ramię na gigantyczną plastikową misę wypełnioną rubinową cieczą.

– Jest tam sproszkowany środek prze... przecze... proszek na kupę! – kończy Kayla. Kilku chłopców krąży wokół niej jak sępy. Czeka ją, aż przekroczy granicę między byciem pijaną a byciem zbyt pijaną, żeby protestować. Łypię na

nich złowrogo ponad jej ramieniem, ciągnę ją za rękę na górę i prowadzę na półpiętro, gdzie jest ciszej i nie roi się od napalonych hien. Opieramy się o poręcz i patrzymy na chaos pod nami.

– Skąd jesteś, bo nie pamiętam? – pyta Kayla. Teraz, kiedy już się nie chwieje jak wariatka, mogę się jej przyjrzeć. Ze swoimi ciemnymi włosami i ciemnymi oczami jest jedną z kilku kolorowych osób w szkole. Ma bursztynową skórę w odcieniu plastra miodu. Ładna jest, naprawdę. Znacznie ładniejsza niż większość dziewczyn tutaj i na pewno ładniejsza od mnie.

– Z Florydy – mówię. – Z Good Falls. Mała, nudna dziura. Pełno komarów i koleś grających w futbol.

– Czyli podobnie jak tutaj – chichocze i dopija piwo. Ktoś na dole otwiera puszkę z koktajlowymi parówkami i wszyscy zaczynają nimi rzucać. Dziewczyny piszczą, uchylają się albo wyjmują je z włosów, a chłopaki rzucają w siebie nawzajem albo próbują wsadzić je dziewczynom za bluzkę. Gdy jedna z parówek leci w górę i zatrzymuje się na żyrandolu, Kayla niespokojnie piszczy.

– Mama Avery nie będzie zachwycona.

– Jej rodzice to pewnie bogate snoby.

– Skąd wiedziałas? Są CAO czy kimś tam.

– CEO. Prezesami.

– Właśnie! Najpierw myślałam, że to bardzo ważna funkcja, ale potem uznałam, że jak może być ważna, skoro ma tylko trzy litery.

– To zaczątek ciekawej teorii. Pijackiej, fakt, ale coś jest na rzeczy.

Patrzy na mnie, a potem wyciąga rękę i łapie pasmo moich włosów.

– Super kolor.

– Fioletowe szaleństwo – informuję. – W każdym razie tak było napisane na opakowaniu.

– Sama farbowałaś? Czad!

To był element mojej umowy z samą sobą: schudnąć, ufarbować włosy i kupić ubrania, które będą na mnie pasować. Ogólnie zostać lepszym człowiekiem. Z którym ktoś będzie się chciał umówić. Ale nie mówię tego Kayli, bo to dotyczy dawnej mnie. Tej, która nie wiedziała, że miłość jest głupia. Która zrobiłaby dla chłopaka wszystko, nawet schudła trzydzieści osiem kilo, katując się dietami i pocąc jak świnia. Tej, która chodziła do małych, paskudnych klubów, żeby pić, palić i spotykać się z jego przyjaciółmi. Nawet nie z nim. Tylko z jego znajomymi. Kombinowałam, że jeśli oni mnie zaakceptują, on mnie polubi bardziej.

Ale to już przeszłość. Nie jestem w Good Falls na Florydzie. Znalazłam się w Northplains w Ohio. Nikt tu nie zna dawnej mnie, więc nie będę jej wyciągać na światło dzienne, żeby kompromitowała tę nową. Chcę zyskać znajomych, a nie popełnić towarzyskie samobójstwo. Jedno od drugiego dzieli cienka granica, a ja balansuję na niej jak balerina w czasie pierwszego recitalu.

– O cholera – syczy nagle Kayla. – Nie wiedziałam, że on będzie.

Patrzę tam, gdzie wskazuje jej wzrok. Nie mam wątpliwości, o kim mówi.

Pośród latających parówek i pijackiego młócenia rękami do muzyki Skrillexa jawi się niczym oaza spokoju. Może mieć nawet metr osiemdziesiąt pięć. Szerokie bary, ale wszystko poza tym ma smukłe i wyrzeźbione: talię, nogi, niesamowicie ostre kości policzkowe. Rozczochrane włosy nie są do końca jasne, ale brązowe też nie, raczej coś w stylu trawy wyschniętej na słońcu. Stojąca obok mnie Kayla pożera go wzrokiem i nie ona jedna. Gdy wszedł, dziewczyny zamarły, a chłopcy zaczęli na niego łypać z nienawiścią. Nie wiem, kto zaczął, ale czuję, że znany jest ze złych rzeczy.

Wchodzi w głąb domu, ale na nikogo nie zwraca uwagi. Zwykle w takich sytuacjach ludzie przynajmniej kiwają do innych głowami albo wypatrują znajomych twarzy. Ale nie on. On tylko idzie. Nie musi się przepychać, bo tłum sam się przed nim rozstępuje. Ma znudzoną minę, jakby wszystko wkoło było totalnie nieciekawe.

– To Jack. Jack Hunter – szepcze Kayla. – Nigdy nie przychodzi na takie imprezy. Jest ponad to.

– Ponad to? To uczeń liceum, a nie pieprzony książę William!

– Wszyscy go nazywają Lodowy Książę. W pewnym sensie jest arystokratą. Wybucham śmiechem, ale mina Kayli się nie zmienia, więc milknę.

– Czekaj. Ty nie żartowałaś? Naprawdę tak na niego mówicie?

Rumieni się.

– No! Tak jak na Carlosa, tego Meksykanina, rozgrywającego, mówimy Tortilla Na Ostro, a na świra, co ma tyle noży i kręci się koło biblioteki, Zboko Loko. Jack to Lodowy Książę, bo taki po prostu jest.

Znów nie mogę powstrzymać śmiechu, ale tym razem wychodzi chyba za głośno, bo Jack podnosi wzrok. Zbliżył się, więc lepiej widzę jego twarz. Znudzona mina nie psuje ogólnego efektu.

– Jest słodki! – szepcze mi nad uchem Kayla, ale to złe słowo. Właśnie nie jest słodki, nie ma dziecinnej, rozkosznej buźki chłopca z sąsiedztwa, o którym dziewczyny szepczą w czasie wspólnych nocowanek albo na przerwach. Jest przystojny, ma kocie oczy, ostry nos i pełne usta. Jest przystojny przystojnością włoskiego modela. Już wiem, czemu go nazywają Lodowy Książę. Pomijając gęstą aurę banału, która go otacza, ma oczy koloru zamrożonego jeziora, tak jasnyniebieskie, że wydają się przezroczyście.

I spoglądają prosto na mnie.

Kayla wydaje odgłos, który przypomina pisk małej małpki i chowa mi się za plecami.

– Patrzy na nas! – syczy.

– Czemu się chowasz? – Mamrocze coś w moją koszulkę. Wywracam

oczami. – On ci się podoba!

- Ciszej! – Łapie mnie za szyję i miażdży.
- Auć, auć! Nie możesz mi zgnieść kręgow! – To nie wygaduj głupot na cały głos!
- Ale przecież ci się podoba!

Wykręca mi skórę, a ja piszczę. To nam nie pomaga w uniknięciu wzroku Jacka ani w ogóle niczyjego wzroku. Udaje mi się odczepić jej palce od tej części rdzenia kręgowego, która sprawia, że oddycham i umykam do łazienki, żeby zrobić siusiu. Na takiej imprezie żadne miejsce nie oferuje tyle spokoju co łazienka i korzystając z okazji, zdaję sobie sprawę, że Kayla jest pierwszą osobą, która ze mną rozmawiała. Odkąd przyjechałam, wszyscy inni się gapili i szeptali, ale nikt się nie odezwał. Już zaczynałam myśleć, że mam objawy jakiejś paskudnej choroby, jestem obrzydliwa albo w ogóle martwa. Więc albo Kayla umie rozmawiać z duchami, albo jest po prostu miła. Zbyt miła.

Ja kiedyś też taka byłam.

Sedes wygląda tragicznie i wychodząc, klepię go współczująco po spleczce. Trzymaj się, chłopie. Tak czy inaczej niedługo będzie po wszystkim. Chyba, że padniemy tu trupem zatruci alkoholem, albo twoja muszla zardzewieje od kwasu, jakim przesycone będą litry wymiocin, które będziesz musiał wziąć na klatę. Dają wam jakieś dodatki za pracę w trudnych warunkach? Nie? A powinni. Trzeba by urządzić protest. Pikiętę. Założyć Unię Zjednoczonych Toalet.

Gdy kończę całkiem na poważnie rozmawiać z kibelem, wychodzę i trafiam dokładnie na to, czego nie chciałam widzieć. Kayla znów jest na dole. Chłopaki dają jej spokój, dzięki Bogu. Z wyjątkiem jednego. A może raczej: ona jemu nie daje spokoju.

– N-nie w-widuję cię na takich imprezach – bełkocze do nikogo innego, jak do Jacka Huntera we własnej osobie.

– Bo nie lubię się tarzać w błocie. Dziś zrobiłem wyjątek. – Zwija usta w dzióbek i rozgląda się po pokoju. – Ale domyślałem się, że ty lubisz.

– C-co? Nie. Ale przyjaźnię się z Avery. Zmusiła mnie, żebym przyszła. Ja też nie lubię takich imprez...

– Bełkoczesz i zataczasz się. Z trudem panujesz nad ciałem. Jeśli musiałaś wypić aż tyle, żeby zdzierżyć imprezę, do której zmusili cię przyjaciele, to znaczy, że wybrałaś złych przyjaciół.

Kayla ma minę, jakby dostała w twarz, a do oczu napływają jej łzy. We mnie zaczyna się gotować krew. Za kogo on się ma, do cholery?

– N-nie o to chodziło... – zaczyna Kayla.

– Zresztą, wyglądasz dokładnie jak laska trzymająca się z ludźmi, których nienawidzi. Ale oni pewnie też cię nienawidzą. Po prostu łatwiej wam to ukrywać po pijaku i nadając wszystkim te wasze głupie ksywki.

Łzy płyną Kayli po policzkach. Jack wzdycha.

– Aż tak nie masz charakteru, że wybuchasz płaczem, gdy tylko ktoś powie prawdę?

Serce dudni mi w piersi. Zaciskam pięści tak mocno, że prawie nie czuję palców. Jego okrucieństwo zostawia mi w ustach smak gorzycy i bardzo przypomina kogoś z przeszłości.

Kogoś, kto na zawsze zrujnował mi życie.

Odpycham chłopaka z czerwoną twarzą, który po raz kolejny na mnie szarżuje i sunę przez tłum. Kayla nie jest moją przyjaciółką. Nie mam tutaj przyjaciół. Ale przez jakieś cztery sekundy była dla mnie miła. Tak naprawdę. Nie częstowała mnie słodką trucizną jak Avery, która zaprosiła mnie na tę imprezę, żeby poddać jeździe próbnej. Te cztery sekundy to i tak więcej, niż się spodziewałam. Więcej niż dostałam od długiego czasu. Usta Jacka drżą i układają się w szyderczy uśmiech. Powiedz to. Powiedz jeszcze słowo, chłopczyku. Śmiało.

– Jesteś żalosna – mówi.

Wtedy po raz pierwszy walę Jacka Huntera w twarz.

A gdy kostki moich palców zderzają się z jego głupimi, wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi, a on chwieje się z furią buzującą w lodowatych oczach, mam przeczucie, że nie ostatni.

– Przepróż ją – żądam, a w całym domu zapada cisza. Milczenie rozchodzi się jak fala. Zaczyna się od tych najbliższych mnie, Kayli i Jacka. Potem zatacza coraz większe kręgi, skacze jak pchła, roznosi się jak choroba, cicha i złowieszcza, rozprzestrzenia się szybciej niż zdjęcie słodkiego kociaka udostępniane przez ciotki na Facebooku. Cała impreza zatrzymała się, zamarła w oczekiwaniu na to, co teraz zrobi Jack. Chcą przedstawienia. Są jak bezwzględne stado hien, a ja właśnie zaatakowałam lwa. Jack chyba to wyczuwa, bo kiedy już otrząsa się z szoku, rozgląda się nieśpiesznie, jakby planował następny ruch, a potem zatrzymuje na mnie wzrok. Tak lodowaty, że mógłby zmrozić potok lawy.

– Sądząc po twojej minie – krzyżuję ramiona i patrzę na niego z wściekłością – jeszcze nie oberwałeś za bycie dupkiem.

Ociera nos, a potem leniwie zlizuje z kciuka strużkę krwi. Kayla jest blada jak ściana i nieruchoma, wygląda jak manekin. W tle słychać bezmyślną muzykę i dudniące basy. To jedyne, co ośmiela się przerwać pełną napięcia ciszę, w której pogrążył się pokój.

Jack się nie odzywa. Kontynuuję więc:

– Użyję prostych słów, tak, żebyś zrozumiał – zaczynam powoli, demonstracyjnie. – Przepróż Kaylę za to, co powiedziałaś albo poleje się więcej krwi.

Ktoś w tłumie parska śmiechem. Rozlegają się szepty, wylewają się z kolejnych ust i trafiają do kolejnych uszu. Nie obchodzi mnie, co myślą, ani czy

oblałam ten idiotyczny imprezowy test. Chcę tylko, żeby przeprosił Kaylę. Skrzywdził ją bardziej, niż potrafi sobie wyobrazić.

– Czemu bronisz dziewczyny, której nawet nie znasz? – odzywa się w końcu głębokim głosem pełnym śmiertelnej groźby. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba jesteś tu nowa? To by wyjaśniało ignorancję godną debila. Na Florydzie mają w ogóle szkoły? Czy uczycie się od krokodyli i kmiotów?

Oczywiście wie, skąd pochodzę, w takim mieście wieści szybko się roznoszą. Pokój wypełnia zbiorowe westchnienie. Czuję, że robię się czerwona, ale nie pozwolę zbić się z tropu. Słyszałam gorsze wyzwiska. To jeszcze nic. Parskam cynicznym śmiechem.

– Po prostu nie mogę znieść, jak jakiś nadęty dupek depcze po sercu dziewczyny. To nie w moim stylu...

Słyszę głośniejsze westchnienie. Duma rozpiera mi pierś. Dłonie i twarz mam gorące, cała się trzęsę, ale nie pokażę tego. Nie dam mu wygrać. Nie wycofam się. W dawnej szkole, na Florydzie, takich maminsynków jak on zjadałam na śniadanie. Każda konfrontacja wygląda tak samo: ubliżamy sobie, aż on zostaje tak upokorzony na oczach innych, że już nie umie się bronić. Takiego finału oczekuję. Kayla dostanie to, co jej się należy.

Ale dzieje się inaczej. On nie odpowiada na głos. Nachyla się do mnie, tak blisko, że czuję na uchu gorące powietrze z jego ust i mówi:

– Bo ciebie też to spotkało, prawda?

Zatyka mnie. Staram się stłumić dreszcz, ale się nie udaje, a kiedy Jack to widzi, wybucha śmiechem. To zimny, czysty dźwięk, jak pękający lód. Śmieje się. Udaje, że nic się nie stało. Czuję, jakbym to ja oberwała. Przez moment patrzymy na siebie w napięciu, a potem on podnosi rękę, żegna się ze zgromadzonymi w pokoju i wychodzi. Połyka go mrok spowijający trawnik, na którym stoją krzywo zaparkowane samochody.

Dom ożywa. Ludzie się śmieją, tańczą, piją i całują się pod ścianami, jakby wstąpiło w nich nowe życie. W moich żyłach zderzają się jednocześnie ogień i fala lodu. Ciężkie stalowe kleszcze ściskają mi serce i nie mogę oddychać.

Kayla kładzie mi rękę na ramieniu.

– Wszystko dobrze?

Skąd on wiedział? Rzeczywiście mnie przejrzał? Tak, mnie spotkało to samo. Chłopak złamał mi serce. Nie, nawet więcej. Połamał oprócz tego moją duszę i tożsamość. Po trzech latach, dziewięciu tygodniach i pięciu dniach powinnam umieć lepiej to zamaskować. Byłam przekonana, że dobrze mi idzie. Więc skąd do cholery wiedział o tym Jack?

Wszyscy na mnie patrzą, więc nie mogę wybiec tymi samymi drzwiami co on, bo zaczną coś podejrzewać. Nie mogę iść na górę, żeby posiedzieć w samotności, bo domyślą się, że wygrał. Ale co w zasadzie? Nie jestem pewna, ale

wrogość, która między nami urosła, przypomina gorączkę, niezdolnie rozgrzaną i niemożliwą do zlekceważenia. Najbardziej na świecie chciałam wczłgać się w jakieś spokojne miejsce i zająć się pielęgnowaniem gorejącej rany, z której Jack zerwał mi strup, ale nie mogłam. Może i wszyscy wrócili do imprezowania, ale wiedziałam, że bacznie mnie obserwują i oczekują wyjaśnienia, co się właściwie stało. Mój następny krok miał zdecydować o wszystkim.

Jack zaatakował mnie w najbardziej intymnym miejscu.

Otworzył ranę, o której chciałam zapomnieć. Przed którą tutaj uciekłam.

Tę, która mnie pokonała.

Nie mogę dopuścić, żeby ktokolwiek to zauważył. Tutaj jestem kimś innym. Nie słabą, załamaną dziewczyną, tą, co kiedyś.

Czas zacząć moją ulubioną grę, w udawanie.

– Pocałował mnie – poinformowałam niby Kaylę, ale bardzo głośno. – Coś obrzydliwego! Pełno języka, zero umiejętności.

Kayla szeroko otwiera oczy. Echo moich słów rozlega się ponad muzyką, w strzępach głosów innych ludzi. Pocałował. Nową dziewczynę. Jack Hunter. Lodowy Książę pocałował tę nową. Wieści się roznoszą, a tymczasem ja łapię Kaylę za rękę i ciągnę ją do kuchni. Cała się trzęsie. Kładę jej ręce na ramionach i patrzę głęboko w oczy.

– Ty... Ty i on... – zaczęła.

– Nic się nie wydarzyło – mruczę. – Przysięgam. Powiedziałam tak, żeby wyszedł na głupka.

Oczy na chwilę jej się rozpromieniają, ale zaraz na nowo ciemnieją i bardziej mnie to smuci niż złości. Wciąż jej się podoba, mimo że przed tłumem ludzi powiedział, że jest żałosna. Żal mi jej. Kiedyś też taka byłam i właśnie dlatego jest mi jej tak cholernie żal.

– Nie wierzę, że go walnęłaś! – mówi Kayla. – Chyba oszalałaś!

– Ty oszalałaś, że podoba ci się ktoś taki – wzdycham. – Mama ci nie mówiła, żeby trzymać się z dala od wściekłych psów?

– On nie jest psem – protestuje. – Nigdy się do mnie nie zbliża.

– Bo jest gejem.

– Ma dziewczyny! Dorosłe, z college'u! Co tydzień nową.

– Zamawia je w Rosji. Albo na Saturnie. W każdym razie tam, gdzie mają dużo dziewczyn desperacko potrzebujących kasy.

Kayla aż się chwije, więc pomagam jej usiąść na wypolerowanej podłodze. Opiera się plecami o wielki kredens, a potem otwiera drzwi, wczługuje się do środka i zamyka je za sobą. Jestem ucieleśnieniem cierpliwości i zrozumienia. Przez jakieś dziesięć sekund. Potem pukam. Ze środka dochodzi stłumiony pomruk:

– Idź sobie.

– Proszę cię. Ja wcale nie żałuję. Zasłużył, tak?
– Podoba mi się od siódmej klasy! – rozpacza z kredensu Kayla. – Dzisiaj pierwszy raz w życiu się do niego odezwałam! A ty... przyszedłeś i wszystko zepsułeś! Już koniec! Moje życie jest skończone!
– Na pewno dobrze je przeżyłaś – zapewniam.
– Ale ja wcale nie umrę! – Otwiera drzwi kredensu i jęczy.
– Umrzesz! Za jakieś siedemdziesiąt lat. Ale na razie jesteś bardzo żywa i bardzo pijana, więc chyba odwiozę cię do domu.
– Nie! Mogę jechać sama. – Wyłazi i od razu ślizga się na rozsypanych chrupkach. Łapię ją i stawiam na nogi, a potem udaje nam się wyjść z kuchni.
– Możesz jechać sama, jasne, aż wystartujesz z klifu i odlecisz.
– Trudno – zawodzi. – Jack mnie nienawidzi.
– Błagam cię. On cię nawet nie odróżnia od czterystu trzydziestu sześciu innych dziewczyn, które doprowadził do łez.

Jak na zawołanie Kayla wybucham płaczem, a ja częściowo ją ciągnę, a częściowo pcham przez trawnik do mojego volkswagena beetle. Jest jasnozielony, przerdzewiały i zasypany pustymi puszkami po napojach, ale dzięki temu wszyscy wiedzą, że jestem biedna, a to w zupełności wystarczy, jeśli chodzi o samochód.

– Isis! – woła ktoś.

Kayla chce uciekać, ale jest tak pijana, że tylko zatacza się w miejscu i beka. Pomagam jej wsiąść i zamykam za nią drzwi, a następnie odwracam się w stronę głosu. Zmierza ku mnie Avery Brighton, jej rude loki podskakują w rytm kroków, a zielone oczy jaśnieją. Jest ideałem irlandzkiej laleczki, z porcelanową skórą, idealnymi proporcjami i rozkoszną porcją piegów obsypujących jej malutki nosek. Wygląda, jakby Bóg zużył na nią całą photoshopową licencję, a następnie spojrzął na resztę dzieci, które miał razem z nią wysłać na ziemię i powiedział coś w stylu: „Cha cha cha, ups! Ale przynajmniej ta jedna będzie dziełem sztuki”.

– Czy ty porywasz Kaylę? – pyta Avery i obdarza mnie uśmiechem porcelanowej lalki.

– Zupełnie nie jestem typem osoby, która by kogokolwiek porywała, ale teoretycznie, gdybym w zeszłym roku w czasie ferii zimowych nudziła się aż tak, żeby szukać w internecie instrukcji porywania ludzi, zakładam, że, teoretycznie, byłoby tu więcej taśmy klejącej i chloroformu. Teoretycznie.

– To bardzo ciekawe, ale muszę cię poprosić, żebyś ją oddała. Potrzebuję jej. Żeby zrobiła dla mnie pewne rzeczy.

– Nie wygląda ci na trochę nie w formie? Jest też lekko podłamana wydarzeniami, które miały miejsce. Nie wiem, czy widziałaś?

– Widziałam. Fascynujące. Prawdopodobnie było to najciekawsze, co się wydarzyło od zeszłego roku, nie licząc próby samobójczej Eriki. – Avery uśmiecha się z rozkoszą. Przygląda mi się od stóp do głów, tak jakby widziała mnie w

zupełnie nowym światłem. – To jednak nie zwalnia jej z pewnych obowiązków, które musi dzisiaj wypełnić.

– Czy to nie dziwne? Nie brzmi trochę złowieszczo i jakby nawet groźnie? Poza tym zdaje mi się, że ona nie jest twoją własnością, a teraz najbardziej jej się przyda odpoczynek w łóżku, więc chyba zabiorę ją do domu?

Zbliżam się do drzwi od strony kierowcy, a twarz Avery ciemnieje i zaczyna wyglądać jak wampirzyca.

– Czemu ciągle mówisz pytaniami?

– A ty? Czemu mówisz pytaniami? – Wykręcam szyję ponad maską, żeby podtrzymać kontakt wzrokowy. Ona jest jak niedźwiedź. Wielki i bogaty. Nie mogę odwrócić wzroku, bo robi z moich wnętrzności podszewkę do torebki Louisa Vuittona.

– Jeśli teraz wyjdiesz, nie zaproszę cię więcej na żadną imprezę.

– Tak? Nie szkodzi, bo raczej nie mam ochoty bawić się z ludźmi, którzy uważają próbę samobójczą za coś ciekawego? I dosypują do ponczu proszku na przeczyszczenie? To chyba niemal tak samo żałosne jak zapętlanie Skrillexa na odtwarzaczu?

Szybko wskakuję do auta, odpalam i ruszam. Avery obserwuje mnie z pozornie obojętną miną, ale zmarszczone czoło sugeruje jednak pewną irytację. Odkręcam szybę i podjeżdżam do niej.

– Jesteś chyba dosyć popularna, więc powinnam podziękować ci za zaproszenie? Albo za zastraszenie? Może tak: impreza była beznadziejna, ale groźba pierwsza klasa? Daję dwie gwiazdki za dobre chęci? Gadam za dużo? – Milknę. – Widzimy się w szkole?

– Chodzisz do mojej szkoły, idiotko.

Zrobiła to. Nazwała mnie słowem na i. Najpopularniejsza dziewczyna w szkole rzuciła słowo na i. Muszę się albo zabić, albo wrócić na Florydę, albo szybko odjechać i mieć to gdzieś. Dodaję gazu i okrążam posąg lwa, stojący na podjeździe, tyle tylko, że nie do końca wyrabiam się na zakręcie i jedno z lwich jąder wylatuje w powietrze, zostawiając za sobą betonową smugę. Zostawiam stado nowych wrogów oraz lwa z jednym jajem i odwożę do domu może przyjaciółkę, która myśli, że zrujnowałam jej szansę na miłość. I nawet, jeśli brzmi to masakrycznie, jest i tak lepsze niż to, z czym przyjechałam, czyli z trzema latami, dziewięcioma tygodniami i pięcioma dniami złych wspomnień.

Rozdział 2

3 lata, 9 tygodni, 6 dni

Wyrzucam odrobinę bardziej trzeźwą Kaylę przed jej ładnym domem w spokojnym zaułku. Patrzy na mnie załzawionymi oczami, makijaż ma rozmazany i cicho mamrocze słowa podziękowania.

– Słuchaj, okropnie mi przykro – wzdycham. – Naprawdę.

Wzrusza ramionami.

– Nieważne. Do zobaczenia w poniedziałek.

Ale właśnie ważne. Ludzie zawsze mówią, że nieważne, kiedy sytuacja robi się zbyt skomplikowana, żeby szukać odpowiednich słów, albo gdy po prostu nie chcą nic mówić. Jeśli w poniedziałek zauważy moją obecność i da mi to do zrozumienia, będę szczęśliwa jak jasna cholera.

Potem jadę do domu krętą drogą opasającą pastwiska i pola kukurydzy, a wizja lodowatoniebieskich oczu Jacka i jego straszliwe słowa odbijają mi się w głowie echem.

„Bo ciebie też to spotkało, prawda?”

Zaciskam dłonie na kierownicy. Nie ma pojęcia, co mnie spotkało.

„Nie umawiam się z brzydkimi dziewczynami”

To echo kolejnego głosu. Należy do Bezimiennego. Chłopaka, którego kiedyś lubiłam. Kochałam? Lubiłam. Już sama nie wiem. Wiem tylko, że mnie zranił.

Nazywam go w myślach Bezimiennym, bo dźwięk jego imienia wciąż wywołuje fizyczny ból w piersi. A ja mam to za sobą. Naprawdę. Po trzech latach, dziewięciu tygodniach i sześciu dniach mam to głęboko, głęboko gdzieś.

Zatrzymuję się przed domem i gaszę silnik. Siedzę w ciemności, wyrzucam z głowy część myśli, a upycham w niej nowe. W pewnym sensie chyba się z kimś dzisiaj zakumplowałam. Mama jest tu szczęśliwsza. Nie widziałam Bezimiennego od ponad dwóch miesięcy. To dobrze. Same dobre myśli, zdatne do załatania dziur w zbutwiałych ścianach umysłu. Są co prawda bardzo liche, ale póki co nie wpuszczają zimnego wiatru.

Uśmiecham się do siebie w lusterku. Przy mamie trzeba być ostatnio wyłącznie szczęśliwym. Będę więc udawać z całych sił, a w każdym razie dość długo, żeby bezpiecznie dotrzeć do mojego pokoju.

Dom jest piętrowy, z białymi drzwiami i ścianami oraz niebieskimi szczegółami. Zardzewiały dzwonek wietrzny cicho podzwania nad patio, a ogród to tylko parę lat nędznej, pożółkłej trawy. Popsuty grill stoi porzucony w kącie pod

rynną, a z konającego krzaka oddzielającego nasz ogródek od ulicy wзира kilkanaście więdnących róż w kolorze może-czerwieni-a-może-kupy. W ciągu dnia dom wygląda okropnie, ale teraz, po zmroku, kiedy światło prześwituje przez zasłonięte okna, znacznie łatwiej udawać, że to nie ruina. Tylko na coś takiego było stać mamę, ale nijak ma się to do ślicznego domku na Florydzie, w którym się wychowałam.

– Wróciłam! – Wchodzę, a za mną chłodne wrześnie powietrze. Nasz kot, Szatańskie Nasienie, zwany też Coco albo Wyjdz-z-Lodówki-Ty-Głabie, podchodzi powoli i ociera się o moje kostki, gdy zdejmuję kurtkę i wrzucam klucze do miski. Za kotem przychodzi mama, ciasno owinięta szlafrokiem i żadna wszystkich szczegółów dotyczących wieczoru. Jest piękna, podobnie jak stare obrazy, we włosach ma siwe pasma, a na twarzy zmarszczki od uśmiechu. Jej ciemne oczy są przytomne.

– Jak się bawiłaś? Z iloma chłopakami się całowałaś?

– Z siedemdziesięcioma. Co najmniej.

– A ile szotów wypić?

– Czternaście. W połowie drogi do domu puściłam kierownicę i dalej prowadził Chrystus.

Śmieje się i głaszcze mnie po głowie.

– Cieszę się, że się dobrze bawiłaś.

Obie wiemy, że nie piję (dużo) i z nikim się nie całuję, więc to raczej ponury żarcik. Wraca do kuchni, gdzie czeka na nią gazeta i herbata. Szatańskie Nasienie wskakuje na krzesło naprzeciwko i zaczyna się lizać po jądrach.

– Wzięłaś leki? – pytam. Mama wzdycha i patrzy na mnie karcąco.

– Nie martw się o mnie. Jestem dorosła. Umiem o sobie zadbać.

Rozglądam się po kuchni. Na blacie leży stos zaschniętych patelni i garnków. Podłoga jest brudna, zasłon nikt nie odsłonił przez cały dzień, widzę to. Ale to nie jej wina.

Czasem bywa lepiej, a czasem gorzej. Winny jest ten dupek, który ją stłukł. Gdyby był tu tata, zrobiłby dla niej coś więcej, a przynajmniej wywołał uśmiech. Ale go nie ma. Żyje ze swoją nową rodziną. Jestem tylko ja. Mogę pozmywać i nie przysparzać zmartwień. Robię, co mogę.

Podciągam rękawy bluzy, odkręcam gorącą wodę i wyciskam na patelnię płyn do naczyń.

– Jutro po szkole umyję okna, dobrze? Są koszmarnie brudne. Poprzedni mieszkańcy chyba budowali maszyny do sztucznej mgły.

Mama uśmiecha się słabo, ale to nie jest prawdziwy uśmiech.

– Dziękuję. Jutro pracuję, ale wrócę przed zmierzchem.

Zajmuje się konserwacją dzieł sztuki: odnawia dla muzeów stare obrazy czy wazony. Jednak po zerwaniu z Leo ma problem ze znalezieniem – i utrzymaniem –

pracy. Aktualnie jest zatrudniona w miejscowym muzeum pociągów.

– Zrobię jutro kolację – oferuję.

– Poświętujmy! Przygotuję pizzę.

– Super! – uśmiecham się. Ale wiem, że zapomni. To nie jej wina, pochłonie ją praca albo mroki przeszłości i zapomni, że musi coś jeść, a przy okazji, że i ja muszę. Ale już się przyzwyczałam. Nauczyłam się zawsze mieć plan rezerwowy. Kiedy mama nie patrzy, wyjmuję z zamrażalnika kurczaka.

– Jestem trochę zmęczona – mówi. Nachyla się i całuje mnie w czubek głowy. Pachnie lawendą i smutkiem. Smutek ma zapach podartych chusteczek i wyschniętej na słońcu soli.

– Dobrze. Śpij spokojnie. – Ściskam jej dłoń, a ona odpowiada uściskiem i powoli wchodzi na schody. Porusza się ostrożnie, jakby za każdym rogiem czaił się ktoś, kto może jej zrobić krzywdę. Ale jeśli faktycznie wzięła leki, dzisiaj wieczorem wszystko może być w porządku.

Ale powinna w ogóle nie potrzebować leków.

Krzywię się i energiczniej szoruję garnki. Wyładowuję w ten sposób wściekłość i wkładam w mycie naczyń tyle wysiłku, że mogłabym wypolerować niewielki samochód. Błaty lśnią, podłogi też, a zlew jest nieskazitelny jak policyjne akta gwiazdy Disney Channel. Rozbieram się i wchodzę pod prysznic, żeby splukać z siebie resztki alkoholu, dymu z papierosów oraz brokat. Kostki palców mam czerwone i zdarte. Cóż, trzeba się z tym liczyć, gdy atakuje się taką górę lodową jak Jack Hunter.

Wychodzę spod strumienia wody pachnąca mniej młodzieńczym buntem, a bardziej szamponem migdałowym nietestowanym na zwierzętach. Bandażuję palce, a potem staję przed lustrem, żeby oszacować obrażenia duszy doznane dzisiejszego wieczoru. Mam brązowe kręcone włosy jak mama (tyle, że teraz podrasowane purpurą), a w odbiciu widzę ciepłe oczy taty, w kolorze cynamonu. Wyglądają, jakby pośrodku były złoto-czerwone. Tata mówił, że to okruchy rubinu i topazu, ale ludzie o brązowych oczach zawsze wypatrują każdej odrobiny koloru, żeby dodać swojemu odcieniowi wyjątkowości. Ja z dumą nazywam swoje cynamonowymi, ale elegancko ubrana babka w wydziale komunikacji odmówiła wpisania mi koloru cynamonowego do prawa jazdy, więc do dzisiaj staram się nadać nową jakość brązowi. I jeszcze o mnie usłyszą! Powstanę z popiołów i rozpocznę nową batalię z tą kobietą, jej różowymi paznokciami i okrągłymi kolczykami w uszach.

Wciąż się dziwię, gdy patrzę w lustro na szczupłą twarz. Kiedyś miałam wielkie, pucułowate policzki i ogromne nawisy pod brodą i na powiekach. I zwały tłuszczu na szyi. Nawet płatki uszu miałam otyłe. Tata co lato wysyłał mnie na obozy dla odchudzających się, ale to nigdy nie skutkowało, bo w czasie treningów chowałam się w piecu – taktyka tyleż ryzykowna, co skuteczna. Wolałam spalić się

na bekon, niż się kompromitować, trzęsąc podskakującymi fałdami tłuszczu i demonstrując żenujący brak kondycji. W autobusie zajmowałam dwa miejsca. Cały czas muszę sobie przypominać, że już tyle nie potrzebuję.

Gdybym była bogata jak Gin, moja dawna przyjaciółka, na szesnaste urodziny oprócz BMW, czy czegoś w tym stylu, dostałabym liposukcję. Swoją drogą tłuszczem, który zrzuciłam, przetopionym na olej napędowy, można by to BMW napędzać przez wiele miesięcy. W końcu zaczęłam się odpowiednio ubierać, pilnowałam kalorii i biegałam rano i wieczorem, więc stopniowo budowałam mięśnie i obeszło się bez chirurgicznego usuwania tłuszczu. Wciąż pamiętam, jak nienawidziłam każdej sekundy diety i ćwiczeń, ale teraz to już odległe, choć wciąż bolesne wspomnienie. W przeciwieństwie do tego żywego i wyrazistego, od którego wszystko się zaczęło.

„Nie umawiam się z brzydkimi dziewczynami”.

Brzydkimi.

Dotykam swojej twarzy, a dziewczyna w zaparowanym lustrze robi to samo.

Brzydka.

Brzydka, brzydka, brzydka, brzydka. Nie wyładniałam od purpurowych pasemek. Od schudnięcia też nie. Mam tę samą twarz, co zawsze. Trochę szczuplejszą, fakt, ale tę samą. Nos jest nadal spłaszczony, broda za szeroka. Kreska eyelinera, którą maluję codziennie, została pod prysznicem, więc wyglądam na bladą i zmęczoną. Codziennie, gdy suszę przed snem włosy, wkładam bokserki i wygodną koszulkę, prześladowuje mnie głos Bezimiennego.

Moje rozstępy – są brzydkie.

Pryszcze – brzydkie.

Obwisłe uda – brzydkie.

Jestem brzydka. I pogodziłam się z tym. Taka po prostu jestem. Aktualnie w East Summit High mówią o mnie Ta Nowa, ale gdy blask nowości zblaknie, dostanę nową ksywkę. Brzydka. To będzie najbardziej oczywiste, najlogiczniejsze. Bezimienny był okrutny, kiedy to mówił, ale miał rację. Pokazał mi prawdę i w zasadzie jestem mu za to wdzięczna. Tak jak artysta byłby wdzięczny za pokazanie mu, że lewa ręka trochę się trzęsie i nieco słabiej jej idzie gra. Dzięki temu poznałam swoje słabości, a tym samym i mocne strony.

Miłość do nich nie należy. Umawianie się na randki zdecydowanie też nie. Lubię myśleć, że do moich zalet należy za to bycie szczerze miłą, jeśli nie liczyć bicia chłopaków, którzy na to zasłużyli. Więc będę miła. Postaram się trzymać z dala od innych. Nikt nie chce brzydoty w towarzystwie. A nawet gdyby chciał, źle by na tym wyszedł. Jestem głośna, wściekła i sarkastyczna. Nikt tego nie lubi. Bezimienny nauczył mnie i tego. Że mam się nie zbliżać. To prawdziwa życzliwość.

Wzdycham i kładę się do łóżka. Czeka tam na mnie Panna Muffin, trochę

wyblakła, ale wciąż cudownie miękka panda. Przytulam ją i chowam twarz w jej brzuszku made in China.

– Panno Muffin... Walnęłam dzisiaj kogoś. Chyba spieprzyłam sprawę.

Patrzy świdrującymi oczami, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, skarbie. Taka już jesteś. Ale kocham cię mimo wszystko”.

Udaje mi się przespać cztery godziny, gdy nagle zapalają się wszystkie światła. Podrywam się do pozycji siedzącej i przecieram oczy, żeby widzieć wyraźniej. Na zewnątrz jest ciemno. Mama stoi w progu i trzęsie się jak osika. Zrzucam kołdrę i podbiegam do niej.

– Znowu? – Kiwa głową, a oczy ma szkliste i utkwione w jakimś punkcie w oddali. Obejmuję ją i prowadzę z powrotem do sypialni.

– Przepraszam – szepcze i wchodzi do łóżka. Nakrywam ją kołdrą i się uśmiecham.

– Nic nie szkodzi. Pójdę po materac i położę się z tobą.

Gdy wracam ze strychu, mamy nie ma.

– Mamo? Mamo!

Okno jest otwarte. Wychylam się patrząc w dół. Proszę, nie. Proszę, tylko nie to.

– Tu jestem.

Mówi cicho, a jej głos dochodzi z oddali. Idąc jego śladem, docieram do łóżka. Leży pod nim, na podłodze, z kolanami przyciśniętymi do piersi.

– Mamo, co ty...

– Tu jest bezpieczniej – mówi. – Wejdiesz do mnie?

– W łóżku będzie ci znacznie wygodniej...

– Nie! – piszczy i zatyka uszy. – Nie, nie, nie mogę! Nie zmusisz mnie!

– Dobrze, już dobrze – uspokajam ją i kładę się na płask. Przywieram do brudnego dywanu, sprężyny materaca wbijają mi się w żebra, ale łapię ją za rękę. – Nic nie szkodzi, jestem tu. Zostanę z tobą.

Atak paniki przechodzi, powoli kiwa głową i lodowatymi palcami ściska moją dłoń. Czasem wypowiada przez sen jakieś słowa, których nie rozumiem albo nie chcę rozumieć i myślę, że gdybym tam była, zabiłabym go. Powinnam była być. Z nią, a nie z ciocią Beth. Powinnam była ją chronić, zauważyć sygnały ostrzegawcze, gdy przyjeżdżałam na święta, powinnam...

– Przepraszam – szepcze przez sen, cichutko jak dziecko. Obejmuję ją, przyciskam do piersi i zapadam w niespokojny sen, otoczona zapachem lawendy i smutku.

Po imprezie w poniedziałek w szkole jest dziwnie. Wiele osób coś wie i czegoś się wstydzi, ale nikt nie pamięta, czego konkretnie. Może ktoś zaangażował zbyt wiele zębów w całowanie cudzej dziewczyny, może zapomniał powiedzieć o zerwaniu, może jakaś panna wrzuciła mentosa do rumu z colą swojego byłego

chłopaka? Albo jakaś para się ze sobą przespała, a on miał małego ptaszka. Zawsze się okazuje, że ktoś ma za małego.

– Właśnie, tak zrobię! – wykrzykuję w trakcie spożywania wprost obrzydliwej kanapki z tuńczykiem. – Rozpuszczę plotkę, że ma małego. To jedyne, czym się przejmują kolesie, swoimi ptaszkami. Uderzę tam, gdzie boli najbardziej, w przenośni i dosłownie.

Kayla unosi brwi i skubie miniaturowe marchewki.

– Aż tak go nienawidzisz?

Gdy dzisiaj parkowałam przed szkołą, czekała na mnie, niepewna i cała w uśmiechach. A teraz je ze mną lunch! To cud wart odnotowania w Księdze Objawienia. W każdym razie będzie to na pewno pierwszy wpis w mojej księdze Masakr-Z-Połowicznie-Szczęśliwymi-Zakończeniami. Kayla jest miękka jak króliczek, lojalna jak pies i bardzo, bardzo zapatrzona w pewnego lodowatego wieprza, ale z tym sobie poradzimy. Jak dobrze pójdzie, to bez broni palnej.

– Isis! – Podbiega do mnie dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widziałam. – To prawda? – Całowałaś się z Jackiem u Avery, a potem go walnęłaś?

– Nie całowałam się z nim. On się do mnie przychrzanił – poprawiam ją. – Ślinił się wszędzie. To nie był pocałunek, tylko katastrofa. Zrobiło się tak koszmarnie, że musiałam go walnąć. Tak koszmarnie, że moja ręka sama zacisnęła się w pięść, a mięsień drgnął i uruchomił mechanizm obronny przed jego żalnością. Wszystkie dziewczyny powinny być wyposażone w taką zdolność. Przekaż dalej.

Dziewczyna kiwa głową radośnie i pędzi do przyjaciółek. Kayla krzyżuje ramiona na piersi i chrząka.

– No co? – Robię minę, jakbym była ucieleśnieniem niewinności.

– Po co rozsiewasz takie plotki?

– Jak wszyscy się dowiedzą, że on się nie umie całować, śliczne i dobre dziewczęta, takie jak ty, przestaną wychodzić z siebie, żeby się z nim umówić. Moc plotki dosięgnie zwierza głęboko w legowisku, tam, gdzie nie sięgają miecze.

Ona kręci głową.

– Strasznie jesteś dziwna.

– A także bardzo rozemocjonowana na myśl o zatopieniu w bursztynie wyrazu jego twarzy, gdy się zorientuje, co wszyscy o nim mówią. Będę go nosiła na szyi. Zemsta jest słodka.

– Co ci powiedział, że tak go znienawidziłaś?

Odchrząkuję, bo nie mam zamiaru opowiadać o swojej paskudnej przeszłości dopiero co poznanej, potencjalnej prawie-być-może-przyjaciółce.

– Dobrze, powiem ci. Obraził cię. A potem obraził mnie, co w ogóle nie było fajne, bo obiektywnie rzecz biorąc, nie ma we mnie nic, do czego można by się przyczepić. Gdybym była choć odrobinę mniej idealna, pewnie bym się

przejmowała. Ale jestem doskonała. A jednak udało mu się odrobinę mi dopiec, a prawo stanowi, że nawet minimalne dopieczenie bywa przykre. Więc musiałam się odpłacić. Oko za oko i tak dalej.

Przechyla głowę, a marchewka zwisa jej z ust. Precyzuję więc:

– Tak powiedział Szekspir. Zdaje się, że koleś handlował gałkami ocznymi.

Wtedy nadchodzi Avery, obstawiona dwiema dziewczynami, których imion nie pamiętam, ale które bardzo, i na darmo, starają się wyglądać równie szczupło i bezwzględnie stylowo jak ona. Kayla natychmiast się podrywa, łapie tacę z jedzeniem i zaczyna się jękać:

– P-przepraszam, ale muszę lecieć.

– Aha? Tak?

Podbiega do Avery, a po drodze rozsiewa wkoło marchewkę wyglądającą jak krople krwi. Stojący w kącie woźny robi minę tylko odrobinę różniącą się od jego zwyczajnej, komunikującej coś w stylu dajcie-mi-powód-a-zostanę-seryjnym-mordercą. Kayla widocznie nie chce, żeby Avery się dowiedziała, że ze mną rozmawia, co mi nie przeszkadza, bo mnie Avery nie lubi, a Kayla przyjaźniła się z nią wcześniej. To oczywiście, że wybiera ją a nie mnie i mówię to z minimalną porcją goryczy. Wszystko trzyma się kupy. Przez chwilę tylko zabawiam się myślą, że Jack miał tamtego wieczoru rację, mówiąc, że Kayli tak naprawdę nie podoba się to, co robią jej przyjaciółki, a jednak zmusza się do tego samego.

Kręcę głową i śmieję się w kanapkę, rozsiewając po blacie gustowny wzorek z tuńczyka. Nie. Ktoś tak pretensjonalny i pochłonięty sobą nie ma pojęcia o związkach międzyludzkich. Jack nie wie, przez co przechodzi Kayla ani ktokolwiek inny. Łącznie ze mną.

Wstaję, odstawiam tacę i wcześniej idę na lekcję. Nie ma sensu siedzieć samej w stołówce i jeszcze ostentacyjniej niż dotąd dawać wszystkim do zrozumienia, że jestem ćwokiem, który nie ma znajomych.

Wrześniowy dzień jest chłodny i już jesienny, ale słońce jeszcze przygrzewa. Liceum East Summit High School wygląda jak wszystkie inne: biały budynek z przeszklonymi korytarzami. Na zewnątrz jest wielki teren rekreacyjny, z trawą, choinkami, fontannami z wodą pitną i ławkami, a budynki są ustawione wkoło. Przed wejściem wisi flaga, a z tyłu jest stadion sportowy, na którym zdaje się częściej przegrywamy niż wygrywamy. Ucieleśnienie Ameryki Środkowej i jej nudy. W mojej starej szkole rosły przynajmniej baniany, a co jakiś czas zdarzała się inwazja szopów, które wprowadzały trochę emocji. Tutaj mogę sobie najwyżej powspominać, chodząc samotnie z klasy do klasy i w pojedynkę odrabiając lekcje. Choć aktualnie mknę na fali fałszywej popularności, która się długo nie utrzyma.

Dostrzegam go w połowie drogi na lekcję z panią Gregory.

Rozmawia z dyrektorem Evansem, łysiejącym mężczyzną w garniturze

śmierdzącym trochę kulkami na mole, a trochę nieświeżą rybą. Kiedy stoi obok wymuskanego, wyluzowanego Jacka, wygląda jak bełkoczący krasnal. Z tej odległości nos Jacka prezentuje się nienagannie, co mnie rozwściecza. Przydałby się choćby strupek czy jakiegokolwiek znamię. Nie widzą mnie, bo stoję za drzewem, ale słyszę ich doskonale.

– Nie daj się tu zatrzymać. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale to nie jest dobry powód do zmarnowania przyszłości – wykląda Evans. – Wiesz, ile odbieram dziennie telefonów z Princeton i Yale? Oni chcą ciebie. Możesz iść za darmo na uczelnię z Ligi Bluszczowej. Nie zmarnuj takiej szansy!

Spojrzenie Jacka jest lodowate jak zwykle, ale przez moment wydaje mi się, że widzę w jego oczach blask gniewu. Tłumi go jednak szybko i odzywa się łagodnie, przesadnie uprzejmie, jak mówi się do dorosłych, jeśli się chce, żeby nam dali spokój.

– Mam tego świadomość, ale dziękuję, nie skorzystam.

– Nie masz! Właśnie w tym problem, Jack, że nie masz świadomości. Ona wyzdrowieje, czy tu będziesz, czy nie.

Wtedy Jack zauważa mnie ponad ramieniem Evansa. Obdarza dyrektora uśmiechem pozbawionym wesołości i klepie go po ramieniu.

– Muszę iść. Przyjaciółka na mnie czeka.

Przeżywam wstrząs, gdy to powiedziawszy, rusza w moją stronę. Evans wpatruje się w jego plecy. Z twarzy Jacka nie znika uśmiechopodobny wstrętny grymas.

– Cześć. Przepraszam, że nie przyszedłem na lunch.

– Że co?

Nachyla się i czuję we włosach jego palce. Owiewa mnie zapach perfum, niezbyt mocny, ale przyjemny, słodki aromat unoszący się ponad konkurencyjnym zapachem swetra. Wwierca we mnie niebieskie oczy. Odzywa się tak cicho i złowieszczo, że brzmi jak potwór, a nie rozkoszny osobnik, jakim był przed kilkoma sekundami.

– Udawaj, że się przyjaźnimy.

– Podaj mi jeden rozsądny powód, dlaczego miałabym to zrobić – syczę.

– Will Cavanaugh. Tak się nazywał, prawda? – Na dźwięk tego imienia i nazwiska moją pierś przeszywa spazm bólu. Bezimienny. Skąd do cholery Jack o tym wie? – Aż się wzdrygnęłaś. Reagujesz na niego fizycznie. Musi cię wciąż bardzo boleć. Jesteś moją koleżanką albo powiem to jeszcze raz. Głośniej.

– Nie odważysz się!

– Will...

– Szukałam cię w stołówce! – mówię na tyle głośno, żeby Evans słyszał. Nie widzi jednak mojej twarzy. I dobrze, bo z moich oczu tryskają płomienie, a Jack mówi znów przyjaźnie:

– Chodźmy na pizzę. Ja stawiam. – Obejmuje mnie i odchodzimy. Jestem spięta i mam wyostrome zmysły. Jakiś chłopak dotyka mnie bez mojej zgody. Chciałabym mu przywalić jak zawodniczka wrestlingu, ale tego nie robię, żeby znów nie usłyszeć nazwiska Bezimiennego. Czuję jego żebra przyciśnięte do moich. Jakimś straszliwym cudem idziemy w jednym rytmie. Jack się ani razu nie ogląda, ja też nie, a kiedy znikamy za budynkiem G, wreszcie mnie puszcza, a ja odskakuję jak dźgnięta rozżarzoną poqrzebaczem.

– Co to do jasnej cholery było?! – warczę.

– Ja powinienem o to pytać – odpowiada Jack lodowato. – To ty rozsiewasz plotki na mój temat. Mało ci, że mnie walnęłaś, ty krwiożercza harpio?

– Sprawia mi przyjemność kopanie pod tobą towarzyskich dołków – mówię.

– Naprawdę „harpia” jest najostrzejszym, co ci przychodzi do głowy? To słodkie!

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakie adekwatne.

– O to się nie martw. Ale może spróbujesz się pokusić o coś oryginalniejszego? Harpia mnie w ogóle nie dotyka. Słyszałam to tysiące razy, uwierz mi.

– Nie zrobię tego. Znaczą: nie będę ci wierzył. A mój status towarzyski jest zupełnie w porządku. Budowałem go przez wiele lat i kilka słów wypowiedzianych przez wyszczekaną nową mu nie zaszkodzi.

– Jestem wyszczekana? Chcesz mnie w ten dyskretny sposób nazwać suką?

– Nie łap mnie za słówka.

– Chętnie.

– Ja w przeciwieństwie do ciebie mam jakieś życie. Nie mogę tracić czasu na analizowanie wszystkich aspektów tego, co czyni cię idiotką.

Usiłuje mnie wyminąć, ale zastawiam mu drogę.

– Nie przeprosiłeś Kayli.

Parska.

– Teraz już nie chodzi o Kaylę. Nie usprawiedliwiaj nią tego, że się do mnie przyczepiłaś. Rób to normalnie, jak wszystkie inne zachwycone mną laski.

– Dziwię się, że przy tak rozrośniętym ego udaje ci się podnieść rano głowę z poduszki. Nie każda istota z pochwą na ciebie leci, idioto.

– Więc po co rozsiewasz plotki o tym, jak całuję? Czy się do tego przyznasz, czy nie, to nie był przypadek. Pewnie użyłaś tego jako wyjaśnienia na imprezie. To pierwsze, co ci wpadło do głowy, tak? Był kiedyś taki bystry koleś, nazywał się Freud, poczytaj sobie.

– A ty sprawdź, jak się uchylić przed ciosem w głupi ryj, na wypadek, gdybym chciała cię walnąć. A nie, przepraszam, już cię walnęłam.

– Czyli odpowiedź na moją prośbę, żebyś przestała rozpuszczać plotki, brzmi „nie”? – Oczy ma złowrogie i lodowate, ale ja uśmiecham się jeszcze szerzej.

– Oczywiście! Teraz będę rozsiewać ich jeszcze więcej. Dzięki za cynk, że cię to dotknęło.

Mrugam do niego i odchodzę. Nie okazuje emocji, ale w ostatniej chwili zauważyłam na jego twarzy przelotny cień irytacji. Czyli tę rundę wygrałam.

Dzwoni dzwonek oznaczający koniec lunchu. Ludzie zaczynają wylewać się ze stołówek, a ja bezwstydnie knuję. Będę go prześladować, aż przeprosi Kaylę, przynajmniej tyle. Nie pozwolę kolejnemu dupkowi na puszenie się i traktowanie wszystkich z góry. Nigdy więcej.

Ktoś mocno łapie mnie za nadgarstek. Odwracam się, żeby na tę osobę nawrzeszczyć, a może i jej przywalić, ale widzę tylko zbliżającą się do mnie smugę, czuję spiczaste biodra wbijające mi się w brzuch i pochylającą się nade mną wysoką sylwetkę, skrywającą mnie w cieniu. W ostatniej chwili zauważam błysk niebieskich oczu. Unosi moją twarz lekko do góry i całuje mnie, muska językiem kącik ust, przywiera ustami do warg. Pocałunek rozsiewa iskry na języku, w gardle, płucach, sercu aż do brzucha, a nawet niżej. Wszystko płonie. Nie mogę oddychać, jestem unieruchomiona, całkowicie bezwolna. To pierwszy raz. Mój pierwszy pocałunek i czuję, że miękną mi kolana. Wydaję jakieś kretyńskie miauknięcie. Jaką idiotką trzeba być, żeby reagować w tak oklepany sposób?! Jaką idiotką, żeby dopuścić kogoś...

Wtedy uświadamiam sobie, że niebieskie oczy należały do Jacka.

Dociera do mnie, że po raz pierwszy w życiu pocałował mnie Jack Hunter. Przed całą szkołą. Ludzie gwizdzą i wiwatują. Czuję zapach jego perfum, a na języku smak mięty. Nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Jeśli chcesz wojny, Isis, dostaniesz ją.

W czterdzieści sekund po tym, jak Jack Hunter mnie pocałował i odszedł, ja wciąż jestem zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć. Tak po prostu. Tak po prostu jedyna szansa na pierwszy pocałunek została zmarnowana na Lodowego Dupo-Księcia z East Summit. Nie zrobiłam tego z kimś, kogo kocham. Boże, ja go nawet nie lubię! Nie miałam wyjścia, musiałam złożyć tę cenną chwilę na ołtarzu jego trędowatej dupkowatości.

Widzieli to chyba wszyscy w całej szkole. Nie mógł wybrać lepszego momentu. Zobaczyli to wszyscy wychodzący z lunchu, a ja, jak kompletna kretynka, sama się wpakowałam w paszczę lwa, idąc do jedynej w szkole przejścia między stołówką a głównymi drzwiami. Usiłuję dojść do siebie, a on odchodzi, niespiesznie i z dumą, jak jaguar.

Powoli wychodzę z szoku i uderzają mnie dwie rzeczy:

1. Jest dobry. Bardzo, bardzo dobry. Nie w całowaniu, na pewno nie. Po prostu mnie zaskoczył. Dlatego nie mogłam oddychać. Chodzi o to, że jest dobrym zawodnikiem. Sama zaczęłam tę grę, rozpuszczając plotkę, ale on błyskawicznie sprawił, że oberwałam rykoszetem mojego pierwszego wystrzału. W sam środek

tarczy. Lepiej sama bym tego nie zrobiła. Mam do czynienia z mistrzem w swoim fachu. Może nawet ze zbrodniarzem. To zależy, ile szklanek dziecięcej krwi wypija dziennie.

2. Zmarnował mój pierwszy pocałunek. Wszyscy widzieli, jak uginają się pode mną nogi (słabe kolana zdarzają się w mojej rodzinie, na starość wszyscy będziemy chodzić z laskami, więc to nic wyjątkowego) i już nigdy nie uwierzą, że źle całuje. Zrobił ze mnie kłamczuchę. W ciągu dziesięciu sekund udowodnił wszystkim, że łągałam. Niniejszym nie będę już Tą Nową, tylko Tą Nową, Która Skłamała i Powiedziała, Że Jack Hunter Źle Całuje.

Pocałował mnie po raz pierwszy w życiu i zrujnował mi reputację, ale co najważniejsze, pocałował mnie, choć byłam przekonana, że nikt nigdy tego nie robi. I nie zrobił, aż do teraz. Przeżyłam siedemnaście lat, nie zaliczywszy nawet jednej próby pocałunku. Brzydkich dziewczyn się nie całuje, taka jest zasada. Bezimienny nawet nie próbował. Nadzieję na bycie pocałowaną pochowałam w głębokim na dziewięć milionów metrów grobie zawierającym mój szacunek do mężczyzn.

Stopy same mnie niosą do klasy pani Gregory. Wokół słyszę moje imię i czuję na sobie spojrzenia. Trzeba szybko zaplanować kolejny ruch. Bez względu na wszystko zmuszę go, żeby przeprosił Kaylę. Chcę jakimś cudem ocalić reputację. Ale trudno mi się na tym skupić, bo w głowie słyszę buczącą kakofonię tłukących się po niej echem dwóch słów.

Zostałam pocałowana.

Zostałam pocałowana!

Gwałtownie kręcę głową, żeby pozbyć się tego echa i niemal tracę jeden z kolczyków z biedronką, który wyrwał się na wolność. Zamykam uratowaną istotkę w dłoni i głaszczę uspokajająco po nakrapianej emalii. Spokojnie, Panie Biedronko. Niech Pan nie odlatuje. Wciąż Pana kocham. To się nigdy nie zmieni. Ten pocałunek nie miał znaczenia. To tylko ten debil Jack chciał zrobić ze mnie kłamczuchę.

Gdy Pan Biedronka się uspokaja, siadam na swoim miejscu i odpływam, a pani Gregory mędzi coś o równaniach macierzowych. Muszę przeanalizować ostatnie wydarzenia. Oczywiście poddane cenzurze. Całkowicie wypieram kwestię pocałunku. To po pierwsze. Nie muszę do tego wracać. Faceci to gnoje, a Jack Hunter jest największym gnojem ze wszystkich. Gdyby ktoś pytał, pierwszy raz całowałam się z Johnnym Deppem i/lub Tomem Hiddlestonem. Możliwe, że jednocześnie. Pamiętać: przed wypowiedzeniem tego na głos, przepuścić wizję przez Kalkulator Realistycznego Prawdopodobieństwa.

Co do reszty: widziałam pana Evansa i Jacka, jak rozmawiali. Wygląda na to, że najlepsze uczelnie chcą, żeby Jack u nich studiował. Może ma dobre oceny albo co? Nie zdziwiłabym się, gdyby był mądry. Idealnie wykorzystał nadarzącą

się okazję, teraz, na korytarzu. Poza tym używa takich słów, że może być kujonem. Muszę przy tym wspomnieć, że ja też znam wydumane słowa, ale to dlatego, że jestem niemalże cudowna. On nie ma takiej wymówki. Mówili też o jakiejś „niej”. „Ona wyzdrowieje”. Co za ona? Czyżby w jakiś sposób powstrzymywała Jacka przed wyjazdem?

To tajemnica, na którą chwilowo nie mam czasu. Zapisuję informację w mózgu, żeby mieć ją pod ręką, na wypadek, gdybym w najbliższych dniach potrzebowała broni dużego kalibru, ale na razie jej nie zgłębiam. Muszę się skupić na okiełznaniu ego tego gościa, nie na analizie jego przyszłości. Chyba, że przyszłość kryje w sobie mnie duszącą go. Wtedy w porządku, powinnam się skoncentrować na upewnieniu się, że to wydarzenie zostanie utrwalone na uniwersalnej linii czasu.

A tak w ogóle, jakim cudem się dowiedział, jak się nazywa Bezimienny? Przecież nie pisały o nim gazety na Florydzie. Wszystko, co się stało, pozostało wiedzą prywatną, bolesną i intymną.

Skoro poznał dane Bezimiennego, czy zdoła się też wywiedzieć, co się między nami stało?

Szybko zapisuję na grzbiecie dłoni plan bitwy:

1. Oszacować zagrożenie.
2. Znaleźć słabe punkty.
3. Wykorzystać je.
4. Zwyciężyć.

– Isis? – rzuca pani Gregory. – Uważasz na lekcji?

– Siedemdziesiąt dwa – odpowiadam, a następnie zsuwam się z krzesła i wchodzę pod biurko.

– Słucham?

– Taki jest wynik – wołam spod blatu. – Siedemdziesiąt dwa.

Patrzy na mnie zszokowana, ale szybko gryzmoli coś na wolnym skrzydle tablicy, którego – jak sądzi – nie widzę. Cała klasa patrzy na mnie z zapartym tchem i zastanawia się, co się do cholery dzieje. W końcu nauczycielka się odwraca.

– Dobrze. Ale dlaczego siedzisz pod...?

Rozlega się dzwonek alarmowy, świdrujący, milknący i ozywający w krótkich interwałach. Pani Gregory każe wszystkim wejść pod ławki i zachować spokój. Jej owadzia twarz wprost emanuje spokojem. Alarm trwa przez cztery pełne napięcia minuty, w trakcie których ja zdrapuję z paznokci czarny lakier, a reszta debatuje, czy doszło do strzelaniny, a może to jakaś akcja narkotykowa. Pani Gregory wczołguje się pod ławkę obok mnie i marszczy brwi.

– Skąd wiedziałaś, że będzie alarm? Czy przypadkiem – ścisza głos i nachyla się – jesteś jakoś powiązana z podejrzanymi osobnikami? Możesz ze mną bez obaw

porozmawiać. Przekonam policję, że nie miałaś nic złego na myśli. Mamy specjalne programy dla takich uczniów...

– Widziałam tego chłopaka z nożami, jak latał po dziedzińcu w samych majtkach, z plastikowym nożem.

Jest w szoku, czemu się nie dziwię. Dyrektor Evans ogłasza przez radiowęzeł, że jesteśmy bezpieczni. Po drodze na parking mijam jego gabinet, gdzie siedzi Nożownik, a trzech policjantów debatuje, co zrobić. Pokazuję mu dwa uniesione kciuki, a on robi palcami ruch nożyczek, a potem przesuwa sobie nimi po gardle, chyba w ramach miłego powitania. Ale to mnie nie rusza. Wciąż jestem oszołomiona.

Zostałam pocałowana.

Byłam pewna, że to akurat nigdy mi się nie przydarzy, a właśnie się przydarzyło.

Rozdział 3

3 lata, 10 tygodni, 1 dzień

Szybko dowiedziałam się o East Summit High dwóch rzeczy:

1. Może i Avery jest najpopularniejsza, ale Kayla jest uważana za najładniejszą.

2. Każdy chłopak w szkole miał co najmniej pięć mokrych snów na jej temat.

Co oznacza, że Kayla nie musi walczyć o pozycję, płaszcząc się przed Avery, jak cała reszta. Po prostu pojawiła się, wyhodowała parę zabójczych cycków i olśniła wszystkich boską twarzą, a Avery przyjęła ją do grona swoich przyjaciółek na podstawie urody i braku charakteru. Mówię to z całą sympatią. Kayla rzeczywiście nie zaskoczyła silną osobowością. Ale nie jest głupia. Z tego wniosek, że albo lubi być popularna, albo lubi Avery. Założę się, że chodzi raczej o to pierwsze, bo kto wybrałby dobrowolne niewolnictwo zamiast uwielbienia tłumu rasistów i sprośnych wyznawców BDSM? Nikt.

Kayla zaprasza mnie do siebie na ciasteczka i współpracę przy ogarnięciu wielkiej pracy domowej z historii powszechnej, z którą niespecjalnie sobie radzi, co jest zrozumiałe, bo objęcie rozumem chwały Czyngis-chana może być trudne, jeśli rzeczony nie stoi człowiekowi nad głową i nie siecze mu gradem strzał po tyłku.

– Cześć, glutku! – ćwierkam do dwuletniego braciszka Kayli, który wtacza się do jej pokoju. W odpowiedzi beka.

– Widzę, że mówicie w tym samym języku! – śmieje się Kayla.

– Gdzie był ten cięty język, gdy Jack doprowadził cię do łez?

– Błagam cię! On mi się podoba! Nie będę mu docinać!

– Pamiętaj: najpierw jad, potem zad.

– Kto tak mówi?!

– Moja babcia. Jest szefową gangu motocyklistów w domu starców.

Przez kilka minut dobrze się bawię, ucząc brata Kayli puszczać bańki ze śliny. Kayla nadal jest trochę naburmuszona, że Jack mnie pocałował, tym razem naprawdę. Od godziny przekonuję ją, że to nic takiego, ale nadal nie wierzy.

– Wszyscy mówią, że wyglądałaś na zszokowaną. Tak pozytywnie. I co to jest, do cholery?! – Wskazuje na moją rękę. Trzymam w niej skórzany portfel.

– Ach, to? Nic takiego, wzięłam sobie.

– Wygląda jak rekwizyt z kiepskiego westernu.

Jej brat piszczy i ciągnie mnie za włosy. Wpisuję go na czarną listę znajomych.

– Ej, nie mów tak o moim portfelu! Masz skórzany portfel? Nie masz. A nawet, jakbyś miała, nie byłby taki fajny jak ten. Ten jest darmowy i satysfakcjonujący, przez co mam na myśli, że świsnęłam go mojemu wrogowi z tylnej kieszeni, kiedy mnie obmacywał.

– Ukradłaś portfel Jackowi Hunterowi?! – Oczy wyłażą Kayli z orbit. Macham jej portfelem przed nosem, a potem parskam.

– Myślisz, że poddałabym się bez walki? Zajrzymy?

Ciekawość walczy z lojalnością wobec ukochanego, ale jak wiadomo, ciekawość zabija różne gatunki kotów, łącznie z ludźmi. Siada koło mnie. Otwieram portfel i przez chwilę spodziewam się, że błysnie z niego jakaś niecna łuna, jak w kreskówkach, ale wypada tylko kawałek waty i unosi się zapach sosny. W środku jest dowód Jacka. Na zdjęciu intensywnie wpatruje się w obiektyw.

– Jest taki cudowny – wzdycha Kayla. – Wygląda dobrze nawet na zdjęciu do dowodu.

– Co ani chybi oznacza, że jest kosmitą. Albo miał operację plastyczną. A najprawdopodobniej jedno i drugie.

– Spójrz na jego wiek!

Wpatruję się we wbitą do dowodu datę urodzenia i marszczę brwi. Dwudziestego marca 1990 roku. Nie ma mowy, żeby miał aż tyle lat.

– To nie jest data jego urodzin – upiera się Kayla. – Urodził się dziewiątego stycznia 1998 roku.

Łypię na nią długo i znacząco, a ona się rumieni. Lipny dowód – w porządku. Przecież musimy jakoś zdobywać alkohol i wchodzić do klubów. To właściwie standard. Przeglądam dalej. Pięć dolarów w banknotach, jakieś drobne, karta do biblioteki, bo przecież jest kujonem, paragon za kurczaka i mleko oraz centymetr. Zupełnie zwyczajne rzeczy jak na ucznia liceum, ale zadziwiająco nudne, zważywszy, że znajdują się w portfelu kolesia, który mówi jak klon Einsteina, a wygląda jak model z reklamy bielizny. Spodziewałam się masy prezerwatyw i chociaż jednej tabletki ecstasy.

Brat Kayli wrzeszczy mi nad uchem, że chce cukierka. Mówię mu, że trzeba podlać kwiatki w ogrodzie, więc toczy się do kuchni, rozsiewając wkoło balony ze śliny.

– Patrz! – Kayla wyciąga coś z portfela. To plik wizytówek. W każdym razie tak myślę, że to wizytówki. Nie ma na nich danych ani adresu, więc nie mogą to być wizytówki służbowe. Są całe czarne, a na dole jest jeden czerwony wers, imię i numer telefonu wypisane taką samą, niepokojąco smukłą czcionką:

JADEN 555-354-3310

– Jaden musi naprawdę lubić Jacka, skoro dał mu tyle wizytówek – stwierdza Kayla. Boże, czasem jest taka ciemna.

– To jego wizytówki. Rozdaje je. Dlatego ma ich tyle.

Otwiera usta.

– Ale... on nie ma na imię Jaden.

– To pseudonim.

– Po co mu?

– Pewnie do pracy.

Kiwa głową. Ja zagryzam wargi i dręcę mózg, żeby zaczął myśleć jaśniej. Biorę jedną z wizytówek, a resztę wkładam na miejsce i oddaję Kayli portfel.

– Masz. Możesz mu oddać. Na pewno przeżywa, że go zgubił. Szansa na przechylenie szali zasług na twoją stronę. Choć jest to waga zbudowana z mizoginii i kości małych dzieci.

Kayla promienieje.

– Dzięki!

– Avery jest ciągle zła, że wyszłaś z imprezy? – pytam.

– Nie, nie. Avery się nigdy nie wścieka tak naprawdę. Ona po prostu się nie odzywa. Nie patrzy na ciebie. Ignoruje.

– Jasne. Bardzo rozsądnie.

– Miałam na tej imprezie pogadać z Wrenem. Wiesz, on jest przewodniczącym samorządu uczniowskiego.

– Przewodniczący samorządu chodzi na imprezy? Wiedz, że jestem pod wrażeniem.

– Jest bardzo fajny, ale przy okazji dość onieśmielający. Po maturze zdaje na politechnikę MIT i patrzy tylko w oczy. Nie na usta, nie na cycki, nawet nie na rzęsy. W oczy. Wyłącznie.

Wpatruje się we mnie, nie ruszając nawet powieką, ja się otrząsam.

– Dobrze, dobrze, czają. Mega koszmar.

– Ale akceptowany społecznie. To dziwne. Ze wszystkimi się przyjaźni. Naprawdę. Przez cały sezon oglądał *Naruto*, żeby mieć o czym gadać z ludźmi z klubu anime.

Gwiżdżę.

– Imponujące. Piekielnie. Możliwe w sumie, że pochodzi prosto z piekła.

– W każdym razie Avery chciała, żebym z nim porozmawiała.

– Tylko porozmawiała?

Kayla kiwa głową, jak na mój gust zbyt stanowczo.

– Żeby dostać więcej funduszy na klub francuski. Jest szefową. Chce zorganizować wycieczkę do Francji czy coś w tym stylu.

– Pogadałabyś z nim i już? Dostałabyś kasę? Jesteś taka dobra w negocjacjach?

– No wiesz. Jestem miła. Umiem przekonywać ludzi do różnych rzeczy.

– Jesteś ładna.

– Ale miła też! I bystra. Może nie wymiatam z historii powszechnej, ale

kogo w zasadzie obchodzą te wszystkie plagi? Mamy na to szczepionki. Za to jestem dobra z zajęć z gospodarstwa domowego. A pani Gregory mówi, że mam wrodzony talent do algebry. Słyszysz? Mam dużo więcej zalet niż tylko bycie ładną, więc nie gadaj jak wszyscy inni!

Oddycha szybko i trochę się zarumieniła. Podnoszę rękę, jakbym się poddawała.

– Dobrze. Przepraszam. Oczywiście. Masz o wiele więcej zalet. Chodziło mi tylko... tylko o to, że...

– No o co? Wiem, że jestem ładna, dobra? Wiem o tym! Wszyscy o tym mówią. Ale widocznie nie aż tak, skoro Jack Hunter pocałował ciebie, a nie mnie!

Ostatnie zdanie wykrzykuje. Słowa zawisają w powietrzu jak sopel lodu, ostry i złowrogi.

– Nie chciałam... Przepraszam.

– Nie chcę już o tym mówić – mruczy. – Muszę pilnować Geralda, więc gdybyś mogła się już zbierać, byłoby super.

Czuję, że brakuje mi powietrza w płucach.

– Aha. Dobra. Jasne.

Biorę plecak i wpycham do niego książki. Kayla wstaje i idzie do kuchni, gdzie ściera ziemię z buzi brata i beszta go za próbę zjedzenia stokrotek. Chciałabym się pożegnać albo przeprosić, ale nad sceną, którą jest nasza wątpa przyjaźń, wisi gruba kurtyna niezręczności. Chciałabym jej powiedzieć wiele rzeczy. Podziękować, że jako pierwsza zaprosiła mnie do domu, rozmawiała ze mną i jadła ze mną lunch. Ale słowa więzną mi w gardle, a wdzięczność, jaką żywię, naznaczona jest wstydem.

Wychodzę i wsiadam do samochodu, a przy okazji daję sobie mentalnego kopniaka. Oczywiście, że często słyszy, jaka jest ładna. Ciągłe ktoś to mówi. Ładne dziewczyny mają tego dość. Wykazałam się brakiem wrażliwości, że jej to powiedziałam, ale z drugiej strony, skąd ktoś taki jak ja mógłby znać doświadczenia ładnych dziewczyn?

Brzydka.

To, że Jack mnie pocałował. Czy to dla niej naprawdę coś aż tak wielkiego? Może nie doceniłam jej uczuć. Musi go naprawdę lubić, skoro jest aż tak załamana. Boże, gdybym ja wciąż wierzyła w miłość i ktoś by mi się podobał, a potem pocałował moją poniekąd-najlepszą-przyjaciółkę, też byłabym na nią zła!

Ma święte prawo mnie nienawidzić.

Ale wiele osób ma prawo. Nie jestem święta.

Mama przysłała esemesa z prośbą, żebym kupiła gąbki i trochę jagód. Czuję się tak okropnie z powodu tego, co mówiłam, że w sklepie biorę batonik. A właściwie trzy. Po powrocie do domu wślizguję się do łazienki mamy i liczę pigułki. Zostały dwie. Dobrze. To znaczy, że je łyka. Oddycham lżej, może w nocy

się wyśpię.

– Tata przysłał ci paczkę – oznajmia mama. Piecze babeczki, dlatego potrzebowała jagód. To dobry znak. Nie, cofnij: to najlepszy znak od dłuższego czasu! Jak byłam mała, piekła je stale.

– Dzięki – uśmiecham się. Trochę z przymusem. Jak zawsze. Dopóki całkiem nie wyzdrowieje, nie będę się uśmiechać szczerze.

Gorzej, że nawet już nie pamiętam, jak było kiedyś. Gdy nie chorowała.

Opakowana w brązowy papier paczka leży na moim łóżku. Na pudełku jest logo Chanel. Tata ożenił się z bogatą programistką z Nowego Jorku. Mają trzyletnie bliźniaczki i synka w drodze. Nigdy ich nie poznałam, ale już sama myśl, że mam przyrodnie rodzeństwo zmiata mnie z nóg. Widuję ich na Facebooku, bo tata wrzuca zdjęcia, ale wydaje mi się, że nie istnieją naprawdę. Traktuję te fotki jak wizerunek potwora z Loch Ness z photoshopa, o którym ktoś z Uniwersytetu Jakiegoś tam zaraz powie, że nie jest prawdziwy, bo światło z tyłu załamuje się nie tak, jak powinno czy coś w tym stylu.

Ale te dzieci są prawdziwe.

Czasem chciałabym, żeby nie były.

To jest tak straszna myśl, że się przed nią bronię. A w każdym razie próbuję.

W pudełku jest piękna bluzka z szyfonu. Lekka i puszysta, z milionem falbanek, ale trochę za duża. Nowa żona taty szacowała mój rozmiar na podstawie tego, co widziała dwa lata temu w wakacje, gdy byłam u nich z wizytą. Jest nawet miła, ale takie akcje uświadamiają mi, że chce, żebym ją lubiła. Myśli, że drogie prezenty z metkami znanych marek zdobędą serce laski z liceum. W ogóle mnie nie zna. Nie wie, że od tamtej pory schudłam prawie trzydzieści dziewięć kilo.

Chociaż, w sumie częściowo ma rację. Taka bluzka zdobyłaby serce każdej dziewczyny. Takiej, która nie jest brzydka. Może jeśli to włożę, będę ładniejsza i zrozumie chociaż promil problemów Kayli, poczuje to, co ona? Może będziemy się lepiej dogadywać?

Ściągam koszulkę i wkładam nową bluzkę przez głowę. Jest chłodna i przewiewna, a falbanki prężą się z każdym krokiem. Przez przejrzysty materiał widzę wściekle czerwone rozstępy na brzuchu, ale tym razem jakoś specjalnie mnie nie drażnią. Uśmiecham się do swojego odbicia w lustrze. Wyglądam inaczej.

Może Bezimienny się mylił i jednak jestem ładna?

Drzwi do mojego pokoju otwierają się nieoczekiwanie i zamieram jak sarna w świetle reflektorów, którymi są oczy mamy. Patrzy na mnie badawczo i od razu orzeka:

– O nie, skarbie, w ogóle do ciebie nie pasuje.

Powietrze znów ulatuje mi z płuc, tym razem w jeszcze głębszym sensie. Ostatecznym. Mama szerzej otwiera drzwi, nie ma pojęcia, jak żywej rany dotyka.

– Babeczki są gotowe. Chodź, zjesz kilka.

– Super. Za moment idę, tylko się przebiorę z tej głupiej szmaty.

Wychodzi, ale ja nie mogę już patrzeć na siebie bez wzdrygnięcia. Falbanki głupio dyndają. Kolor jest koszmarny, zwłaszcza na mnie. To nie moja bajka. Tak jak bycie ładną. Wykazałam się straszną głupotą, że poddałam próbie oczywiste fakty. Są pewne zasady. Pierwsza brzmi: nie próbuj być kimś, kim nie jesteś. To idiotyzm, strata energii.

Wkładam bluzkę z powrotem do pudełka i wtykam na dno szafy.

Rozdział 4

3 lata, 12 tygodni i 4 dni

Przez jakieś dwa następne tygodnie analizuję, czy powinnam rujnować Jackowi Hunterowi życie, tudzież reputację, tudzież szanse u kobiet. Albo facetów. W każdym razie życie uczuciowe. Tacy goście jak on nie powinni być szczęśliwi. Przekreśla nadzieję na szczęście średnio jednej dziewczynie na godzinę. W środę jedna włożyła mu list miłosny za wycieraczkę czarnego sedana. Nawet na niego nie patrząc, wyciągnął kartkę i przedarł na pół. Z miejsca, gdzie stała ładnie ubrana piękna blondynka z kółka teatralnego dobiegł rozpaczliwy jęk, bo jej serce zostało złamane i rozciągnięte na chodniku. Wyczekiwała jego reakcji, a teraz patrzyła, jak kawałki jej starannie skomponowanego listu przesyconego uczuciami fruwały po parkingu.

Pozbierałam fragmenty, a następnie przez trzy godziny pocieszałam tę dziewczynę. Siedziałyśmy na schodach, a ona łkała. Złożyłam list z powrotem w całość. Pełen był odniesień do Szekspira, w których całkiem nieźle porównywała Jacka do Romea. Powiedziałam jej, że ma rację, patologiczna mania Romea oraz jego upór, żeby nie zważać na cudze uczucia idealnie pasowały do Jacka. Za tę celną uwagę podziękowała, nazywając mnie szmatą.

Ale Płaczka z Kółka Teatralnego to dopiero początek. Przez dwa tygodnie śledzenia Jacka naliczyłam cztery wyznania miłości, każde kreatywniejsze od poprzedniego. Dziewczyna prowadząca poranny program w radiowęźle ogłasza, że Jack zdobył nagrodę w konkursie i po jej odbiór jest zapraszany do siedziby radia po lekcjach. Robi to codziennie. Codziennie! Ale Jack się nie zbliżył do tego miejsca, nawet nie przechodzi tym korytarzem. Wybiera trasę naokoło i w związku z tym prawie codziennie spóźnia się na czwartą lekcję. Przez kilka dni podglądałam redakcję radiowęźła po lekcjach. Oczywiście ta dziewczyna codziennie siedzi tam przez pół godziny, zanim zrezygnowana zamyka studio i odchodzi ze spuszczoną głową.

Z kolei dziewczyna z kółka artystycznego pracuje nad marmurowym posągiem Jacka (wszyscy wiedzą, że to on, nie ma wątpliwości), w olśniewającej pozie znanej z greckich pomników i z perfekcyjnie odwzorowaną twarzą. Krocze jest całkiem gładkie, a ona robi się czerwona, kiedy ktoś o to pyta, ale według Kayli odskubała je po kawałku. W końcu pracuje nad tą rzeźbą od pierwszej klasy, a teraz jest w czwartej. Jeszcze inna pisze wiersze i zostawia w jego szafce.

A Jack jest nieporuszony. Kompletnie obojętny na wszystko, co robią dziewczyny. Warto też wspomnieć, że nikt nie ma odwagi wymówić głośniej jego

imienia na korytarzu. Nie ma żadnych kumpli, lunch je sam, a w czasie przerwy siedzi w bibliotece. Z nikim nie rozmawia, ewidentnie z wyboru. Ale dlaczego? To mnie dręczy najbardziej – ładni ludzie nigdy nie są sami. Tego się nauczyłam przez siedemnaście lat spędzonych na tym padole. Czemu sprzeciwia się jednemu prawu, które uznałam za nienaruszalne?

Początkowo trzymałam się od niego z daleka, żeby nie nakręcać plotek, a może nawet sprawić, że Kayla zapomni o pocałunku. Ale plotek jest już tyle... Irytujący niekończący się bełkot. „Chodzą ze sobą”, to najczęstsza. Najdziwaczniejsza, że on jest moim alfonsem, a ja jestem uzależniona od wódki zmieszanej z syropem na kaszel. A moja ulubiona, to ta, że jestem jego dawno zaginioną siostrą bliźniaczką i że uprawiamy ostry, kazirodczy seks. Żadna z nich nie robi dobrze mojej znajomości z Kaylą, ale dzisiaj siedziała przy moim stoliku i jadłyśmy razem. W całkowitej ciszy. Nie jest to może krok we właściwą stronę, ale w każdym razie jakiś ruch. Zaczęła znów się do mnie przysiadać po tym, jak zwróciła Jackowi portfel, co obserwowałam. Poszło znacznie bardziej gładko niż za pierwszym razem – podała mu, a on skinął głową! Dobry znak! Nie widziałam jednak, żeby jego usta układały się w słowo „przepraszam”, a więc nie wsadził dumy do kieszeni, a ja nadal jestem z nim w stanie wojny, co stwierdziłam bez wielkiego żalu.

Kayla uśmiechała się potem przez wiele godzin. Co tylko dodało mi wiary w sens doprowadzenia do tych przeprosin. Niesamowite, w jakim stopniu on panuje nad jej emocjami i jak bardzo ma to gdzieś. Każdy chłopak w szkole by zabił, żeby wywołać na jej twarzy taki uśmiech. Jego beznamietność sprawia, że nienawidzę go jeszcze bardziej. Nikt nie powinien oddawać całego serca komuś, kto nawet tego nie zauważa.

Zatem wyposażona w jedną wizytówkę i mój niezłomny urok, ruszam na łowy.

Moją ofiarę namierzam bez trudu. Działa jak w zegarku, zawsze jest w tym samym nudnym miejscu o tej samej nudnej porze. Wchodzę do biblioteki. Wita mnie chłodne powietrze przesycone gęstym zapachem starych książek. Bibliotekarka rzuca okiem na purpurowe włosy, ale nic nie mówi. Widziała gorsze rzeczy. Następnie błędę wśród półek. Wreszcie mam: jest w dziale romansów. Piaskowe włosy opadają mu na oczy, gdy przegląda książkę... z napakowanym facetem na okładce? Brwi same mi się unoszą.

– Mógłbyś zrobić przysługę rzeszom uczennic tej szkoły i powiedzieć im, że jesteś gejem – mówię.

– Nie widziałas tabliczki? – pyta lodowato, nawet nie podnosząc wzroku. – Harpiom wstęp wzbroniony.

– Gdybym mogła być dowolnym zwierzęciem, wybrałabym majestatycznego jednorożca, ale wybaczę ci tę pomyłkę. Żeby odróżnić jedno od drugiego trzeba

niezłego wzroku. I jakiejś tam inteligencji.

Wtedy na mnie zerka, a w jego błękitnych oczach narasta irytacja.

– Nie mam teraz do ciebie cierpliwości.

– Posłuchaj sam siebie! „Nie mam teraz do ciebie cierpliwości” – przedrzeźniam jego głęboki głos. – Brzmisz jak moja mama! Jak rodzic! Jak stary, zgrzybiały dziad! A ile ty masz lat? Siedemnaście? Zaczynij się zachowywać adekwatnie.

– Chodzą o nas plotki. Dobrze byś wyszła na trzymaniu się ode mnie z daleka.

– Ach! Myślałam o tym, oczywiście. Ale bądźmy realistami. To liceum. Żadna odległość nie powstrzyma plotek od mnożenia się jak króliki

– Twój wybór metafor robi się freudowsko żalorny. Jeśli mnie pragniesz, to po prostu powiedz. Miejmy to za sobą, bo spuszczę cię po brzytwie.

– Chciałoby się, co? Ale nie ma mowy. Zapomnij. Po pierwsze, nie jesteś w moim typie...

– Jestem w typie wszystkich – wtrąca znużony.

– A po drugie, widziałeś w ogóle ten posąg z marmuru? Jest niesamowity! Mógłbyś przynajmniej dać jej szansę! Tak utalentowana dziewczyna musi być fajna.

Zamyka książkę i sięga po kolejną.

– Nie.

– Musisz przyznać, że to kawał dzieła sztuki, nawet jeśli lekko przesycony patologicznym uwielbieniem.

– Jedyne patologia, jaką znam, stoi przede mną – wzdycha.

– A co z tą panną z kółka teatralnego?

– Którą?

– Tą od listu za wycieraczką.

– Aha. – Patrzę, jak się krzywi.

– Ona jest urocza! I niska! I ma wielkie cycki! Poza tym jest wytrwała. Ale przede wszystkim ma wielkie cycki. Jak ostatnio sprawdzałam, u chłopaków to numer jeden. Cyyyyckiii! – Zarysowuję jej rozmiar na swojej znacząco mniej olśniewającej klatce piersiowej. – A skoro jest wytrwała, może dłużej znosić twoje aroganckie pierdzielenie. Będziecie doskonałą parą!

Jack parska.

– Nic nie wiesz o mnie, a na pewno za mało, żeby szukać mi pary wśród tych żalornych dziewczyn.

– Przestań mówić, że są żalorne! Są miłe, jasne? Po prostu żadnej nie dałeś szansy...

Porusza się tak szybko, że nie zdążam nawet mrugnąć powieką, kiedy zawisa nade mną, blokuje mnie z obu stron rękami i wpatruje się we mnie z tym samym

złowrogim wyrazem oczu, jak w czasie rozmowy z Evansem. Czuję, jakby miało mi rozerwać płuca, ale muszę być silna. Dla Kayli. I dla dobra całej wojny. Jestem silna, a w każdym razie on musi tak myśleć.

– One umieją się tylko płaszczyć – warczy. – Jestem dla nich rzeczą, nie osobą. Uwielbiają mnie, bo mnie nie znają.

– To twoja wina. Wszyscy cię mają za skomplikowanego i onieśmielającego, bo ty tak chcesz. Nie starasz się być miły ani zdobywać przyjaciół. Łatwiej być uwielbianym, niż się z kimś przyjaźnić.

– Co ty do cholery możesz wiedzieć?

– Nic nie wiem. Poza tym, że siedzisz w bibliotece, czytając jakieś gówniane romanse. – Macham ręką, wskazując na półki wkoło. On wygląda, jakby patrzył gdzieś w głąb mnie i poszukiwał słabego punktu, który mógłby wykorzystać. Wygląda jak lew okrążający ofiarę. Ale nie dam się zjeść.

Ja jestem tygrysem.

On musi to widzieć, bo się wycofuje. Odstawia książkę, ale bierze kilka innych i układa w stosik na ramieniu.

– To nie dla mnie.

– Jasne.

– Mam koleżankę, która je lubi – wyjaśnia jakby łagodniej. – Ale nie może często wychodzić. Dlatego jej zawożę.

– Aha. No dobrze. To miłe z twojej strony. Ale też trochę dziwne, zważywszy, że tak bardzo nie lubisz kobiet.

– Nie powiedziałem, że nie lubię, tylko że jestem nimi zmęczony. To różnica.

– Zmęczony?! Masz siedemnaście lat! Czy ja muszę ci o tym stale przypominać? Jest masa kobiet, których jeszcze nie poznałeś! Nie zachowuj się, jakby cię nudziły... No wiesz. Kizie mizie. Faceci nigdy nie mają dość kizi mizi.

Wpatruje się we mnie ze znużeniem, ale mogłabym przysiąc, że przez moment słyszę coś w rodzaju śmiecho-parsknięcia.

– Jesteś dziwna. I durna. Ale mogło być gorzej. Mogłaś być normalna.

– Mogłabym – zgadzam się. – Ale mogłoby być jeszcze gorzej. Mogłabym cię lubić.

– Fakt. Ja też cię nie lubię. Nawet więcej: gardzę tobą.

– Moglibyśmy skończyć rozmowę na temat tej odrobiny obrzydliwych uczuć, którymi mnie darzysz?

– Uwierz, że jest ich nawet mniej niż odrobina. A „obrzydliwy” to niedopowiedzenie. Wywołujesz u mnie torsje.

– Świetnie! Czyli mamy to samo! Po drodze do biblioteki wymiotowałam cztery razy, ale muszę cię o coś spytać.

Podstawiam mu pod nos czarno-czerwoną wizytówkę. Wyraz twarzy Jacka

nie zmienia się ani trochę. Przesuwam mu kartonik kilka razy przed oczami, żeby wiedział, o czym mówimy.

– Ani trochę cię nie martwi, że to mam?

– Wiedziałem, że masz. Policzyłem wizytówki, gdy twoja przyjaciółka oddała mi portfel, który ukradłaś.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– A niby skąd Kayla miałaby go mieć? Ona nie jest typem złodziejki. Ty jak najbardziej.

– Gdybym nie zawierała milionów ton sześciennej pewności siebie mogłabym się poczuć urażona!

– Miałem dwadzieścia dwie wizytówki, a w zwróconym portfelu było dwadzieścia jeden.

– Masz nerwicę natręctw czy co? Liczysz, ile masz wizytówek?

– Możesz sobie już dać spokój ze straszaniem mnie?

Zerkam na niego przelotnie.

– Nie zadzwoniłam pod ten numer. Jeszcze.

– Ale przepisałaś go sobie.

– Oczywiście! A jeśli masz w tym swoim zakutym łbie chociaż łyżkę mózgu, przeprosisz Kaylę, zanim tam zadzwonię i szepnę szkolnej policji, że po lekcjach sprzedajesz prochy.

Parska

– Prochy? Taki masz pomysł? Myślisz, że jestem aż tak przewidywalny? Czuję się niemal urażony.

– W poprawczaku też będą niemal urażeni twoją nienagannością. Na tyle urażeni, że zapiszą ci codzienną terapię behawioralno-bicepsową.

– Boże, jaka ty jesteś biedna! – Śmieje się i uciska nos, jakby bolała go głowa. – Biedna, naiwna dziewczynka. Miesisz jęzorem, jaka to jesteś mądrzejsza od wszystkich i jaka inna, a okazuje się, że niczym się nie różnisz od tych niczego nieświadomych panienek.

– Nie wywyższaj się! – warczę. – Wiem, że dla pieniędzy robisz coś nielegalnego. I jeśli nie przeprosisz Kayli...

– To co? Wydasz mnie? Proszę bardzo. Zadzwon. – Nachyla się do mnie. – Takie małe wyzwanie.

– Odsuń się – syczę mu w twarz. Mruży lodowate oczy, ale ani drgnie.

– No już. – Podaje mi swój telefon.

To pułapka. Wchodzę do najgroźniejszej pułapki w historii świata. Jack patrzy na mnie z zainteresowaniem, niemal wygłodniałe. Chce, żebym się dowiedziała, co oznacza ta wizytówka. Wtedy potrzask zamknie się na mojej nodze. Ale chcę wiedzieć. Ciekawska strona mojej natury krzyczy głośniejsz niż ta rozważna i dowodząca bitwą. Jeśli zadzwonię, będę miała doskonały materiał do

szantażowania go. Teoretycznie. W końcu co się może stać? Nie wylecę w powietrze ani nic takiego. To pewnie w ogóle nic, wielka ściema, ale nie dowiem się, jeśli nie sprawdzę.

Powoli wybieram numer i podnoszę słuchawkę do ucha. Jest sygnał. I następny. Jack się nie rusza. Prawie nie mruga. A ja ledwie oddycham. Niecierpliwość przygniata mi żebra.

– Madison przy telefonie – szczebioce miłym głosem jakaś kobieta. – W czym mogę pomóc?

– Eeee. Dzień dobry... Ja...

– Szukam róży – podpowiada cicho Jack. Jest tak blisko, że czuję jego zapach. Miód z odrobiną pieprzu? Włosy opadają mu na oczy i czuję się jak w środku sesji zdjęciowej, ale nie mogę przerwać kontaktu wzrokowego, żeby się nie domyślił.

– Szukam róży – skrzeczę w końcu.

Chwila ciszy.

– Chwileczkę, tylko sięgnę po kalendarz. Mogłabym prosić o pani imię? Zerkam znów na Jacka, ale kręci głową.

– Isi... Isabelle.

– Dziękuję. W czyjej sprawie pani dzwoni?

– Eee...

– Jakie imię widnieje na wizytówce, którą pani dostała?

– Ach. Jaden.

Jeśli to jakaś infolinia, na której zamawia się prochy, to tego się nie spodziewałam. Słyszę, że kobieta pisze coś na klawiaturze. Jack patrzy ponad moim ramieniem, obserwuje mijających nas ludzi, ale wiem, że jest całkowicie skupiony na rozmowie.

– Czy to pani pierwszy raz w Rose Club?

– T-tak? A tak. – W klubie? Co to za klub?

– W takim razie bardzo dziękujemy za zaufanie. Jaden jest jednym z naszych najpopularniejszych panów do towarzystwa, więc obawiam się, że będzie pani musiała poczekać. Najbliższy termin to czwarty grudnia o dwunastej trzydzieści. Muszę też wspomnieć, że jego stawka jest znacząco wyższa niż pozostałych naszych panów...

Nie mogę wcelować w guzik kończący rozmowę, a w rezultacie telefon mi wypada i ląduje na podłodze. Wskakuje pod regał i znika. Jack się schyla i wydobywa go płynnym ruchem.

– Nagrałem tę rozmowę – informuje. – Mam twoją rozmowę z operatorką. Zmontuję to tak, żeby cię zrobić. Jeśli komukolwiek powiesz, co wiesz o tej wizytówce, pozwę cię o zniesławienie. Rozumiemy się?

Przełykam ślinę z takim trudem, że słyszę, jak mi trzeszczy w gardle. Jack

Hunter jest mężczyzną do towarzystwa? Prawdziwym? W wieku siedemnastu lat? Niemożliwe...

– Rozumiemy się?! – powtarza bardziej stanowczo. Nie zaszczytam go skinieniem głowy. Odchodzę, zanim zdąży przemówić jeszcze bardziej władczo. To była pułapka. A ja w nią wpadłam.

Patrzę, jak Isis odchodzi. W jej krokach rozpoznaję focha. Nie pierwszy raz widzę ją wściekłą. Ale na pewno po raz pierwszy jest tak zbita z tropu. Moje wyznanie nią wstrząsnęło i wytrąciło z równowagi. Jeśli to nie wystarczy, żeby dała mi święty spokój, nie wiem, co będę musiał zrobić. Zaryzykowałem prawdę, żeby ją porządnie wystraszyć i zmusić do zajęcia się czym innym, ale czy podziałało? Okaze się za kilka dni.

Chcę, żeby się udało.

Żeby przestała za mną łązić i mnie dręczyć.

Ktoś ją wyraźnie wprowadził w błąd albo jest po prostu znudzona. W każdym razie przypominam jej kogoś, kto ją kiedyś skrzywdził. Nawet idiota by się zorientował. Jak to możliwe, żeby dziewczyna była tak irytująca i tak uparta? Większość daje spokój, kiedy im mówię, żeby się odczepiły. A w każdym razie odchodzą do swoich spraw i więcej nie próbują. Ona nie ma żadnych zahamowań ani taktu. Jest nieokrzęsana, szalona i nie cofa się przed niczym. Skacze na główkę na każdą przeszkodę, jaką napotka na drodze. Czegoś takiego bym się nie spodziewał. Doprowadza mnie do furii.

– Postraszyłeś kolejną dziewczynę?

Podnoszę wzrok. To bibliotekarka z naręczem książek, które starannie ustawia na półce tuż obok mnie. Nie zawsze się dogadywaliśmy, ale pozwala mi siedzieć tu zawsze, jak mam ochotę, więc jestem jej wdzięczny.

– To nie pani sprawa.

Śmieje się.

– Ależ oczywiście. Ale jak to dłużej potrwa, skończysz tak jak ja: będziesz sam jak palec.

– Może do tego dążę.

Wzdycha i odstawia jedną z książek na najwyższą półkę.

– To bardzo romantyczne i tragiczne, ale zdradzę ci tajemnicę: tak naprawdę nikt tego nie chce. Tylko poeci i psychopaci chcą mieć spokój na zawsze, a po trzech latach znajomości wiem, że nie jesteś ani jednym, ani drugim.

– Dziękuję za to jakże mądre przesłanie, ale proszę pozwolić, że nie będę sobie brał do serca bajdurzenia szkolnej bibliotekarki.

Odchodzę już, ale ona znów się odzywa, tym razem rozdrażniona:

– Nie musisz się karać.

Idę dalej. Ona nic nie rozumie.

Powietrze na zewnątrz jest ciepłe i pachnie świeżością, ale moje wnętrze

gniją. Od tamtego wieczoru pięć lat temu.

Zasługuję na to.

To moja kara.

Gdzieś w głębi mi ulżyło. Cieszę się, że ktoś wie, co robię, nawet, jeśli tym kimś jest tak niewrażliwa dziewczyna jak Isis. Od tyłu miesiący trzymam prawdę w sekrecie, że zapomniałem już, jaka jest toksyczna. Ale teraz zrobiło się jakby swobodniej. Nie. To ja czuję się bardziej wyzwolony. Zaangażowałem się w tę pracę, żeby pomagać Sophii. W każdym razie tak sobie wmawiam. No nie, oczywiście, że jej pomagam. Ale jednocześnie to kłopotliwe. Męczące. Czasem czuję się wykorzystywany.

To kara za zło, które wyrządziłem.

Przyjmuję ją.

Oberwało mi się.

Mówię to z podziwem, chociaż nienawidzę Jacka Huntera. Nie cofa się przed niczym, wali mocno i nigdy nie odpuszcza. Gdybym nie była sobą, czułabym się zraniona i pokonana, a moja duma ległaby w gruzach. Na szczęście jestem Isis Blake, a mówią o niej, że to super fajna laska, która nigdy się nie poddaje. Bezimienny mnie nie pokonał, więc na pewno nie pozwolę na to pierwszemu z brzegu lalusiowi. Ze sobą mogę wygrać tylko ja sama!

Czuję się trochę bardziej dowartościowana, więc na światłach pogłaśniam radio. Mój mózg działa na najwyższych obrotach. Robię w głowie listę:

1. Jack zna jakąś dziewczynę. Przynosi jej romansidła. Ona nie może wychodzić z domu. Może ma przewrażliwionych rodziców? Czy to ta sama dziewczyna, o której mówił Evans, że Jack ma ją zostawić? Konieczne będzie bardziej drobiazgowe śledztwo. Dziewczyna może być kluczem do odwrócenia biegu wydarzeń. Wydaje się, że Jack bardzo się nią przejmuje. W każdym razie bardziej niż sobą. Muszę się dowiedzieć, kim ona jest.

2. Jack jest mężczyzną do towarzystwa. Wydaje się, że tak bywa tylko w głupich serialach, ale przecież słyszałam tę babkę w telefonie. Jeśli była podstawiona, to świetnie jej poszło. Ale coś mi mówi, że nie była. Jack jest dobry w te klocki, ale nie aż tak. Nie zdołałby zorganizować całej lipnej linii telefonicznej i wynająć laski, żeby mi wmówiła, że jest mężczyzną do towarzystwa. Zresztą nawet, gdyby zdołał, co by mu z tego przyszło? W czym miałyby mu pomóc? W niczym. A więc to musi być prawda.

2a. Wyrażenie „mężczyzna do towarzystwa” może mieć wiele znaczeń, ale najlepiej pasuje: mężczyzna towarzyszący kobiecie w czasie publicznych spotkań. Kobiety wynajmują Jacka. Nie, poprawka: Jadena. Kobiety do towarzystwa są zwykle wynajmowane dla seksu. Czy ta zasada działa też w odniesieniu do mężczyzn? Czy Jack – a wszystko na to wskazuje – uprawia seks za pieniądze?

2b. Jeśli nawet, to nie mogę wykorzystać tej informacji, bo ma nagranie,

którego może użyć przeciwko mnie. Zabija mnie to, że nie mogę nic powiedzieć, a rozpowiedzenie, czym się zajmuje po szkole, byłoby idealną zemstą za zmarnowanie mojego pierwszego pocałunku. Ale nie chcę iść na dno razem z nim. Nie chcę skończyć w sądzie. Nawet jeśli to błąd, mamie nie potrzeba więcej stresów. Nie mówiąc już o tym, że nie mamy kasy na bujanie się z prawnikami. Muszę znaleźć inny sposób na sprawienie, że pożałuje, że kiedykolwiek mnie dotknął, obraził Kayle i że jest Największym Cwokiem Stulecia.

Nigdy jeszcze nie walczyłam z kimś tak skomplikowanym.

Moi wrogowie w dawnej szkole to były dupki, proste jak budowa cepa, tacy, co krzyczą „suka” albo „lesba” na korytarzu i czasem roznoszą plotki o tym, że spało się z jakimiś (ładnymi) dziewczynami. I tyle. Dalej się nie posuwali. Łatwo było ich przejrzeć (niepewność, kompensacja braków) i dobić celnym komentarzem o niedostatkach w okolicy genitalnej czy potrzebie zdobycia kolegów.

Ale Jack? Jack jest jak stal i czarny lód. Śmiertelnie poważny, ostry jak katana i nieprzenikniony jak zadymka śnieżna. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Wiem tylko, że nie jest tym, kim się wydaje. Chłopak, który zanoszi dziewczynie romansidła, bo ona nie może wychodzić z domu, nie jest potworem. Tak się zachowują mili ludzie.

Z drugiej strony w bolesny sposób nauczyłam się, że nawet mili chłopcy mogą okazać się potworami.

Jack jest dobry i z tak dobrym wrogiem nie miałam jeszcze do czynienia, więc potrzebuję odpowiedzi, informacji i taktyki. Muszę działać szybko. Zamierzam udać się do jedynej osoby, która może wiedzieć o Jacku cokolwiek więcej.

W soboty Wren pracuje jako wolontariusz w miejscowym banku jedzenia. Wiem o tym, bo jeśli w czasie porannych ogłoszeń pani Gregory natrafi na niego wzrokiem, czuje przemożną potrzebę wymienienia wszystkich jego osiągnięć, poczynając od tego, jak często pracuje jako wolontariusz i gdzie. Zatrzymuję samochód i wysiadam, a potem przepycham się przez tłum samotnych matek z rozwrzeszczanymi dziećmi i mniej lub bardziej bezdomnych. Jakiś facet obcina mnie wzrokiem i gwizdże, a potem dorzuca: „Ale mamuśka!”, ale cuchnie wódą i moczem, więc już rozumiem: tylko ludzie z poważnie uszkodzoną zdolnością do oceny mogą mnie uważać za na tyle ładną, żeby na mnie gwizdać. Wrena znajduję na samym początku kolejki, za stołami pełnymi puszek kukurydzy i tuńczyka. Rozmawia z innymi wolontariuszami i wprawnie, efektywnie zarządza ich pracą. Czarne włosy ma zaczesane do tyłu. Z powodu okularów wygląda na o wiele starszego niż jest. Nie jest przystojny jak Jack, ale strasznie słodki, jeśli się lubi rozgadanych, wielkookich chłopaków z sąsiedztwa. Objawiam się u jego boku.

– Twoja mama miała fantazję... Wren, czyli strzyżyk. – Podnosi wzrok, ale

nic nie rozumie. – Jeśli już się uparła na ptaka, mogła cię nazwać Kurczak, przynajmniej każdy by wiedział, jak to to wygląda.

– Nic trudnego, żeby to sprawdzić.

– Wiesz, jak jest. Nie każdemu się chce, a potem cholera wie, o czym myślą, jak na ciebie patrzą.

– Przepraszam – mruży oczy. – Czy my się znamy? Ach, czekaj. Znam cię! Ta nowa. Isis Blake.

– Jedyna i niepowtarzalna! – uśmiecham się.

– Urodzona pierwszego lipca 1998 roku, grupa krwi 0 Rh+. Mieszkałaś u cioci w Good Falls na Florydzie. Masz uczulenie na truskawki.

Jestem w szoku, ale uśmiech nie znika mi z twarzy.

– Skąd wiesz...?

– Czytałem twoje akta. Pracuję jako wolontariusz w szkolnym archiwum. – Dostawia kolejną puszkę do tuńczykowej piramidy.

– Aha. Jasne. To trochę straszne, ale wszystko wyjaśnia.

– Mógłbym coś dla ciebie zrobić? – Uśmiecha się szeroko i na mnie patrzy. Nagle staję się obiektem jego słynnego spojrzenia. Jego gałki oczne nie przesuwają się nawet o milimetr, tylko wiercą dziurę gdzieś w głębi mojej głowy. Odwracam wzrok, ale gdy po chwili sprawdzam, czy coś się zmieniło, on nadal patrzy z niezmiennie uprzejmym uśmiechem. Odchrząkuję.

– Jak być może wiesz, jestem w stanie towarzyskiej wojny z Jackiem Hunterem.

– Nie da się uniknąć wieści o kolejnych przyjemnościach, jakie sobie fundujecie.

– No właśnie. A słyszałam, że znasz wszystkich. Dosłownie wszystkich.

– Szczycę się tym, że rozmawiam z każdym na terenie szkoły. Lubię być w dobrych stosunkach z jak największą liczbą osób.

– Czyli odpowiedź brzmi „tak”?

– Tak. Znam wszystkich. A jeśli nawet nie znam, tak jak w twoim przypadku, mam nadzieję wkrótce poznać.

Jego uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny, co mnie przyprawia o jeszcze większe ciarki.

– Właśnie... – odzywam się powoli. – No więc, założę się, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który zna Jacka.

Wren wybucha śmiechem.

– Znać Jacka? Jasne, znam. O ile można go znać. On jest jak wilk, przychodzi i odchodzi, a nawet jak już jest, niczego nie wyjaśnia. Ale, zdarza się, choć rzadko, że zagląda w środku nocy. Jeśli chcesz się czegoś o nim dowiedzieć, obawiam się, że nie mogę pomóc. Jestem trochę zajęty.

Sięga po puszkę sosu pomidorowego i przygląda się jej jak najcenniejszemu

klejnotowi. Następnie podaje ją pracującej obok niego kobiecie.

– Jest uszkodzona. Wyrzuć ją do śmieci.

– Wygląda dobrze! – protestuje ona.

– Tutaj. – Przesuwa jej palce na właściwe miejsce. – Czujesz? Wgniecenie.

Puszki źle to znoszą. Można kogoś w ten sposób otruć.

Kobieta, która jest już wyraźnie po studiach, rumieni się mocniej niż licealistka. Wren odwraca się z powrotem do mnie, ale ja cicho gwiżdżę.

– To była niezła metafora, szefuńciu. Ja tam porównuję Jacka do beznogiej, wymazanej w śluzie ameby, ale wilk też może być.

– Mam na imię Wren – informuje mnie stanowczo.

– Lubisz burrito, szefuńciu? Za rogiem jest budka. Widziałam po drodze. Zdaje się, że mają wielkie porcje. Nie dam rady zjeść całej sama. Ale umieram z głodu, a że jest pora lunchu... – wskazuję kciukiem gdzieś za swoje plecy. – Pójdę i zobaczę, jak wygląda sytuacja. Myślę, że się jeszcze zobaczymy.

Buda z burrito stoi w kręgu stolików piknikowych z kolorowymi parasolkami rzucającymi cień na parking. Przed nią sterczy kolejka zmęczonych robotników z naprzeciwka, którzy nie mogą się doczekać wbicia zębów w serowo-fasolowe cudo. Zamawiam porcję z kurczakiem i zieloną salsą. Starannie przecinam na pół i jedną część układam na stoliku naprzeciwko siebie, a drugą zaczynam jeść. I czekam. Wiem, że wybrałam przynętę idealną. Wren dobrze maskuje zmęczenie, ale widziałam, że nie dojada. To ten typ, który ciągle ma coś do zrobienia i w efekcie zapomina o jedzeniu.

Na blat mojego stolika pada cień i naprzeciwko zasiada Wren. Przysuwa do siebie połówkę burrito, uprzejmy uśmiech blednie.

– Nie masz nic przeciwko?

– Skąd. – Kawalek sałaty ląduje mi na bluzce. Wren wsuwa z zawrotną szybkością. Ociera usta serwetką, a ja biję brawo.

– Brawo, szefuńciu. Jest dla ciebie nadzieja.

– Nie jadłem śniadania – tłumaczy się wstydliwie.

– Wiem.

– Skąd?

Wskazuję na jego dłoń.

– Po paznokciach. Są przezroczyste i w wypukłe kropeczki, widzisz? Ja też takie miałam, jak byłam na diecie. Za mało żelaza. W ogóle za mało wszystkiego, kropka. Jak chcesz, mogę zamówić jeszcze jedno.

– Nie, nie trzeba – odpowiada trochę za szybko i znów przyszpila mnie wzrokiem. – Jesteś bardzo spostrzegawcza.

Wzruszam ramionami.

– Jak inaczej miałabym zdobyć tak zjawiskową wiedzę o gatunku ludzkim?

– Jesteś taka jak on. – Wren śmieje się i wstaje. Rusza z powrotem w

kierunku namiotu, więc wyrzucam serwetkę do śmieci i szybko lecę za nim.

– Jak kto?

– Jack. Macie takie samo oko do szczegółów. Wychwytujecie prawdę w ludziach. – Wywracam oczami, ale Wren kręci głową. – On też już u mnie był. W twojej sprawie. Ale to tylko kolejny dowód, że podobnie myślicie. Tyle że ty byłaś wolniejsza. – Miażdżę go wzrokiem, ale on się tylko uśmiecha. – Niewiele mu powiedziałem. Ale jeśli chcesz coś wiedzieć, parę rzeczy się znajdzie. Choć jest wiele niewiadomych.

– Co to za dziewczyna? – pytam od razu.

– Jaka?

– Ta, której zanoszą książki.

– Ach. Pewnie Sophia.

– Sophia – powtarzam cicho. – To jego siostra?

– Nie. Przyjaciółka. A może nawet więcej. Bardzo jej strzeże. Wiem, że jest chora, prawie cały czas przebywa w szpitalu.

– Chora Sophia. Mam! – Łapię spadającą z blatu puszkę i podaję lasce od rumieńca. – Coś jeszcze?

– Mieszka z mamą w Coral Heights.

– To to drogie, ogrodzone osiedle z dużymi domami?

– Tak, niedaleko Columbus.

– A tata?

– Zginął w katastrofie samolotu, tak mi się zdaje. Dawno temu, ale czytałem w gazecie. Był pilotem dużej linii. Stopiła się izolacja na skrzydle. Szybko poszło.

– Wren głęboko oddycha. – Zdołał wylądować i zabezpieczyć kabinę pasażerską. Dwieście osób uciekło, ale on i drugi pilot zginęli w wyniku uderzenia o ziemię. Matka Jacka dostała sporo kasy po procesie z liniami lotniczymi.

Zaciskam oczy. Serce mi pęka. Chwytam je mocno za komory. Nie pora na żalowane wroga, głupia! Weź się w garść! I to już! Żeby nie musiała powtarzać!

– A ty... co mu powiedziałeś o mnie?

– Mówiłem o Willu Cavanaugh.

Wzdrygam się tak gwałtownie, że wpadam na stolik za mną. Piramida puszek z zupą chwieje się, a potem spada. Tłumię przekleństwo i szybko naprawiam szkodę. Gdy piramida wraca na miejsce i znów olśniewa czerwonymi napisami „bez soli!”, Wren wzdycha.

– Wiem, mój kuzyn to kawał gnoja. Nie dziwię się że tak zareagowałaś.

– Jest... – Przełykam ślinę, a moje gardło grzechocze jak pudełko spinaczy.

– Twoim...

– Kuzynem – potwierdza Wren. – Nie wiem, czy słyszałaś, ale świat jest mały.

– Mikroskopijny wręcz – śmieję się nerwowo, ale nie jestem ani trochę

wesoła. Bezimienny jest bliżej niż myślałam. Nie, uspokój się, to nie on. To tylko powiązanie z nim. Nie ma go tu i nigdy nie będzie. Oby... Zapisuję w pamięci, że muszę znaleźć jakiś w miarę wysoki klif w okolicy, żeby móc się z niego rzucić jakby co.

– Nie wiem, co się dokładnie między wami wydarzyło, ale mówił, że kiedyś tam byliście jakoś związani.

– Tak? Związani! Doskonale!

– Dobrze się czujesz? Jesteś zielona.

– Nic... nic mi nie jest. – Kładę rękę na żołądku, żeby go uspokoić i przy okazji wysyłam monit: „Czy ze zwrotem burrito możesz zaczekać, aż będziemy sami? Dzięki i pozdrawiam, Zarząd Główny z Górnego Piętra”.

Żołądek odpowiada buntowniczym bulgotem. Wren sprawdza coś w notesie, ale jakimś cudem nie odrywa ode mnie wzroku.

– Mógłbym jeszcze jakoś pomóc?

– Może wiesz, czy prostytutka osób nieletnich jest legalna?

Wreszcie mruga.

– Słucham?

– Zakładam, że nie dają za to kary śmierci, ale to pewnie poważniejsza sprawa niż picie? Mniej więcej jakoś pomiędzy, tak?

– Tak sądzę.

– Dobra, super. Jeszcze raz dzięki, szefuńciu!

Krzywi się na dźwięk tego przezwiska, ale ja macham mu i odchodzę, a w mojej głowie zaczyna kształtować się fantastyczny, mega genialny plan.

Może Jack Hunter jest w moich oczach nieco bardziej ludzki. Możliwe, że ma chorą dziewczynę, jego ojciec nie żyje, ale nadal jest fiutem. Nadal prowadzimy wojnę. I choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokonam, musi przeprosić Kaylę.

Rozdział 5

3 lata, 12 tygodni, 5 dni

Małe internetowe śledztwo na temat Rose Club i już wiem dwie rzeczy:

1. Nie ma żadnego Rose Club. W każdym razie oficjalnie. Co prawda na jakichś tajemniczych seksforach z Ohio mówią o czymś zwanym „Klubem”, ale nie podają szczegółów. Zresztą, nic w tym dziwnego, to musi być nielegalne. A jeśli ten cały Klub zatrudnia nieletnich, to tym gorzej dla niego. Może Jack skłamał na temat swojego wieku? Ten jego lipny dowód wygląda dość przekonująco.

2. Kluby, w których można wynająć przystojnego faceta, są zwykle prowadzone przez cwanych, starszych żigolaków z Europy, gdzie jest to dość popularne rozwiązanie. Słyszysz się o bogatych, rozpuszczonych dziedziczkach wynajmujących chłopaków na studniówki, śluby, imprezy rodzinne i weekendy spędzane na dzikiej zabawie. Na przykład księżniczka Orlan-Reis (zjawiskowa osiemnastolatka) została w zeszłym miesiącu złapana w Los Angeles za jazdę pod wpływem. Miała na sobie siedem kilo najnowszej kolekcji Versacego, a ze sobą dwóch portugalskich przystojniaków do wynajęcia. A córka Billa Gatesa podobno od półtora roku pokazuje się z żigolakiem. Bogate dziewczyny lubią ładnych chłopców. A cokolwiek by mówić o Jacku, trzeba mu przyznać, że jest ładny. Trudno mi jednak uwierzyć, że taki klub miałby działać w Ohio. Jasne, w Columbus mieszka sporo bogatych osób, więc może i miałoby to sens, ale w porównaniu z naprawdę dużymi sensami, ten byłby raczej mizerny. Zaczniemy od tego: zdaje mi się, że seks za pieniądze rzadko bywa wymarzoną ścieżką kariery. A może o czymś nie wiem?

Kręcę głową i otwieram puszkę tuńczyka. Nie myślmy o seksie. Jasne, nawet brzydki ludzie uprawiają seks, ale ja? Nie widzę tego. Przeżyłam bez seksu większość liceum i wytrzymam jeszcze parę lat. A nawet, jeśli to zrobię, to nie z kimś, komu naprawdę będę się podobała za to, jaka jestem, bo musiałby lubić rozstępy i pryszcze, a jak ostatnio sprawdzałam, znacząca część populacji uważa jedno i drugie za obrzydliwe. Kiedyś się tym zajmę. To będzie przelotna sprawa. Barowa. Co robią dorośli, żeby ktoś ich bzyknął? Serwisy randkowe, zdaje się. Niezbyt zachęcająca okoliczność, ale nie mogę liczyć na nic innego. Zrażam do siebie ludzi, co nie rokuje także związkom.

– Skarbie! – Mama wchodzi do pokoju. – Twój ojciec pyta, do jakich college'ów będziesz zdawać.

Chcę się walnąć dłonią w czoło, ale zapominam, że w ręce trzymam otwieracz do puszek. Pocieram bolące miejsce i wzdycham.

– Mówiłam mu milion razy: Redfield, uniwersytet w Oregonie, w Idaho plus ten mormoński college w Seattle, co ma takie koszmarne broszury.

– Po co chcesz studiować w koszmarnym miejscu?

– Wygląda klimatycznie. Jak sekta. Zajebista sprawa.

Mama rzuca mi karcące spojrzenie i dodaje macierzyńskie skrzywienie ust.

– Milusińska sprawa – poprawiam się szybko. Wybucham śmiechem. Dobry znak. Dwa dobre znaki w miesiącu! Oczywiście mój optymizm tłamszony jest przez brutalny realizm: to nie potrwa długo. Mam nadzieję, że się mylę, ale wiem, że nie. Co nie znaczy, że nie zamierzam się cieszyć, dopóki dobra passa trwa. Wywalam tuńczyka na kanapkę i wstawiam do piekarnika, żeby zrobił się trochę przyjemniejszy. Ktoś dzwoni do drzwi, więc idę otworzyć. Na progu stoi Avery. Rude włosy ma od tyłu podświetlone płomieniami zachodzącego słońca, a na twarzy grymas.

– Cześć, super, że wpadłaś! – wołam.

– Nie przyszłam z wizytą – cedzi. – Daj mi pieniądze, żebym mogła już iść.

– A, jasne. Ile jestem winna?

– Dwie dychy.

– Czekaj.

Wbiegam na górę po dwa stopnie i jak wariatka grzebię w portfelu. Wyciągam dwie dziesiątki i mknę z powrotem na dół. Avery podaje mi brązową, zgniecioną torebkę z papieru.

– Dzięki – uśmiecham się. – To dla mnie wiele znaczy.

– Widzimy się w szkole.

– No tak – wybucham nerwowym śmiechem. – To nie dla mnie. To dla nerwowej córki chłopaka mojej ciotki. Która jest moją kuzynką.

– Jasne – parska Avery. – Jak sobie chcesz.

Potem zapada cisza i jestem przekonana, że zaraz odwróci się i odejdzie, jako że załatwiłyśmy już sprawy, ale stoi.

– Mogę ci coś doradzić? – mruży oczy.

– Dawaj.

– Trzymaj się z dala od przeszłości Jacka.

Unoszę brwi.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? I skąd w ogóle wiesz...

– Rozmawiałam z Wrenem. Pytałaś go o Jacka. Więc mówię ci: trzymaj się od tego z daleka. Ludzie źle wychodzą na mieszananiu się w jego przeszłość.

– Bo co? Zaczynają chorować na nieznaną medycynie chorobę? Jack ukradł kryształową czaszkę z jakiegoś grobowca? Mówiłam mu, że to kiepski pomysł...

– Jest niebezpieczny – wchodzi mi w słowo. – Rozumiesz? Jest cholernie niebezpieczny, jak człowiek zaczyna się do niego zbliżać. Jeśli się nie wycofasz, sama będziesz w niebezpieczeństwie, a tym razem nie będę mogła go

powstrzymać.

– To twoja koleżanka?

W okamgnieniu wpycham papierową torebkę za bluzkę. Wygląda to dziwnie i modlę się, żeby mama nie zauważyła naprędce wyhodowanej części ciała.

– No tak... Mamo, to jest Avery. Avery, to Patricia Blake, moja mama.

Avery zerka na moją mamę, ubraną w szlafrok, z załzawionymi oczami, wyglądającą na tak kruchą, jakby miała się zaraz rozsypać, i parska.

– Muszę iść.

Zanim mama zdąży wciągnąć ją do salonu, siedzi już w swoim zielonym saabie. Mądra dziewczyna. Nieuprzejma jak jasna cholera, ale mądra.

– Skądś ją znam... – zaczyna mama.

– Tak? Widziałaś ją?

– Na pewno. Ale nie mogę sobie za nic przypomnieć gdzie.

Papierową torebkę szmugluję na teren szkoły, prawie taranując tył ciężarówce woźnego, który w poniedziałek rano wjeżdża przede mną na parking. Wysiada czerwony jak burak, wygląda, jakby głowa miała mu zaraz eksplodować i zaczyna mnie pouczać w kwestii bezpiecznej jazdy, a potem analizuje z bliska mój zderzak, na wypadek, gdyby przegapił jakiś odprysk swojego czerwonego lakieru. W tym czasie cichcem umieszczam torebkę na pace, wsuwając ją pod brezent. Na przerwie idę za składzik, za salą plastyczną, gdzie parkuje i rozładowuje swój wóz. Na ziemi pełno jest grabi, łopat, środków do mycia, gąbek i młotków, więc papierowa torebka zupełnie nie rzuca się w tym towarzystwie w oczy. Szybko wydobywam ją spod teleskopowej szczotki do mycia okien.

Na filmach ludzie włamują się do szafek, przykładając ucho do zamka, co wygląda bardzo profesjonalnie, i dopiero gdy to zawiedzie, sięgają po stare dobre obcęgi do metalu. Jednak filmy nie mówią wam, że dużo łatwiej dostać się do szafki przez drzwi. Budżet szkół publicznych bardzo dba o to, żeby szafki wykonane były z najtańszego stopu niklu z cyną i zbudowane na zasadzie dwóch opadających rygli, co oznacza, że jeśli przy pomocy wsuwki do włosów i pęsetki przesuniesz środkowy zamek w lewo, uchylisz drzwi akurat na tyle, żeby coś wsunąć do środka. Na przykład dwie działki trawy, które z całą pewnością należą do Jacka Huntera, ponieważ znajdują się w jego szafce. Następnie udaję się do toalety i całkowicie anonimowo informuję sekretariat, że z szafki numer 522 śmierdzi ziołem.

Szkolna ochrona jest dumna i blada z powodu schwymania przed kilkoma dniami „kryminalisty”. Nożownik został zawieszony na tydzień, a cała szkoła otwarcie śmieje się, że trzeba było trzech ochroniarzy, żeby złapać jednego gołego kolesia, ale oni się nie przejmują. W ich mniemaniu odnieśli Triumf Dorosłych nad Globalnym Złem Nastolatków i to wystarcza, żeby przechadzali się po szkole nadęci jak balony, podkręcając wąsa i świecąc łysinami. Dziesięć minut później

przybywając pod szafkę 522, woźny przecina zamek, a oni przegrzebują rzeczy Jacka. Zza rogu obserwuję, jak wyciągają podręczniki i ołówki i brutalnie rzucają na podłogę. Gdy natrafiają na marihuanę, obwąchują ją ceremonialnie i jeden drugiego zapewnia, że to to. Po drodze do klasy śmieję się pod nosem. Jack Hunter dwa punkty. Isis Blake – jeden punkt. Nadal spora różnica, ale wkrótce ją wyrównam.

Podejrzewam, że parę osób chciałoby mnie teraz wziąć na poważną rozmowę i poinformować, jak podłe i niebezpieczne jest podrzucanie narkotyków do szafki kolegi. Jeśli tak, uprzejmie wyjaśniłabym im, że po pierwsze, Jack jest bogaty, biały, nieletni, a do tego to wzorowy uczeń, więc policja nie będzie się go przesadnie czepiała. A po drugie, jest okrutny dla wszystkich wkoło. Powinien to potraktować jako dzwonek ostrzegawczy. Dotychczas sunął przez życie w przekonaniu, że każde okrucieństwo ujdzie mu na sucho. Że jest mądrzejszy od innych. Ale na szczęście ani jedno, ani drugie nie jest prawdą.

A ja jestem idealną osobą, żeby go o tym przekonać.

I tak stanie się to o wiele za późno. Mniej więcej z takim opóźnieniem, jak mój zwrot czwartego tomu *Harry'ego Pottera*, który jako dziecko wypożyczyłam ze szkolnej biblioteki i oddałam dopiero siedemnaście miesięcy później.

Plotki roznoszą się z prędkością światła. Jack Hunter został zawieszony na dwa dni, a miejscowa policja postawi mu zarzut nielegalnego posiadania narkotyków, jak tylko ich laboratorium potwierdzi, że to na pewno narkotyki. Życie jest rozkoszne! Wgryzam się w kanapkę i nawet nie zauważam, że trzeci dzień z rzędu jem tuńczyka. Widocznie moje kubki smakowe są zainteresowane przetwarzaniem wyłącznie słodkiego smaku zwycięstwa.

– Co ty wyprawiasz? – pyta Kayla, która nagle pojawia się nade mną z porcją chilli.

– Rozkoszuję się wygraną.

– Czyli to jednak ty! – Kayla z hukiem odstawia swoją tacę i syczy przenikliwie: – To ty podrzuciłaś trawę do szafki Jacka!

– Przepraszam bardzo, ale okazuje się, że on jest ćpunem, nie ja. Ja bym nawet nie wiedziała, gdzie kupić zioło.

– Wiem od Avery, że ci sprzedała dwie działki.

– Aha. W takim razie chyba jednak wiem. – Kayla parska z obrzydzeniem, ale jej twarz pozostaje piękna. Patrzę na nią jak na rasowego, wystawowego kota, który odkrztusza kłaczek sierści. – Na swoją obronę muszę powiedzieć – podnoszę ręce – że jak wszyscy wiedzą, popularne jednostki posiadają trawę. Tak? To obowiązujące prawo, jak z jabłkiem. Ono spada na zakuty łeb Newtona, niebo ma niebieskawy odcień...

– Nie wierzę! – wzdycha Kayla. – Myślałam, że jesteś fajna, a ty podrzucasz trawę chłopakowi, którego nie lubisz?

- To coś więcej niż zwykły brak sympatii.
- Gdybyś nie zauważyła: wszyscy inni go lubią. Nie mogłabyś odpuścić?
- Nadal nie przeprosił, że doprowadził cię do płaczu.
- On mnie bez przerwy doprowadza do płaczu, dobra? Od sześciu lat, wieczór w wieczór, płaczę przez niego w poduszkę!
- Więc mam jeszcze więcej powodów, żeby mu nakopać.
- Nie jesteśmy w przedszkolu, Isis – rzuca Kayla. – Gryzienie i kopanie nie przystoi damie. Nie przyniesie ci też powodzenia u chłopaków.
- Może ja wcale nie chcę mieć powodzenia u chłopaków?! – mówię tak głośno, że ludzie zaczynają na mnie patrzeć. – Może wszystkie chłopaki to gnoje! Może już tylko ja jestem w stanie myśleć przytomnie i widzieć dupka w dupku!
- On nie jest dupkiem...
- Nie zamierzam słuchać twoich wymówek! Znam je dobrze. Ja też sobie kiedyś wmawiałam takie rzeczy z powodu chłopaka.
- Jakoś nie wierzę – syczy złośliwie.
- Tak? To posłuchaj tego!

Podciągam rękaw i Kayla od razu dostrzega trzy ciemne ślady, jeden pod drugim. Widzi je, rozumie i wzdryga się na ich widok. Na mój widok.

Opuszczam rękaw i łapię plecak. Zostawiam niedojedzoną kanapkę. Zostawiam krótkotrwały triumf nad Jackiem Hunterem. Zostawiam moją tajemnicę.

Reszta dnia upływa mi na mieleniu wściekłości i powstrzymywaniu, średnio udanym, łez. Dom jest pogrążony w ciemności. Wszystkie okna są zamknięte, a zasłony zaciągnięte, jak zwykle. Dom śpi, a przynajmniej tak wygląda. Wołam mamę. Nie szła dzisiaj do pracy ani nie miała wizyty u psychologa. Jej samochód stoi w garażu. Powinna być w domu. Wbiegam po dwa schodki, ale zamieram, gdy widzę stan jej pokoju.

Wszystko jest porozrzucane. Lampa rozbita, odłamki bursztynowego szkła zasnuwają dywan. Papiery i płótno posiekane i rozsiane jak łuski papierowego węża. Łóżko zasłane strzępami. Fluid spływa z toaletki brzydką strugą w kolorze skóry. Lustro w łazience jest stłuczone, słoiczek na leki otwarty, a pigułki zatykają odpływ umywalki. Woda wylewa się z wanny na podłogę i zaczyna się zbierać w kałużę. Serce przestaje mi bić, dłonie lodowacieją.

– Mamo? – wołam. – Mamo!

Sprawdzam pod łóżkiem, w szafie między ubraniami. Rozsuwam fotele. Nie ma jej w salonie, w moim pokoju ani w kuchni. Dzwonię na jej komórkę, ale słyszę ją z góry, spod poduszki. Wyobrażam sobie, że została pobita, porwana, że ten mężczyzna złapał ją i ciągnie z powrotem do Nevady, tam, gdzie była bezbronna.

W panice wybieram numer taty, ale sygnał rozlega się zaledwie dwa razy, gdy dobiega mnie ciche szlochanie. Mama. Idę za tym dźwiękiem i trafiam do

garażu. Leży skulona na tylnym siedzeniu samochodu. Dzięki Bogu silnik nie jest włączony. Otwieram drzwi i dotykam jej twarzy, rąk, sprawdzam, czy nie ma ran.

– Mamo, co się do diabła stało? Wszystko dobrze?

– Przyszedł tu – szepcze mama w moje włosy. Przywiera do mnie jak mała małpka. – Znalazł mnie.

Przyjazd zabiera policji piętnaście minut. Przeczesaują dom, przesłuchują mamę, aż zaczyna płakać, a potem od nowa. Ja mogę tylko stać obok i warczeć na nich, gdy robią się zbyt wścibscy albo natarczywi. Gdy przeszukanie domu jest zakończone, jeden z nich odciąga mnie na bok.

– Mówiła pani, że mama od dawna choruje psychicznie...

– Ma zespół stresu pourazowego – poprawiam go z wściekłością. – W wyniku działań jej agresywnego chłopaka. To nie jest długa choroba psychiczna.

– Rozumiem.

– Tak? – Śmieję się niemal histerycznie.

– Naprawdę mi przykro. Pourazówka to koszmar. Niektórzy z naszych też to mają. Paru musiało odejść z pracy. Ale nie zmienia to faktu, że w domu nie ma śladów męskich butów ani oznak włamania. Nic nie zginęło. W jej pokoju nie ma dowodów na przepychankę dwóch osób.

– Mówiła, że słyszała jego kroki na dole.

– Może coś jej się przypomniało. Bierze leki, prawda?

– I co tydzień chodzi do psychologa.

– Przykro mi, ale jeśli to jest załatwione, to już niewiele możemy dla niej zrobić.

– Nie jest wariatką! Nie traktujcie jej w ten sposób!

– Nie traktuję. Po prostu stwierdzam fakty. Mogę zostawić przed waszym domem policjanta na siedemdziesiąt dwie godziny, jeśli dzięki temu poczujecie się lepiej, ale nic więcej.

– To brzmi dobrze.

Klepie mnie po ramieniu.

– I głowa do góry. Dojdzie do siebie.

Patrzę, jak odchodzi i mruczę pod nosem:

– Wszyscy tak mówią...

Od tej pory śpię w pokoju mamy na dmuchanym materacu. Co noc. Odrabiam tam też lekcje, gdy ona czyta albo drzemie. Posiłki jemy na górze, bo na dole nie wytrzyma dłużej niż kilka minut. Jak wchodzę do swojego pokoju, wydaje mi się, że wchodzę do kogoś, a ja jestem tu obca. Policjant przed domem pomaga. Kiedy mama budzi się przerażona w środku nocy, prowadzę ją do okna, gdzie pod latarnią stoi radiowóz, a ona się uspokaja i może znów zasnąć.

Ale ja nie. Nie śpię, nasłuchuję ciężkich kroków. Czekam. Modlę się. Modlę się, żeby ten drań przyszedł i dał mi pretekst do poderżnięcia mu gardła. Wszystko

uszło mu płazem. Bicie kobiety, co noc, gdy się wraca po pijaku, powinno być niewybaczalne. Bicie, gdy zrobi coś, co mu się nie podoba, też. W ogóle: jakiegokolwiek bicie kobiety, kropka. A ja przecież wiem tylko o biciu. Ale działo się coś jeszcze, widzę w oczach mamy inne cienie, ale ona nie chce mnie martwić, więc nie opowiedziała mi wszystkiego. To wykańcza mnie jeszcze bardziej niż poczucie winy. Ktokolwiek powiedział, że lepiej nie wiedzieć, cholernie się mylił.

Czekam, modlę się i dziękuję każdemu bogu, który akurat słucha. Może i Bezimienny potraktował mnie podle, ale nie zrobił mi czegoś takiego jak ten facet mamie. Nawet nie mogę porównywać tego do jej historii. Ba, nie mam prawa nazywać tego „tym”, w świetle dramatu, którego doświadczyła. Którego codziennie doświadczają kobiety na całym świecie.

Dzwonię do sekretariatu i oddaję mamie słuchawkę, a ona mówi, że jestem chora, chociaż nie jestem. Sama wykorzystuje cały urlop na żądanie. Przeczesałam cały dom w poszukiwaniu śladów Leo. Ale ktoś, kto jak on, poluje latem na jelenie, umie zacierać ślady. Mama mówiła mi, że nie może tego znieść, bo on poluje tylko na łanie i ich młode. To nielegalne, ale on i tak to robi, bo jest chorym psychopatą. Pamiętam, jak pomyślałam wówczas, że nie może być dobrym człowiekiem. Że to dowód na kryjącą się w nim najgorszą podłość. Chciałam poprosić, żeby od niego odeszła, ale była taka szczęśliwa. Nie widziałam jej weselszej, odkąd tata odszedł. Więc siedziałam cicho. I codziennie tego żałuję.

Ale nie mogę znaleźć żadnego dowodu jego obecności. Czy mama naprawdę słyszała rzeczy, których nie ma? Miewała przebłyski minionych zdarzeń, ale żaden jeszcze nie doprowadził jej do tak panicznego strachu. Nie poddam się, a jeśli tu był, znajdę go.

Mama zdążyła już wypucować dom, ale ogrodu nie tknęła. Padam na kolana i przeglądam każdy skrawek trawy i różnych krzewów w poszukiwaniu śladów stóp. Albo czegoś, co przegapiła policja. Po godzinie prostuję się. Ręce mam całe w ziemi, ocieram spoconą twarz i burczę:

– Czyj to był pomysł, żeby ludzie pocili się słoną wodą?!

Bóg, co zrozumiałe, ma lepsze rzeczy do roboty niż odpowiadanie. Ale w tej chwili zauważam coś do połowy zagrzebane w ziemi pod krzakiem róż.

Niedopalek.

Ani mama, ani ja, nie palimy. Podnoszę go ostrożnie. Mógł go zostawić któryś z policjantów albo wrzucić jakiś dzieciak, któremu nie chciało się szukać kosza. Wącham peta i aż mnie skręca.

Wszędzie bym poznała ten zapach. Gudang Garam, tytoń z goździkami, marki, którą widziałam u Leo w kieszeni. Widziałam go tylko dwa razy, za każdym razem w Boże Narodzenie, ale doskonale pamiętam, jak wychodził na papierosa. Zapach goździków wlatywał przez okna. Leo służył w wojsku. Stacjonował w Indonezji, co powiedział z obrzydliwym uśmiechem. To tam nauczył się palić

Gudang Garam.

Moje ciało pokrywa się lodowatym potem. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś w sąsiedztwie też pali tę markę i postanowił wrzucić peta do naszego ogródka, akurat w tym czasie, gdy mama „widziała” Leo? Może mam paranoję. Bardzo możliwe. Ale mogę mieć też rację. Coś tu jest nie tak, czuję to każdym nerwem. Nie mogę powiedzieć mamie. Nie teraz, gdy jest w tak złym stanie. Potwierdzenie jej lęku zepchnęłoby ją jeszcze dalej w głąb ciemności. A jeśli się mylę i to przypadek, przeraziłabym ją bez powodu. Najpierw musi wyzdrowieć, a przynajmniej wrócić do jako takiej równowagi.

Zasypia o różnych porach, czasem w środku dnia, czasem tuż przed kolacją. Wykorzystuję jej drzemki, żeby wyskoczyć po zakupy i pooddychać świeżym powietrzem, pozbawionym tego dusznego ciężaru, który wypełnia nasz dom. Otwieram wszystkie okna, ale choć bardzo bym chciała, powiewy wiatru nie radzą sobie ze smutkiem.

Po drodze ze spożywczego przejeżdżam przez most South Rise. To najwyższy most w mieście, górujący nad przebiegającą pod nim autostradą. Większość kierowców go omija, wolą przejechać szybciej, ale ja go lubię. A dzisiaj nie jestem tu sama.

Na poboczu parkuje znajomy zielony saab, a dziewczyna z ogniście rudymi włosami stoi oparta o barierkę. Metalowa siatka uniemożliwia skok, ale ona wygląda, jakby miała na to ochotę.

Parkuję spory kawałek dalej i powoli podchodzę, żeby się przekonać, czy wzrok mnie nie myli. To Avery. Jej zwykle biała skóra jest dziś chorobliwie blada, co jeszcze bardziej podkreśla zielona sukienka. Balerinki stoją na chodniku, a białe stopy aż lśnią na ciemnej nawierzchni. Patrzy na horyzont, gdzie miasto płonie wraz z zachodzącym słońcem.

Nic nie mówię, ale gdy jestem już dość blisko, ona się odzywa.

– Wygląda jak apokalipsa. – Głos ma zachrypnięty. Idę za jej wzrokiem i przyglądam się rzekomej zapowiedzi śmierci w płomieniach.

– Niebo czasem krwawi – mówię. – Tak jak my.

Parska i starannie pomalowanym paznokciem zaczyna rysować na poręczy mostu kółka. Widzę sińce pod oczami, które w szkole maskuje makijażem. Stoimy tak i patrzymy, jak słońce kona.

– Idź stąd – poleca w końcu.

– Nie. – Wkładam ręce do kieszeni. Łypie na mnie spode łba, w zielonych oczach widzę wściekłość dzikiego kota, ale chyba jest zbyt zmęczona, żeby ją utrzymać na dłużej. Tak, mam rację. Buzujący w nich ogień wypala się, a ona odwraca głowę i znów patrzy w niebo.

– Nigdy nie bądź zazdrosna. – Jej głos unosi się nad szumem mknących pod nami samochodów. – To zżera żywcem. Zmusza do złych rzeczy.

Te słowa są zbyt mroczne jak na nią. Mogę jej nie lubić i ona może nie lubić mnie, ale nikt nie zasługuje na taki smutek. Staram się nie poddać nastrojowi.

– Powinnaś zacząć prowadzić kącik z poradami.

– Zamknij się – rzuca, ale nie ma w tym jadu. Po prostu wypowiada te słowa, bezbarwne i ciężące mi na piersi. I jej. Nie wiem, co powiedzieć. Boję się, że jeśli zacznę mówić za głośno, za szybko, wykonam zbyt gwałtowny ruch, to ten surrealistyczny moment pęknie jak pajęczna sieć na wietrze. Avery zaciska dłoń na poręczy, a potem patrzy na mnie martwymi oczami. Takimi, jakie mają nieżywe ryby w zatrutych jeziorach, spuchnięte od zanieczyszczeń i chorób.

Gdzieś w głębi pobłyskuje jednak czystość. Widzę ją zwłaszcza w prawym oku.

– Nie jestem dobra. I nigdy nie będę.

Ja też tak mówiłam, gdy to się stało po raz pierwszy. Przez wiele miesięcy wmawiałam sobie to samo.

– Wiem, że tak teraz czujesz – odpowiadam powoli. – Ale czas leczy rany. Szlifuje ostre krawędzie.

– A co mam robić w międzyczasie? Dać im się pociąć?

Milknę i patrzę na zachód słońca. Myślę o Leo. O złu, które uczynił. I nagle doznaję olśnienia.

– Jeśli robisz coś złego, może zasługujesz na te rany. – Jej twarz staje się beznamietna, a w oczach pojawia się mrok. – Ale nie na zawsze. Nikt na to nie zasługuje. W każdym razie tak myślę. Choć mogę się mylić. Zwykle się myślę.

Avery wkłada buty, wsiada do auta i odjeżdża, a ja zostaję pod krwawiącym niebem ze wspomnieniem krwi na jej dłoniach. Cokolwiek zrobiła, dręczy ją to. Co nie znaczy, że ma prawo być podłą, despotyczną małpą. Ale trochę to tłumaczy. Jeśli człowiek uważa, że jest zły, najmocniej karze siebie samego. Z tego wniossek, że musiała zrobić coś naprawdę strasznego.

A zrobiła to z zazdrości... Ale o kogo?

W piątek mama czuje się już na tyle dobrze, że wraca do pracy. W każdym razie mówi, że jest lepiej. Nie wierzę jej, ale próbuję. Jeśli uwierzę, może się spełni.

Piątki w szkole są zawsze najlepsze, ale dzisiejszy dzień jest gówniany, od początku do końca. Czuję, jakbym gniła, rozkładała się. Prawie w ogóle nie spałam i nie mogę się skupić na nauce, żeby nadrobić to, co straciłam. Myślę tylko o mamie. Czy w pracy wszystko w porządku, czy daje sobie radę, czy pamięta, żeby zjeść lunch, który jej przygotowałam? Zupełnie zapominam o wojnie z Jackiem Hunterem. Nie mam żadnej strategii ani przymusu zemsty. Nic. Jestem wyzuta z emocji i zmęczona. Wykończona.

W czasie przerwy obserwuję go ze swojego miejsca pod drzewem. Oczywiście wrócił już do szkoły, minęły dwa dni zawieszenia, a policyjne

laboratorium stwierdziło, że w jego szafce nie było marihuany. Tak, jak zaplanowałam. Oryginalną zawartość torebek zastąpiłam suszonym oregano – szkolnej ochronie zupełnie wystarczyło. Na oko. Zapach by ich nie zwiódł, więc wzięłam torebeczki po prawdziwej trawie. Popiół z marihuany użył aktualnie jeden z konających krzaków róż w ogrodzie. W końcu chodziło tylko o to, żeby go nastraszyć. Pokazać mu, że ja też mogę się do niego dobrać. Przecież boimy się tego, co czai się w ciemnościach, nie ciemności samej w sobie. Dzięki wielkie, starożytni chińscy filozofowie! Jesteście najlepsi! Choć nieżywi. Ale głównie najlepsi.

Aktualnie Jack zmierza do wejścia, a przed nim starsza kobieta na wózku. Wokół rampy podjazdowej uwielbia się zbierać drużyna futbolowa i dzisiejszy dzień nie należy do wyjątków. Popychają się, poduszają dla żartu i takie tam. Nawet nie zauważają tej kobiety, która chce się przedrzeć przez ich tłum. Wówczas, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, Jack doprowadza do tego, żeby zauważyli. Schodzi ze schodów i podchodzi do rampy, żeby wejść tamtędy. Gdy się zbliża, chłopaki gwałtownie się opamiętują i niespokojnie schodzą mu z drogi. On na nich patrzy, a następnie spogląda na kobietę na wózku i mówi do niej kilka słów.

Twarz mu łagodnieje.

Mrugam raz, a potem drugi i przecieram oczy, bo chcę się upewnić, że nie mam halucynacji. Ale nie. Ma uprzejmą minę. Ba, na ustach błąka mu się uśmiech! Kobieta go odwzajemnia, a on ujmuje rączki wózka i ostrożnie pcha go aż pod drzwi, które przed nią otwiera. Futboliści znów zaczynają się drzeć, pokazują mu środkowe palce i śmieją się szyderczo, ale dopiero gdy Jack znika im z oczu. Jeden z nich mruczy:

– Świr!

Ale dziewczyny mają na ten temat zupełnie inne zdanie: wzdychają z rozmarzeniem i piszczą na temat Jacka, jaki był słodki.

Coś mi się przewraca w żołądku. Poczucie winy. Albo Jack ma rozszczenie jaźni, albo nie jest taki zły, za jakiego go miałam. Na pewno nie taki jak Bezimienny. Bezimienny nigdy by nikomu nie pomógł.

Ale jeśli Jack jest trochę dobry, nadal czegoś nie rozumiem. Czemu jest chłopakiem do towarzystwa? Nie licząc wyglądu, nie widzę powodu, dlaczego miałby być w tym dobry. To buc! Chyba, że rozszczenie działa też w pracy. A może go przeceniam? Może jest tylko napalonym nastolatkiem, który lubi seks z kobietami wiedzącymi, co robią, bo przeżyły na tym świecie już trzydzieści lat z kawałkiem? Sama nie wiem, co o tym sądzić.

Międlę właśnie w myślach czarowną mieszankę poczucia winy i najwyższego zdumienia, gdy podchodzi do mnie Kayla. Odchrząkuje.

– Cześć – zaczyna.

– Siema.
– Co robisz?
– Próbuję się zdrzemnąć.
– Aha. Źle spałaś?
– Od kilku nocy – przyznaję. – Wiesz, piekło bezsenności. Typowe problemy stukniętej nastolatki.
– Nie było cię.
– Wiem, byłam chora.
– Aha. – Zagryza wargę i wpatruje się przez chwilę w swoje buty, dopiero potem wypala: – Przepraszam cię. Za to, co wtedy powiedziałam. O tobie i w ogóle. Przepraszam. Nie wiedziałam.
– Spoko. Ja też ostatnio byłam dla ciebie podła.
– E tam.
– Niewrażliwa. Nie doceniałam tego, jak bardzo lubisz Jacka. Też przepraszam.

Zapada długa cisza. Następnie ona wyciąga rękę.

– Zaczniemy od nowa? Nazywam się Kayla Thermopolis.

Ściskamy sobie ręce.

– A ja Isis. Isis Blake.

– Dobrze ci idzie historia planety.

– Historia powszechna? – Uśmiecham się, bo odtwarzamy naszą pierwszą rozmowę z imprezy u Avery. A skoro już mowa o rudym facecie w rogatym hełmie i z trójzębem – w tym momencie mijają nas Avery. Kayla ją widzi, ale tym razem nie czmycha, żeby znaleźć się posłusznie u jej boku. Nadal stoi przede mną i mówi:

– No bo... robię dzisiaj imprezę. Rodzice wyjechali. Kameralne spotkanie. Byłoby super, gdybyś przyszła. Będą precele. I piñata. I będziesz mogła kogoś walnąć! Ale tylko, jeśli będziesz musiała. Naprawdę, naprawdę musiała. W sensie, jeśli od tego będzie zależało twoje życie. – Przez chwilę się zastanawia. – Albo nie, mogłabyś nikogo nie bić.

– Postaram się – wybucham śmiechem.

– Super! Zaczynamy o ósmej, bądź koniecznie!

Zerkam na Avery i widzę w jej oczach sztylety, którymi chciałyby we mnie rzucić. Obosieczne noże. Topory...

– Avery będzie? – pytam.

– Nie. Powiedziała, że jest zajęta. – Kayla wzrusza ramionami.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że widzi, jak ze mną rozmawiasz?

– Ja... nie wiem. Nie spodoba jej się to, ale jestem ci winna przeprosimy.

Ona jest super i w ogóle, ale nie może mnie powstrzymać przed uprzejmością.

– No tak. Super. To do wieczora.

Kayla biegnie do Avery, a ona od razu dyscyplinuje ją krótkimi,

gwałtownymi słowami.

Po szkole grzebię w szafie, żeby znaleźć jakieś fajne ciuchy. W końcu decyduję się na czarną koszulkę, na to czerwona koszula w kratę, czarna spódnica i rajstopy. Kiedyś nie interesowałam się ciuchami. Zresztą, trudno się interesować, gdy ludzie widzą tylko tłuszcz, a nie modę. Jak schudłam, nie mogłam się powstrzymać przed oddaniem się nowej przyjemności, jaką okazało się ubieranie ciała, na które tak ciężko pracowałam.

– Wychodzisz? – Mama zagląda do mojego pokoju akurat, gdy maluję na powiece kreskę. Uśmiecham się niewinnie.

– No tak. Kayla w ostatniej chwili zaprosiła mnie na imprezę.

– Kto to jest Kayla?

– Pierwsza osoba w szkole, która nazywa mnie inaczej niż „Ta Nowa”.

Mama udaje, że bije brawo.

– Już ją lubię!

– A ty... – milknę. – Dasz sobie radę sama?

Wciąż nie wiem, czy to, co słyszała, to było tylko wspomnienie, czy Leo naprawdę nas wytropił. Tak czy inaczej żołądek ściska mi się z nerwów na myśl, co może się stać, jeśli zostawię ją samą na zbyt długo.

– Nic mi nie będzie – zapewnia mama. – Nie martw się. O której wrócisz?

– Nie wiem. Na pewno przed północą.

– Dobrze.

– Policjant jeszcze dzisiaj będzie pod domem, więc możesz być spokojna.

Nachyla się i całuje mnie w głowę.

– Wiem. Pośpiesz się, żebyś się nie spóźniła.

– Muszę się spóźnić! Dzięki temu uznają mnie za osobę ważną i zabieganą.

Mama się śmieje. Splatam włosy w warkocz z jednej strony głowy i biorę torebkę. Guma do żucia? Mam. Kasa? Mam. Tampony? Mam. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś dziewczyna dostanie okresu albo kiedy ja komuś przywalę i będzie mu leciała krew z nosa. Tampony są dowodem troski o moich wrogów.

A skoro już mowa o wrogach: nie wiem, czy Jack będzie i prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Ciągle nie mam nastroju na całą tę wojnę. Nie mówiąc już o tym, że z trudem znajduję w sobie chęć pójścia na imprezę. Szybko robię prostą zapiekankę z wołowiny i wrzucam do piekarnika, żeby mama miała co jeść. Potem wychodzę, a ona macha mi, kiedy odjeżdżam. W połowie drogi do domu Kayli dostaję od niej esemesa, żebym kupiła czerwone plastikowe kubeczki. Skracam w pierwszą lepszą ulicę i jadę do najbliższego supermarketu po podstawowe wyposażenie imprezy, na której gościem honorowym będzie beczka piwa. Ponieważ ciągle czuję się jak kupa, biorę słoik lukru, żeby mieć co podjadać. Po zrzuceniu prawie trzydziestu dziewięciu kilo przybranie kilograma czy półtora jest niewielkim ryzykiem, a w dalszym ciągu mam zwyczaj jedzenia syfów, żeby

poprawić sobie humor.

– À propos zbrodni... – szepczę, patrząc we wsteczne lusterko. Z modnej włoskiej restauracji, mieszczącej się naprzeciwko sklepu, wychodzą dwie osoby i idą chodnikiem. Chłopak ma rozczochrane włosy, ale jeśli ktoś by mnie pytał, są rozczochrane zbyt idealnie. A poza tym zdradza go wzrost. Jack Hunter. Uśmiechnięty! Ciepły szczery uśmiech zdobi ostre kości policzkowe i sprawia, że wygląda bardziej ludzko niż kiedykolwiek. Młoda kobieta w cudownym futerku wisi mu na ramieniu. Wiem, że w Northplains mieszkają głównie bogaci ludzie, ale ona wygląda na bogatą klasy Columbus. Mogłaby mieszkać w stolicy, w Seattle, w Los Angeles, nie tutaj. Ma piękne rude włosy, a usta miękkie i ułożone w dzióbek. Może być cztery lata starsza ode mnie. Pewnie córka jakiegoś bogacza.

Wtedy to do mnie dociera: Jack jest w pracy. To by wyjaśniało, czemu się uśmiecha. Dostaje kasę, żeby się tak uśmiechać. Dopada mnie gwałtowne pragnienie wyjścia z samochodu i śledzenia ich. Oświadczam uroczyście, że opierałam się dzielnie przez całe dwie dziesiąte sekundy, ale potem założyłam kaptur, wystrzeliłam z auta i poszłam w ślad za nimi. Muszę przyznać, że to romantyczny spacer. Latarnie z kutego żelaza kojarzą się ze stylem wiktoriańskim, a ich ciepłe światło rozgania chłodny październikowy mrok. Deptak pełen jest straganów ze zwierzątkami z kolorowego szkła i beznadziejnymi akwarelkami przedstawiającymi jezioro. Ilekroć Jack lub jego towarzyszka się oglądają, dają nura za doniczkę z jakimś zielskiem albo za tablicę z nazwą kawiarni. Jestem tak zdenerwowana i podniecona, że odkręcam słoik z lukrem i zanurzam w nim palec. Dalej idę za nimi, podjadając. To jak wsuwanie popcornu w kinie, tylko że sto razy fajniejsze, bo Jack-z-lodowym-soplem-w-tyłku udaje miłego. Jest też bardzo niepokojące. Obserwowanie go w tym wydaniu jest równie wstrząsające i dziwaczne jak myśl, że twoi rodzice musieli uprawiać seks, żeby cię zrobić.

– Nie wiedziałem, że twój tata jest takim idiotą! – mówi Jack. Prowokująco. Lekko. Nie ma w nim cienia tej beznamiętności i nudy co zawsze. Dziewczyna dla żartu bije go po ręce.

– Nie śmiej się z niego. Przecież on ci płaci.

– Jesteś tak cudowna, Alice, że zrobiłbym to nawet za darmo.

Ładuję sobie do ust wielką porcję lukru, żeby nie zepsuć tej chwili wybuchem dzikiego rechotu, na co mam wielką ochotę. Dziewczyna bierze słowa za dobrą monetę i chichocze, a potem przytula piękną główkę do jego ramienia.

– Wracamy do hotelu? – pyta ciszej. – Kupiłam nową linę, którą trzeba by ochrzcić.

Wydaję stłumiony okrzyk, bo właśnie ugryzłam się w umazany lukrem palec. Alice odwraca się pierwsza. Jej mina wyraża zdumienie i niepokój. Następnie odwraca się Jack. Z jego twarzy zsuwa się maska z uśmiechem i wystarczają dwie dziesiąte sekundy, żeby na jej miejscu pojawiła się jego

prawdziwa mina, wyrażająca śmiertelną wściekłość. Przelykam ślinę i podnoszę lepką rękę w geście powitania.

– O, cześć! Nie zwracajcie na mnie uwagi. Po prostu idę za wami. Nie śledzę was.

– Idziesz bardzo blisko – zauważa niepewnie Alice.

– Ja tylko... Obserwuję, żebyśmy mogła potem zarządzać.

– Zarządzać? – Alice marszczy czoło. Spojrzenie błękitnych oczu Jacka jest bardziej lodowate niż zamarznęty górski potok w środku grudnia.

– A tak! Zajmuję się zarządzaniem. Jestem... menadżerką. Jego menadżerką.

– Wskazuję na Jacka i odzywam się irytującym głosem ze starych hollywoodzkich filmów: – Trzymaj się mnie, dzieciaku, a zrobisz karierę!

– Jeśli o to chodzi, zapłaciłam – zapewnia Alice. Jack na nią zerka i olśniewa przelotnym uśmiechem.

– Porozmawiam z nią. Daj mi sekundę.

– Dobrze – chichocze Alice.

Jack całuje ją namiętnie. Czuję się niemal zawstydzona, że na to patrzę. Gdy się rozdzielają, ona nie może złapać tchu, a Jack podchodzi do mnie, kipiąc za złości. Chwyta mnie za łokieć i odciąga.

– Tak mnie pocałowałeś? – pytam i prawie się potykam, gdy mnie wlecze za sobą. – Kurka wodna, wyglądało cholernie namiętnie! Nic dziwnego, że cała szkoła mówi o tym od tygodni! Kurka wodna!

– Przestań mówić „kurka wodna”.

– Jasne, brachu!

– Przestań mówić cokolwiek! – warczy i mnie puszcza, ale dopiero gdy skręcamy za róg, a od wzroku Alice oddziela nas budynek herbaciarni.

– Cokolwiek! – krzyczę.

– Jak mnie znalazłaś? Jeśli włamałaś się do systemu Klubu, żeby sprawdzić moje zlecenia...

– Chyba trochę mnie przeceniasz, bratku. Po prostu znalazłam się w niewłaściwym miejscu w odpowiednim czasie. Zobaczyłam cię i musiałam zacząć...

– ...mnie śledzić.

– ...dyskretnie ci towarzyszyć. Ukradkiem. Od tyłu. Nie zwracając na siebie uwagi. Od dziesięciu minut.

– Co ty w ogóle robisz na mieście? Podobno byłaś chora?

Wychodzi na to, że musiał zauważyć moją nieobecność, ale porzucam tę myśl. Rozgryzienie tego kolesia jest równie bezsensowne jak pisanie do niewidomego listu atramentem sympatycznym.

– Byłam. Może obito ci się o uszy, że istnieje coś takiego jak system immunologiczny...

Podnosi rękę i pociera oczy.

– Jasne, przestań. Zamknij wszystkie systemy i po prostu przestań mówić.

– Czemu?

– Bo to wkurzające.

– Nigdy dotąd mnie to nie powstrzymało.

– Po co za mną łazisz?

– Byłam... ciekawa?

– To za mało.

– Mam być szczerą?

– Poproszę. Może dzięki temu przestaniesz marnować mój czas.

– Jesteśmy w stanie wojny. Wojny nie wymagają szczerości. A właśnie, jak ci się podobał mój mały prezencik?

– Uroczy, dziękuję. – Jego słowa ociekają żrącym sarkazmem. – Byłoby nawet strasznie, gdybyś włożyła w to odrobinę przekonania.

– A co to ma znaczyć?

– Że jesteś bardziej miękka niż udajesz. Tylko warczysz, ale nie kąsasz. Gdybyś naprawdę nienawidziła mnie tak bardzo, jak deklarujesz, podrzuciłabyś mi prawdziwą trawę i doprowadziła do tego, że mnie wyrzucą. Ale tego nie zrobiłaś, więc tak nie jest.

– Jak?

– Nie nienawidzisz mnie. – Jack prychnął, ale jest w tym coś kokieterijnego. Żółte światło latarni podkreśla ostre jak brzytwa kości policzkowe i zaprasza ogień w jego lodowatych oczach. – Tylko mi nie mów, że się we mnie bujasz jak cała reszta. Byłbym szczerze rozczarowany.

Zamieram, serce dziwnie mi się ściska i wszystkie uszczypliwe riposty, jakie przechowuję w głowie, ulatują mi uszami. Otwieram usta, ale równie szybko je zamykam. Jack dostrzega moje wahanie i coś się w nim zmienia. Najpierw błędnie, potem poważnie, a w końcu wyraża totalne zdziwienie. Marszczy czoło. Lodowy Książę jest wyraźnie zdumiony moją niezdolnością do reakcji na jego komentarz. Zawsze reagowałam natychmiast. Ale tym razem nie. Dlaczego? Dlaczego nie teraz? Zaczynam się coraz bardziej na siebie wściekać i to mnie odblokowuje.

– Bardzo nie lubię rozczarowywać ludzi – uśmiecham się gorzko. – A tak w ogóle, jak idzie w pracy, Jaden?

– Mam siedem nowych klientek i dostałam w tym tygodniu tysiąc dolarów premii.

– Imponujące! Płacą tak za fiuta czy za żałosne komplementy? A może one są gratis? Jeśli tak, weź mnie pod uwagę! Chcę słyszeć, jak mnie nimi olśniewasz, gdy będę się dławić złością. – Wskazuję na niego palcem pokrytym lukrem. – Widziałam, jak pomagasz tej starszej pani.

Jack marszczy czoło.

– Alice?
– Nie, idioto! Wcześniej. Kobiecie na wózku.
– Ach – cedzi. – Przyłapałaś mnie.
– Ale bardziej niż to, że przez moment zdawałeś się być obdarzony całkiem inną osobowością, interesuje mnie fakt, że chłopaki z drużyny ci na to pozwolili. Co im zrobiłeś, że tak się ciebie boją?

Przewraca oczami.

– Nietrudno ich wystraszyć. Są jak stado koni. Jak jeden zaczyna uciekać, reszta leci za nim.

– Ale jak tego dokonałeś? – dociekam.

– W pierwszej klasie się mnie czepiali – syczy. – Miałem tego dość. Odpląciłem się. Od tamtej pory mnie nie dotykają. – Patrzy na słoik lukru, który trzymam w ręce. – Jesz to prosto z opakowania?

– Startujesz w jakichś mistrzostwach głupich pytań? Oczywiście, że tak! Lukier jest nektarem bogów. Albo Boga, jeśli jesteś religijny. Ale coś mi się zdaje, że jedyny kościół, do jakiego chciałbyś chodzić, to świątynia samouwielbienia. Twoje ciało jest twoim sakramentem! Zrób z tego użytek, chłopaku!

– Co ty mówisz? – warczy. – To jakiś bełkot.

– Przynajmniej się nie puszczam.

Krzywi się.

– To nie takie proste.

– Tak? Nowa lina i hotelowy pokój brzmi bardzo prosto. Może oznaczać, że albo będziecie uprawiać seks dla dewiantów, ale zamierzacie się wspólnie powiesić.

Jack wzdycha.

– Ona lubi być wiązana. Ja nie. Mnie takie rzeczy nie kręcą. Ale dostaję za to pieniądze. Więc odczep się i idź na swój kinderbal.

– Skąd wiesz, że idę na imprezę?

– Z kieszeni sterczy ci paragon na czerwone kubeczki. A dziewczyny nie rysują sobie aż takich kresek, jeśli nie zamierzają pić.

– Sprytnie. Jesteś bystrzejszy niż sądziłam.

– A ty bardziej irytująca niż podejrzewałam. Gdybym wiedział, że będziesz mnie prześladować jak cała reszta, nigdy bym cię nie pocałował. Nawet w ramach zemsty.

– Przecież wszystkich całujesz. To nie było nic wyjątkowego!

– Właśnie. To nie było nic wyjątkowego. Więc odczep się i daj mi spokój.

Odwraca się na pięcie i odchodzi, a ja podskakuję jak oparzona i wściekle młóć rękami powietrze.

– Cześć, frajerze. Postaraj się nie dać ciała. Chociaż nie, musisz to zrobić, w końcu za to ci płacą!

Podnosi rękę i nie odwracając się, pokazuje mi środkowy palec, ale ja tylko wybucham śmiechem i wymachuję zaciśniętą pięścią, bo wreszcie mi się udało. Po raz pierwszy się wkurzył. Do tej pory obdarzał mnie tylko lodowatym sarkazmem i niewzruszonymi spojrzeniami. Tym razem założyłam mu za skórę. Ja, Isis Blake, założyłam za jego pokrytą wieczną zmarzliną skórę. Przez całą drogę do samochodu podskakuję, a potem włączam triumfalną piosenkę Katy Perry. Choć nawet jej nie lubię. Ale zwycięstwo jest tak rozkosznie słodkie, że nawet bezmyślny pop brzmi jak triumfalne bębny rzymskich gladiatorów, więc śpiewam na cały głos.

Rozdział 6

3 lata, 14 tygodni, 0 dni

Trawnik przed domem Kayli jest zastawiony samochodami. Wciskam mojego garbusa w wąską przestrzeń między drzewem a BMW i ruszam w kierunku przyjaźnie rozświetlonego domu.

– Przybywam z pełnymi rękami! – przekrzykuję dudniącą już muzykę. Jest tu ze sto osób, jeśli nie więcej. Jak to mówiła Kayla? Kameralne spotkanie? Pff. Ciepłym wydzielanym przez ciała stłoczone w pokoju można by napędzić nieduży samolot odrzutowy.

Porzucam kubeczki w kuchni, wśród butelek jacka danielsa i bacardi zajmujących całe blaty. Lukru strzegę jednak zazdrośnie i cały czas podjadam, poszukując Kayli. Ci sami co zwykle tancerze wiją się w okolicy głośników, a całujące się pary z podobnym nasileniem miotają się na fotelach i kanapie. Ktoś rozrzuca fioletowe serpentyny, ktoś ma maskę w kształcie głowy konia, od której dostaję dreszczy, a jeszcze ktoś pilotem do telewizora ściera rzygi z półki z książkami. Nie poznaję połowy ludzi, więc pewnie część jest z Midvale High. Kaylę znajduję w ogrodzie. Uroczym zakątku, obstawionym kratkami, po których wspina się bluszcz, a w tle cicho szumi fontanna. Kayla wygląda zjawiskowo: w niebieskim topie bez ramiączek i białej spódnicy przypomina opaloną boginię tenisa. Rozmawia z dziewczynami z otoczenia Avery, ale na mój widok podchodzi uśmiechnięta.

– Cześć! Jesteś!
– Kubeczki zostawiłam w kuchni.
– Super, wielkie dzięki. Świetnie wyglądasz.
– Ty też! Będę czujna i wszystkich zboczeńców przegonię kijem do baseballu.
– Spoko! – śmieje się. – Weź sobie coś do picia.

Gdy wracam z rumem z colą, już jej nie ma. Rozglądam się i po chwili zauważam, że tańczy z jakimś chłopakiem. Nie obmacuje jej i przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nie wpatruje się w jej cycki, więc mu odpuszczam. Przynajmniej chwilowo. Bo kiedy przypadkiem nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy, przykładam do oczu dwa palce, a potem wskazuję na niego, co ma oznaczać „mam cię na oku, dupku”. Chyba rozumie, bo uśmiecha się nerwowo i kiwa głową. Grzeczny harcerzyk.

– Jak zwykle siejesz postrach wśród męskiej populacji? – słyszę znajomy głos. Odwracam się i widzę Wrena w koszulce polo i džinsach. Trzyma drinka,

uśmiecha się promiennie i wpatruje się we mnie w ten swój opętańczy sposób.

– Jasne! A co u ciebie, koleżko? Co tu robisz? A, racja, przecież jesteś super wyluzowanym szefuńciem. Nie wzdragasz się przed procencikami.

– Gdybym się wzdragał, nie kumplowałbym się z tyloma osobami, prawda?

– Rozumiem. Mamy parcie na popularność?

Śmieje się i kręci głową.

– Nie chodzi o popularność, raczej o... jakby to ująć? Przyjacielskość? Lubię, jak mnie lubią.

– Hmm. Czyżby miało to korzenie w głęboko zakorzenionej potrzebie aprobaty zasianej przez matkę-alkoholiczkę i ojca-pracoholika? To by wyjaśniało, dlaczego tak często pracujesz jako wolontariusz: czynisz dobro, bo dla ciebie nikt nie był dobry. – Jest w szoku, więc szybko macham ręką i się śmieję. – Żartowałam! Jak się napiję, dochodzę do szalonych wniosków.

– Jakim cudem... – milknie. – Chyba jednak niepotrzebnie pytam. Ale ty i on nigdy nie przestaniecie mnie zdumiewać.

On. Czyli Jack. Wskazuję na jego kubeczek, żeby zmienić temat.

– Co tam pijesz?

– Sok winogronowy.

Wybucham śmiechem.

– Serio?

– Serio! Jestem kierowcą dla kilku osób.

– Ach, szefuńciu! – Klepię go po plecach, a sok wylewa się na podłogę. – Zawsze taki sztywny! Musisz się nauczyć korzystać z życia.

– Ależ korzystam! Nieustannie!

– No tak, ale ciągle żyjesz dla innych. Nie masz czasu dla siebie. Niedługo zaczniesz nienawidzić ludzi, jeśli będziesz im poświęcał wszystkie siły, a sobie nic.

– Odwraca wzrok, a ja się uśmiecham. – Słuchaj, przepraszam. Wtykam nos w nie swoje sprawy. Tak, jakbym cię wachała pod pachą. – Milknę. – Wiem, to obrzydliwe.

Wren patrzy na mnie niepewnie i wybucha śmiechem, więc śmieję się z nim. Potem zapada cisza, maskowana trochę muzyką, więc zmieniam temat, zanim zrobi się zbyt niezręcznie.

– Chłopaki z drużyny nie przepadają za Jackiem, co?

– Można tak powiedzieć. – Wren kiwa głową. – Ale w pierwszej klasie lubili go jeszcze mniej.

– I co się stało?

– Jack nie wytrzymał. Tuż przed feriami zimowymi chcieli mu trochę podokuczać w toalecie i... No cóż, ujmijmy to tak: Brett nie złamał nosa w trzech miejscach na boisku. A Jeremy nie bez powodu nie jest w stanie przebywać z Jackiem w jednym pomieszczeniu dłużej niż przez minutę.

- Czyli ich zbił.
- Wszystkich czterech – potwierdza Wren.
- Chryste... – syczę.

– Robił już gorsze rzeczy – kwituje Wren. Patrzy gdzieś w dal, jakby na wspomnienie, które jest przede mną ukryte. Echo jego słów brzmi złowrogo i jestem jednocześnie ciekawa i zaniepokojona. Ale alkohol szybko uderza mi do głowy. Potrafię skupić się na danej myśli najwyżej przez pół sekundy, potem ulatuje. Nagle rozlega się piosenka, którą dla odmiany lubię, więc wydaję cichy okrzyk i wciskam Wrenowi swój kubek.

- Trzymaj! Muszę to zatańczyć!
- Ty tańczysz?
- Oczywiście! Jestem mistrzynią w kręceniu tyłkiem.

Wren patrzy to na parkiet, to na mnie, jak na meczu tenisowym.

- Zatańczysz ze mną? – krzyczę.
- Co? – W jednej chwili robi się bładny jak ściana.
- No chodź! Będzie fajnie!
- Ale ja nie tańczę.
- Tak, a ja nie robię kupy.
- To niezdrowo.

– No chodź, szefuńciu! – Łapię go za rękę i ciągnę na parkiet, którego funkcję pełni dywan rozmiaru trzy na trzy metry w kącie pokoju, z którego zostały usunięte kanapy. Wykonuję najgłupsze ruchy, jakie znam i robię z siebie idiotkę, żeby Wren nie czuł się tak niezręcznie, tańcząc „na serio”. Ludzie, którzy nie tańczą, zawsze się przejmują, że wyjdą na idiotów, ale kiedy się wychodzi na idiotę tak często jak ja, taniec przychodzi łatwo. W pewnym sensie. Wciąż się obawiam, że ludzie będą mnie pokazywać palcami i śmiać się z podskakujących wałków tłuszczu, ale w konsekwencji tańczę jeszcze ostrzej, żeby pozbyć się tych paskudnych myśli. Wren wybucha śmiechem, kiedy klękam i usiłuję zrobić karuzelkę na głowie, jak tancerze breakdance. Kończy się na tym, że podcinam dwie osoby i opamiętuję się dopiero, kiedy Kayla daje mi przyjacielskiego kopniaka. Wren kiwa się trochę do rytmu, ale wygląda na zdenerwowanego jak jasna cholera. Szaleję wokół niego, a gdy zaczyna się wolna piosenka, zarzucam sobie jego ręce w tali i zamierzam mu pokazać, jak się tańczy w parze. Ale on już wie.

- Okłamałeś mnie! Umiesz tańczyć!
- Chodziłem na lekcje tańca towarzyskiego – przyznaje. – Mama mnie zmuszała, jak byłem mały.

Nie jest złany perfumami jak Jack, ale jego naturalny zapach jest przyjemny w porównaniu ze stadem spoconych chłopaków, którym Axe wycieka z każdego poru skóry. Nagle zauważam, że na drugim końcu domu ktoś siedzi na kanapie i na

mnie patrzy. Lodowaty błękit jego oczu jest mi dobrze znany. Co on tu robi? Kayla go zaprosiła? I dlaczego jego wzrok wisi w miejscu, w którym Wren mnie obejmuje?

W końcu nudzi mi się bycie obiektem obserwacji, więc idę do stolika, przy którym zostawiliśmy drinki. Wren idzie za mną, a potem jednym haustem wypija swój sok. Robię to samo, ale wygazowana cola spływa mi po gardle z nieprzyjemnym pieczeniem.

– Płonę! – jęczę. – Przede wszystkim dlatego, że jestem nieprzyzwoicie seksowna, ale także dosłownie. Muszę się przewietrzyć.

Wren się śmieje.

– Jasne. Dzięki za taniec.

– To ja dziękuję tobie, szefuńciu!

– Wren! Tutaj jesteś!

Widzę, jak Kayla do niego podbiega, cała rozpromieniona. Wren prawie wypuszcza z dłoni kubeczek, a okulary zsuwają mu się z twarzy. Kayla się schyla, żeby je podnieść, a on jąka jakieś przeprosiny. Wychodzę, niech w samotności przebrną przez tę niezręczność.

Z ulgą witam chłodne powietrze i staram się złapać oddech. Nie tańczyłam od wieków. Po tym, co się stało z Bezimiennym, nikt mnie nie zapraszał na imprezy. Miał rozległe wpływy, więc zostałam automatycznie wykluczona z wszelkich spotkań towarzyskich. Nie, żeby wcześniej zapraszali grubaskę jakoś szczególnie często. Ale jednak. Zdarzało mi się tańczyć, ale potem miałam długą, długą przerwę i teraz czułam się świetnie. W ciągu tych kilku minut wypociłam trochę obaw o mamę. I pomyśleć, że tańczyłam z kuzynem Bezimiennego! Z krewnym samego diabła! Śmieję się i uderzam dłonią w ławkę, na której siedzę.

– Teraz bijesz przedmioty nieożywione? Twoja agresja nie zna umiaru – słyszę znudzony głos i nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć kto to.

– Jack do Wynajęcia! – Uderzam w siedzisko jeszcze mocniej. – Nie zapłacono ci, żebyś poszedł z dziewczyną do łóżka? Gdzie ona jest? Przeprowadziłeś ją?

– Odwołała spotkanie. Jej ojciec miał wylew.

– Biedaczysko. Będzie miał drugi, jak się dowie, że kasa, którą jej wysyła na studenckie wydatki, idzie na dziwki i dymanie.

– Nie jestem dziwką.

– Jesteś mężczyzną do towarzystwa.

– To dwie różne rzeczy.

– Ale dostajesz kasę za seks.

– Kobiety są inne. Większość nie ma obsesji na punkcie seksu jak faceci. Płacą mi, żebym je zabrał na kolację. – Pociąga nosem. – Poszedł z nimi na ślub, albo na spotkanie szkolne jako ich partner. Udaję też chłopaka, żeby wzbudzić

zazdrość w byłym. Albo stanowią przykrywkę dla lesbijek mających rodziców tradycjonalistów. Seks zdarza się tylko czasem.

Karczę się za nieoczekiwane uczucie ulgi, którą odczuwam, gdy to mówi. Mam gdzieś, czy bzyka się z całą żeńską populacją z okolicy, a kiedy już wiem, że tego nie robi, jakiś ciężar, którego wcześniej nie odczuwałam, przestaje mi uciskać pierś.

– Wymówki, ciągle same wymówki – zrzęczę. – Chodź. Siadaj koło mnie. To bardzo miła ławka. Przyjemna dla tyłka.

– Jesteś pijana – stwierdza i przeczesuje grzywkę. Włosy opadają mu na oczy jak w reklamie napoju gazowanego.

– A ty jesteś brzydki, ale czy ja marudzę? Nie! Bo nie narzekam na rzeczy, których nie mogę zmienić. To się nazywa inteligencja. Skąd się tu w ogóle wzięłeś?

– Przypomniałem sobie, że Kayla piszczła coś dzisiaj na temat imprezy. A jak zobaczyłem cię z czerwonymi kubeczkami, połączyłem fakty.

– Wow. Ale ty jesteś mądry. Co za umysł!

– Cuchniesz rumem. – Siada obok mnie i wciąga powietrze.

– Dobrze, że nie jestem seksowną piratką, bo musiałabym bez przerwy mówić, że rum się skończy, a potem jeszcze nakręcić film na ten temat.

– Czyli lubisz Johnny’ego Deppa?

– Lubię? Ten facet jeździ moim wyśnionym samochodem i parkuje przy moim wyśnionym domu w moich prawdziwych snach!

Jack wydaje coś pomiędzy drwiącym parsknięciem a pełnym niedowierzania zdumieniem.

– Jasne.

– Ech, co ty możesz wiedzieć o byciu seksownym? – bełkoczę i macham ręką. – Nic nie wiesz!

– Pochlebiam sobie myślą, że coś tam jednak wiem.

– Nie mów, że uważasz swoje łzawe komplementy za seksowne! Strzelasz nimi jak z armaty i liczysz, że jakaś dziewczyna – przepraszam, klientka – będzie na tyle głupia, żeby je łyknąć.

– Większość moich klientek jest na tyle głupia. I płytka. To nie do uniknięcia, jeśli się pracuje dla klubu, który cię zatrudnia ze względu na wygląd.

Mówi to ze znużeniem, w jego głosie słychać zmęczenie życiem. Opieram się o jego plecy. Siedzi prosto, a jego łopatki kojąco wbijają się w moje.

– Z-zdążyliście przynajmniej użyć tej liny? – tłumię czkawkę.

– Nie do końca.

– Cholera. To musiała być ładna lina, skoro ta laska jest taka bogata. Ze złotymi niemi, szafirami w chwostach i całą resztą szajsu.

Nie wiem, może jestem aż tak pijana, że mam halucynacje, ale

przysięgłabym, że czuję przenikające przez jego plecy vibracje śmiechu i słyszę adekwatny dźwięk. Ale zanim dam radę wyrwać się z pijackiego stuporu na tyle, żeby stwierdzić, czy naprawdę się śmiał, a może tylko znowu parsknął z wściekłością, muzyka tłumi dźwięki. W ogrodzie jest ciszej, ludzie całują się za krzakami. Wskazuję na lekko zażółconą wodę w fontannie.

– Patrz, ktoś nasikał.

– Założę się, że to ty.

– Chciałabym! Super byłoby nasikać do czegoś takiego! Ale niestety, dziewczyny nie posiadają luksusowej przenośnej sikającej rurki. Możemy nasikać na to, nad czym zdołamy kucnąć. Fontanna nie należy do tych miejsc.

– Biorąc pod uwagę, że jesteś uparta jak stary osioł, na pewno dałabyś radę.

– Może i tak. Spróbuję.

Wstaję trochę za szybko i lekko się chwieję. Jack łapie mnie za rękę i ciągnie z powrotem do bezpiecznej przystani, jaką jest ławka, ale gdy bezwładnie siadam, zahaczam tyłkiem o jego kolano. Piszczę i błyskawicznie się poprawiam.

– Uff. Ale dupnęłam. Dup-nęłam, czaisz? Jestem taka błyskotliwa!

– Jesteś pijana – poprawia.

– To jeszcze nic! – Fontanna szumi, a gdzieś w oddali zaczyna na swoich piskliwych odnóżach brzęczeć świerszcz. – Chciałam ci podziękować. – Z trudem koncentruję wzrok na twarzy Jacka.

– Za to, że cię poskromiłem, złośnico?

– Nie wiem, o co ci chodzi. Skąd ty bierzesz te słowa? Zachowujesz się jak jakiś jajogłowy kujon, który łązi po teleturniejach. Tyle że nie masz brody rosnącej na szyi. I dyplomu z angielskiego.

– Cała ty: szalona, nieokiełznana. W ataku furii depcze po ludziach, jakby byli z papieru.

– Fajnie, rzeczywiście, jakbyś o mnie mówił.

– To nie ja, tylko Szekspir.

– Czyli miał wizję. Mnie. Milion lat przed moim narodzeniem. Niewiele osób o tym wie. – Świat wiruje mi przed oczami. Zdecydowanie za dużo wypiałam. Gdzieś w domu tłucze się coś szklanego i ktoś krzyczy „O cholera!”, a Kayla biegnie na górę z miotłą i śmietniczką. – No więc, jak mówiłam, gdy tak nieuprzejmie mi przerwałeś, chciałam ci podziękować.

– Za co konkretnie? Myślałem, że mnie nienawidzisz.

– Bo nienawidzę! Ale mimo to jestem ci winna podziękowania. Trudno to wyjaśnić, ale nigdy bym nie pomyślała. Naprawdę, nigdy. Jak się jest kimś takim jak ja, to się nie myśli, że coś takiego cię spotka. Po prostu to sobie odpuściłam, rozumiesz? I nawet się cieszyłam, że mnie to ominie. Tacy ludzie jak ja, tego nie doświadczają. Ani tak naprawdę na to nie zasługują.

– O czym ty na litość boską mówisz?! – mruży oczy.

– Po prostu! – zaczynam z nieplanowanym krzykiem, więc na wszelki wypadek od razu przechodzę do szeptu. – Po prostu chciałam ci podziękować za to, że ten... Że mnie pocałowałeś.

Marszczy czoło.

– Ale to był żart! Wkurzałeś mnie tymi plotkami, musiałem jakoś to przerwać. Nie zrobiłem tego na serio.

– O Jezu, wiem! Już to omówiliśmy. Wiem, cha cha, niezłe jaja. Okej. Ale i tak dzięki.

Jack nagle nieruchomieje i patrzy na mnie, jakby zobaczył mnie w całkiem nowym świetle.

– Chodzi ci o to... Ty nigdy... To był twój pierwszy pocałunek?!

– Cha cha, no nie? I ostatni, bo jak mówię, takich ludzi, jak ja, to nie spotyka. Chyba że dla jaj, oczywiście. Cha cha. Ale jednak się stało. I... i cieszę się, bo nie sądziłam, że ktokolwiek będzie chciał coś takiego ze mną zrobić. No więc... No tak. Dzięki. Mówię serio.

– Ty nigdy...

– Nie! Ale to przecież nic dziwnego. Popatrz na mnie! – Wskazuję na swoje ciuchy i twarz. – Nie jestem, no wiesz, Kaylą. Nawet koło niej nie stałam. I do tego mam masę głupich problemów. Nigdy już nikomu na tyle nie zaufam, żeby to zrobić. Ale mimo wszystko. Było przyjemnie. I fajnie. I tak, wiem, to był żart, spoko, ale może być miło nawet, jeśli coś jest żartem. Cha, cha!

Wydaje mi się, że w błękitnych oczach Jacka widzę szok albo po prostu jestem za bardzo pijana.

– Ale przecież jesteś taka... – zaczyna.

– Głośna? Wkurzająca? Cyniczna? Tak, wiem, już to słyszałam od chłopaków.

– Zamierzałem powiedzieć – koryguje Jack ostro – pewna siebie. Charyzmatyczna. I zabawna. Jesteś... Chodzi mi o to, że wielu facetów byłoby... Nie wiem.

– Znowu zaczynasz z tymi żalonymi komplementami? Nie jestem twoją klientką. Nie musisz mi kadzić, jeśli nie wierzysz w to, co mówisz.

– Ale wierzę. Nie mówię rzeczy, w które nie wierzę.

– Chyba, że pracujesz.

– Teraz nie pracuję. Nie ma tu dziewczyny, którą musiałbym zauroczyć, więc wszystko, co mówię, jest szczerze i prawdziwe.

– Czyli nie przełączyłeś się jeszcze z trybu pracy w tryb normalnego życia. Ale spoko. Komplementy są miłe, nawet, jeśli nieszczerze.

– Są szczerze, możesz to przyjąć do wiadomości? Przestań kwestionować moją prawdomówność!

– A ty przestań kłamać – wzdycham. – Żadna z tych rzeczy, które

powiedziałeś, nie pasuje do mnie. Ale nie szkodzi. Umiem udawać.

Pociera czoło.

– Boże, jaka jesteś irytująca.

– O, to jest prawdziwy przymiotnik do dopisania do mojej listy.

– Gdybym wiedział... – Przeczesał włosy, ale zaraz i tak opadają mu z powrotem na oczy. – Gdybym wiedział, nie zrobiłbym tego. Pierwszy pocałunek... To powinno być dla dziewczyny coś wyjątkowego. Dzielonego z kimś, kogo kocha. Czegoś takiego nie traci się w głupiej licealnej awanturze ze zniechęconym chłopakiem.

– No, ale widzisz. Ja już nigdy nikogo nie pokocham, więc nie szkodzi. W sumie się cieszę, że mam to z głowy. Nie będę musiała już się nad tym zastanawiać.

– Jesteś tego pewna, co?

– Czego?

– Że już nikogo nie pokochasz. Powiedziałeś to z takim... przekonaniem. Jakby to była prawda wykuta w kamieniu.

– Bo tak jest! – Uśmiecham się do niego.

– Nie wykorzystasz żadnej z milionów i trylionów możliwości, które kryje przyszłość i więcej się w nikim nie zakochasz?

– Tak! Dokładnie! Minęły trzy lata, czternaście tygodni i zero dni, odkąd byłam zakochana. I więcej tego nie zrobię. Dostałam nauczkę. – Wstaję i się przeciągam, żeby wypełnić czymś niezręczną ciszę, która zapadła między nami. – Chyba przyniosę sobie jeszcze drinka. Chcesz coś?

– Ja nie piję.

– No proszę bardzo! Serio? Ty i Wren, dwa chodzące ideały. Kto by pomyślał!

– Kiedyś się przyjaźniliśmy – mówi Jack takim głosem, jakby to było przyjemne wspomnienie. – On i ja.

– I co się stało?

Jack spogląda na mnie i w bladym świetle docierającym z domu widzę, że w jego lodowatych oczach płonie złowrogi ogień. Kości policzkowe spowija cień i w efekcie wygląda niesamowicie atrakcyjnie i jednocześnie groźnie.

– Zrobiłem coś bardzo złego.

Wypowiada te słowa takim tonem, że po plecach przebiega mi dreszcz, ale staram się, żeby nie było tego widać na mojej twarzy.

– Niby co? Wrzuciłeś mu śnieg do majtek? Pocałowałeś jego dziewczynę? A może ma to coś wspólnego z Sophią?

Jack wybuchł śmiechem. Naprawdę się śmieje, wyraźnie i czysto, jak wtedy, gdy rozmawiał z Alice. Ale nie słyszę ani nuty przyjemności czy radości. Tylko gorycz, przestarzałe poczucie winy. Wstaje i odchodzi, a ja jestem tak ciekawa, że

wyciągam rękę, bo chcę złapać go za koszulkę i przyciągnąć z powrotem. Potykam się jednak o barierkę wokół fontanny i nagle czuję straszliwe szarpnięcie w kręgosłupie, następnie jakiś ciężar opada tuż obok mnie, a do nosa, uszu i ust wlewa mi się woda. Szok termiczny rozwiewa alkoholowe zamroczenie i desperacko usiłuję się wygramolić z fontanny. Jack jest mokry od pasa w dół, patrzy na mnie wściekle, dzinsy kleją mu się do ud, a ja widzę więcej, niż chciałam zobaczyć. Wszyscy w domu rzucają się do okien, patrzą na nas i się śmieją, a zgromadzeni w ogrodzie prawie wyją.

– Jak to zrobiliście? Ta fontanna ma sześćdziesiąt centymetrów szerokości!

– Co za debile!

– Carl tam nasikał!

Jack i ja solidarnie ociekamy wodą.

– Zrobiłaś to specjalnie – burczy pod nosem Jack i przysięgam, że widzę, jak z wściekłości drżą mu brwi.

– Nie! Potknęłam się i... O Boże, masz coś zielonego w kroku. Nie, żebym tam patrzyła. Ale jest bardzo zielone, więc spojrzałam. Zobacz!

Zdejmuje z okolic rozporzka kawałek zielonego wodorostu i rzuca w twarz śmiejącemu się chłopakowi, stojącemu najbliżej nas. Wodorost ląduje z wilgotnym plaśnięciem, a Jack znika, zanim udaje mi się go porządnie przeprosić. Nie, żebym zamierzała, bo w końcu jesteśmy w stanie wojny, więc dlaczego miałabym to robić?! I dziękować, że mnie pocałował? Czy ja biorę jakieś inne antydepresanty, nie licząc tych opartych na etanolu?! Muszę wycisnąć z tego wypadku, ile się da! Podnoszę rękę i triumfalnie wymachuję zaciśniętą pięścią.

– Smacznego, dupku!

Wszyscy się śmieją, niektórzy kręcą głowami. Idę do środka i rozchlapując wodę, podchodzę do zszokowanej Kayli.

– Przepraszam za podłogę. Kocham cię. Mówiłam to ostatnio? Naprawdę cię kocham i błagam, nie gniewaj się, że wepchnęłam twojego ukochanego do fontanny. To był wypadek, ale muszę udawać, że zrobiłam to specjalne, bo taka już jestem.

Zapada nieprzyjemna cisza, a ja poświęcam ją na przeanalizowanie wszystkich życiowych decyzji, które zawiodły mnie w to miejsce. Kayla marszczy nos.

– Śmierdzisz sikami.

Oddycham z ulgą, ale od razu żałuję głębokiego wdechu.

– I to jak jasna cholera.

Rozdział 7

3 lata, 14 tygodni, 3 dni

Poziom nienawiści, którą emanuje Jack Hunter, rośnie.

Na imprezie myślałam, że ta nasza intymna, niech ją szlag, chwila na uboczu i wymiana intymnych, niech je szlag, uczuć, złagodzi jakoś napięcie. Ale nie. Patrę na porozklejane po całej szkole zdjęcia i widzę, jak bardzo się myliłam.

Przedstawiają mnie. Grubą. Wychodzącą z budynku mojej starej szkoły w Good Falls na Florydzie. Widać mi przedziałek w tyłku i prawie pływam w starej, workowatej koszuli, w której wówczas chodziłam. Widać okrągłą twarz, bo obracam się przez ramię i patrzę prosto w aparat.

Wszyscy oglądają zdjęcia, a potem pokazują na mnie i się śmieją.

Przeprowadzam szybką analizę plusów i minusów rzucenia się na ziemię i odstawienia pokazowej hysterii.

Pojawia się obok mnie bardzo zdenerwowana Kayla. Idzie ze mną do klasy. Ludzie to podłe świnie. Wielkie, tłuste świnie. To musi być robota Jacka, w końcu jesteśmy w stanie wojny, ale to najokrutniejsze, do czego się dotychczas posunął. Ja też byłam okrutna, wiem, ale nie grzebałam w jego przeszłości ani nic takiego. No dobra. Może i grzebałam. Trochę. Rozmawiałam z Wrenem, a on mi powiedział o Sophii, o której wspomniałam na imprezie. Myślę, że w ten sposób Jack mi mówi, że mam się odczepić. Zabolało go. Bardzo. Wbiłam się w odpowiednie miejsce jak ogromny kleszcz, który utkwiał na dość długo, żeby wypić masę krwi i zmienić się w kleszczową Godzillę. Zabolało go bardzo, ale nic mnie to nie obchodzi. Wytoczył potężne działa. Wywłókł to, że kiedyś byłam gruba i chociaż ja zawsze wyglądałam zjawiskowo, to jak śmiał zanurzać podłe paluszki w mojej przeszłości i rzucać ją wszystkim na żer?! Jak go następnym razem zobaczę, wyciągnę mu przętyk przez nos i zrobię z niego stroik na włosy...

– Isis? – Kayla klepie mnie po plecach. – Znow myślisz na głos.

– Bo jestem zła – parskam. – Na pewne osoby, znajdujące się w niedalekiej odległości.

– Ale nie na mnie? – dopytuje.

– Oczywiście, że nie.

– Muszę ci powiedzieć, że miałaś bardzo atrakcyjny przedziałek w tyłku. – Szuka jasnych stron.

– A dziękuję. Jaką Jack ma pierwszą lekcję?

– Trygonometrię z panem Bernardem.

Jak burza wpadam do budynku J. Dzwonek jeszcze nie dzwonił. Mam pięć

minut, żeby zrobić piekło. Kopniakiem otwieram drzwi do klasy pana Bernarda. Jack siedzi na końcu. Podchodzę do białej tablicy, odczepiam magnetyczną gąbkę i rzucam mu nią w głowę. Uderza z zaskakującą siłą. Jack wygląda na oszołomionego.

– Jesteś małym gnojkiem, Jacku Hunterze McSzajsingtonie! – krzyczę. – Podłym, okrutnym i obrzydliwym jak gotowane brokuły! Założę się, że masz kolekcję sterczyków!

– Storczyków... – podpowiada nieśmiało pan Bernard.

– ...storczyków! Do tego cuchniesz i jesteś najgłupszym debilem, jakiego miałam w życiu nieprzyjemność poznać. Gdybyś był tak miły i rzucił się z pierwszego lepszego wysokiego budynku, a potem skonał w samotności, byłabym ci bardzo wdzięczna!

Następnie trzaskam drzwiami i opieram się o nie, dysząc ciężko. Wyrzuciłam z siebie wściekłość, mogę więc znów się uśmiechać i jasno myśleć. Wracam do klasy.

Kayla unosi brew.

– W porządku?

– Planuję właśnie najkrwawsze tortury, z których Jack nie wyjdzie żywy, a już na pewno nie z nienaruszonym penisem.

– Aha...

– Niniejszym został skreślony z listy porządnych ludzi – zapewniam ją. – Czerwonym atramentem. Z milionem wykrzykników!

– Myślisz, że on to zrobił? Sam porozklejał te wszystkie zdjęcia? Skąd by je w ogóle wziął?

– Jest tylko jedna osoba, mająca dostęp do mojej przeszłości – cedzę.

Po drodze do kryjówki Wrena dociera do mnie, że nie płakałam. Nie uroniłam ani jednej łzy. Bo niby czemu? Nie jestem dumna z tego, kim byłam, ale tamtej dziewczyny już nie ma. Zmieniłam się. Mam we włosach cztery purpurowe pasma i nie zakochałam się od trzech lat, czternastu tygodni i trzech dni. Dobrze sobie radzę. Znacznie lepiej niż panna na tym zdjęciu. Wyciągam rękę i mijając rząd szafek, zrywam z nich zdjęcia. Potem triumfalnie wrzucam zwitek do kosza. Przedziałek między moimi tłustymi pośladkami zdobi podłogę, na której wylądowały podarte, pogniecione i zdeptane brudnymi butami odblaski. Na niektórych widnieją namazane słowa, na przykład „grubas” albo „tłusta szmata”. Woźny zmiata je na stosy, a jego miotające piorunami spojrzenie łagodnieje nieco na mój widok.

– Żadnej litości! – Wskazuję na niego palcem i mówię poważnie. Litość jest dla tych, którzy jej potrzebują. Ja nie potrzebuję. Już nie.

Uśmiecha się krzywo i wraca do zamiatania.

– Żadnej litości – zgadza się.

Siedziba samorządu jest czysta i mała, pachnie tu ołówkami i zeschniętymi pączkami. Wren poucza pierwszoklasistę w okularach i dwie myszowate dziewczyny z tego samego rocznika, że nie należy biegać po korytarzach i trzeba mieć dobre oceny albo inne bzdety. Zachodzę go od tyłu i walę pięścią w jego biurko.

– Dobry wieczór wszystkim. Tak, to ja, dziewczyna od Przedziałka w Tyłku. Radzę się ewakuować, zanim pokażę wam mój nowy, zaktualizowany przedziałek.

– Isis? Co cię opętało? – zaczyna Wren. Pierwszaki łypią na niego nerwowo, a on macha ręką, żeby sobie poszli. Zamykają drzwi, a wtedy ja siadam na biurku Wrena i zakładam nogę na nogę jak dama.

– Dałeś Jackowi moje zdjęcie, prawda?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Rozmawiałeś z Bezimiennym, a on dał ci zdjęcie.

– Nie! Przysięgam, że nie gadałem z Will... – wzdrygam się, a on posłusznie odchrząkuje: – ...z Bezimiennym od tygodni. Nie jesteśmy jakoś super blisko.

– Więc skąd Jack ma zdjęcie?

– Słuchaj, nie twierdzę, że wiem, kto to zrobił, ale zauważyłaś, że żaden z nauczycieli nie mówi na ten temat? Dyrektor Evans nie pisnął ani słowa przez radiowęzeł. Normalnie ma świra na punkcie dewastacji szkolnego mienia. A teraz? Cisza.

– Sugerujesz, że to Evans?

– Nic nie sugeruję. – Zniża głos. – Mówię tylko, że to dziwne i że jeśli pogadasz z Evansem, może dowiesz się więcej.

Wpatruje się we mnie okrągłymi, orzechowymi oczami, które nie mrugają. W końcu odpuszczam. Nie ma szans, żeby ktoś tak uroczy wyposażył mojego wroga w zdjęcia służące do mistrzowskiego szantażu. Nawet, jeśli kiedyś się przyjaźnili.

– Dobrze. Porozmawiam z Evansem. Ale... – wskazuję na niego paluchem – z tobą jeszcze nie skończyłam. Nie łudź się. Jack mi powiedział na imprezie u Kayli, że zrobił coś złego. A ty się wystraszyłeś. Zamierzam się dowiedzieć co to takiego.

Twarz Wrena robi się na sekundę całkiem blada, a ja się przelotnie zastanawiam, czy to możliwe, że miał zawał. Zaciska usta i patrzy na mnie z wściekłością. To mi wystarczy, Jack mówił prawdę. Zrobił coś złego. Coś, od czego Wren dostaje trzęsawki pod grzeczną koszulką polo i okularami w rogowych oprawkach. Ale chwilowo mu odpuszczę, bo muszę się zająć dyrektorem. Wypadam z pokoju i zostawiam Wrena w spokoju.

Sekretarka pana Evansa jest ładna, ma ciemne włosy, a na czole rozlane znamię, z którym wygląda trochę jak dalmatyńczyk, a trochę super dziwacznie.

– Dzień dobry. Czy mogłabym porozmawiać z panem dyrektorem? To pilne.

– Jasne, skarbie – uśmiecha się. – Jest akurat wolny. Wejdz.

Staję przed drzwiami i oddycham głęboko. Nie mogę otworzyć kopniakiem. Muszę udawać pokojowe zamiary. Żeby wyciągnąć z niego prawdę, będzie trzeba stwarzać pozory, że jestem miła i łatwo mi namieszać w głowie. Wybieram najbardziej czarujący z moich uśmiechów i wchodzę.

Evans siedzi przy biurku i pisze coś na komputerze. Półki zastawione są szklanymi figurkami pingwinów, a na biurku, obok tabliczki z nazwiskiem, pyszni się ostentacyjne, obrzydliwe złote popiersie... jego. „Dyrektor Goodworth M. Evans”. Nie bez trudu powstrzymuję się od parsknięcia. Goodworth. Co to jest do cholery za imię?!

Pan Evans podnosi wzrok. Jego łysina wyjątkowo rzuca się dzisiaj w oczy. Szczerzy zęby.

– Ach, Isis. Tak myślałem, że dzisiaj mnie odwiedzisz. Siadaj, proszę.

Tak myślał, co? To nie wróży dobrze. Siadam w miękkim fotelu.

– Wszędzie wiszą moje zdjęcia – zaczynam.

– Wiem, widziałem. Bardzo mi przykro. Młodzież jest w tych czasach okrutna. Gdy tylko je zobaczyłem, kazałem Marcusowi posprzątać.

– Jeszcze nie skończył.

– Tak, wiem. Biedaczysko.

Ani nuta w jego głosie nie brzmi szczerze. Słowa pozbawione znaczenia skropione sztucznym miodem. Ma to gdzieś. Zaczyna znów pisać, czas przeznaczony dla mnie się skończył. Albo unika konfrontacji. Nie może patrzeć mi w oczy i to też nie jest dobry znak. Tak działa poczucie winy.

– Chciałabym pana spytać o Jacka – mówię, a Evans chichocze.

– Nie dam ci jego adresu, planu lekcji, numeru telefonu ani numeru ubezpieczenia.

– Słucham?!

– O to zwykle proszą dziewczyny.

– Ja nie jestem dziewczynami.

– Tak, widzę. – Zaczyna szybciej uderzać w klawisze. – Wyrzucono cię z poprzedniej szkoły z powodu... Jak to nazwała policja? „Odruchów agresywnych”? W twoich aktach jest napisane, że atakowałaś każdego, kto ci wpadł w ręce i kto dziwnie na ciebie spojrział. Zastanawiam się, czemu zrobiłaś się taka wrażliwa?

– Sama nie wiem... Może przez niekończące się, okrutne prześladowanie z powodu mojej tuszy?

– Ale przecież ono dodało ci siłę, prawda? Z tego powodu schudłaś. Tak naprawdę powinnaś być wdzięczna tym, którzy cię dręczyli.

Śmieję się z niedowierzaniem.

– Czy pan sobie robi jaja?!

– Uważaj na język, Isis – odpowiada natychmiast. – Nie chcielibyśmy kolejnej skazy w twoich aktach, prawda? Są już i tak nieźle splamione.

Nie doceniałam go. Dobrze rozgrywa swoją partię. Jasne, że tak. Ma za sobą lata dorosłości. Wtedy trzeba się uśmiechać do ludzi, których się nienawidzi i tłumić emocje. Jest mistrzem bierno-agresywnego taekwondo. Ja walczę w nieco drapieżniejszym stylu. Tańczymy wokół siebie, kompletnie niezgrani, więc żadne niczego nie osiągnie. Zmieniam taktykę.

– Słyszałam, że Jack jest bardzo inteligentny. – Dorzucam do mojego tonu kokieterijną nutkę. – Pewnie dzięki temu, że macie tu taki wysoki poziom?

Pan Evans podnosi głowę i pręży pierś.

– Oczywiście! Mamy doskonałą kadrę, wkrótce się o tym przekonasz. Jack jest najlepszym uczniem, jakiego widziałem od lat. Osiągnął doskonałe wyniki na końcowych testach kompetencji.

W głębi ducha parskam, ale na zewnątrz uśmiecham się szeroko.

– To pewnie oznacza, że pójdzie do naprawdę dobrego college'u?

– Och, do najlepszego! Właśnie dzisiaj rozpoczął procedurę aplikacyjną do Yale.

Dzisiaj? A to zbieg okoliczności! Gdy podsłuchiwałam ich rozmowę zaledwie kilka tygodni temu, zdawał się gardzić pomysłem zdawania na uczelnię z Ligi Bluszczowej. Co się zmieniło? Mrużę oczy, ale nadal się uśmiecham.

– Łał! To chyba uczelnia z Ligi Bluszczowej, prawda? Robi wrażenie.

– Będzie też składać papiery do Princeton. W każdym razie tak mówi. To byłaby wielka strata, gdyby ktoś tak błyskotliwy został tutaj.

– Jasne. Zdecydowanie. Jest pierwszym uczniem naszej szkoły, który pójdzie na taką uczelnię?

Oczy Evansa rozpromieniają się.

– Cóż, nie pierwszym. Przed nim udało się to trzem innym, ale on będzie pierwszy od dwudziestu lat.

– Na pewno jest pan dumny?

– O tak! Bardzo! Mało tego, dzięki niemu szkoła dostanie dofinansowanie...

Milknie, a ja mrugam.

– Dofinansowanie?

Pan Evans odchrząkuje i niecierpliwie bębni palcami w blat.

– Chciałem powiedzieć, że to, jaki college wybierze Jack, jest ważne dla wielu osób.

Mielę to w głowie, jednocześnie obdarzając dyrektora pustym, fałszywym uśmiechem. A więc nie chodzi wcale o niego. Evans nie namawia go dla jego dobra. Robi to, bo jeśli Jack pójdzie na uczelnię z Ligi, szkoła dostanie dodatkową kasę. Teraz wszystko się zgadza. Ludzie robią dla pieniędzy gorsze rzeczy niż upokarzanie nastolatki. W sumie powinnam być wdzięczna, że nie posunął się

dalej.

– Wszyscy pomyślą, że to dzięki panu! – orzekam w końcu.

– Och! – Śmieje się z fałszywą skromnością. – Nie powiedziałbym.

I wówczas do mnie dociera.

– Ma pan dostęp do akt wszystkich uczniów, prawda?

Zawsze chętny do pokazania, jaką ma władzę, stroszy piórka i bezskutecznie przygląda włosy nad łysiną.

– Słucham? A tak, oczywiście.

– Czyli do papierów z ich poprzednich szkół również?

– Ma się rozumieć.

– Do moich też.

– Stąd wiem, że zostałaś wyrzucona.

– Więc wie pan, gdzie chodziłam do liceum. I mógł pan zdobyć album szkolny, w którym są moje zdjęcia. – Evans zamiera, a jego palce zawisają nad klawiaturą. Mam cię, złamasie! – Niech zgadnę – cedzę. – Jack do pana zadzwonił. Prawdopodobnie w niedzielę. Poprosił, żeby zdobył pan moje stare zdjęcia i rozwiesił po całej szkole, tak, żeby wszyscy zobaczyli. W zamian obiecał złożyć papiery do szkół z Ligi, o co tak go pan molestował.

Evans parska.

– To bzdura!

– Tak? Bo to zdjęcie pochodzi z starego albumu szkolnego. Redakcja umieściła je w dziale zatytułowanym: „Uczniowskie porażki! XD”.

– Co to znaczy XD?

– Wybuch śmiechu. Proszę nie zmieniać tematu.

– Posłuchaj, Isis, naprawdę chciałbym złapać osobę, która zrobiła ci coś tak strasznego. Ale wyjątkowo nasz system monitoringu przechodzi akurat mały remont. A Marcus twierdzi, że nie znalazł śladów włamania.

– Bo nikt się nie włamał. Wszedł pan za pomocą swojego dyrektorskiego klucza. Uczeń musiałby wybić szybę albo wyłamać kratkę systemu wentylacyjnego, żeby się dostać do środka.

Oczy mu błyszczą złowrogo.

– Dość tego! – rzuca. – Proszę wyjść z mojego gabinetu!

– A gdybym powiedziała ochronie? Co by się stało? Chociaż nie, pewnie oni też siedzą panu w kieszeni. Więc może pójde prosto na policję?

– Nie masz dowodów! Wyjdz!

Salutuję mu sarkastycznie i trzaskam drzwiami tak mocno, że jeden z idiotycznych szklanych pingwinów spada na podłogę i tłucze się. Dyrektor burczy pod nosem i wzywa sekretarkę, żeby przyszła z miotłą, a ja wychodzę z zadowolonym uśmiechem. Jego furia potwierdza moje podejrzenia. Wygrałam, oboje to wiemy. Dyrektor Goodworth M. Evans jest małym gnojkiem i poddał się

bez walki.

Jestem niemal rozczarowana, ale wtedy przypominam sobie Jacka.

Tak, mam jeszcze jego.

Przede mną urocze, satysfakcjonujące wyzwanie.

Musiał kiedyś nadejść dzień, w którym świat dostrzeże mój naturalny seksapil.

Nadszedł dzisiaj.

W środę ubieram się najbardziej wyzywająco i zniewalająco, jak się da, jednocześnie pozostając w obrębie regulaminu. Wkładam krótką dzinsową spódniczkę i jaskrawą czerwoną bluzkę z rozcięciami z boku oraz dużym dekoltem odsłaniającym obojczyki i ramiona. Do tego czerwone balerinki, włosy spięte w kucyk na czubku głowy i pięć razy więcej makijażu niż zwykle. Praktycznie rzecz biorąc, wyglądam seksownie jak jasna cholera. To znaczy ja zawsze wyglądam seksownie. Ale teraz po prostu nie da się tego zignorować.

Jack chciał mnie tymi zdjęciami ośmieszyć. I udało mu się. Tak dobrze, że teraz wszyscy będą musieli dostrzec różnicę. Zdjęcie „przed” wisiało w całej szkole. Wizerunek „po”, żywy i oddychający, chodzi jej korytarzami w rzucającej się w oczy czerwieni. Jeśli liczył, że się schowam, włożę maskujące kolory i będę unikać spojrzeń, to się bardzo, bardzo pomylił. Może nie jestem tak ładna jak Kayla albo Avery, ale wyglądam lepiej niż dziewczyna na zdjęciu i wszyscy muszą to zobaczyć.

Parkuję przed samym wejściem i odstawiam wielką szopkę z wysiadaniem z auta. Powoli pakuję podręczniki do plecaka i zamykam samochód, ostentacyjnie wciskając guziczek w pilocie. Macham do kilkorga znajomych. Avery tylko parska, gdy ją mijam. Kayla rusza, żeby do mnie podbiec, ale ta łapie ją za rękę i ciągnie z powrotem. Uśmiecham się do niej, co ma oznaczać, że zobaczymy się później. Nawet lepiej, że nie podejździe i nie spyta, co słyhać. Mam do odwiedzenia parę miejsc. Ludzie się gapią, szepczą, ale nikt się nie śmieje, a już na pewno nie parska złośliwie. Chłopcy gwizdzą, a dziewczyny pytają, gdzie kupiłam spódnicę. Jestem przerażona ich zainteresowaniem, ręce mi się pocą, a w gardle wysycha. Ale wiem, że to właśnie muszę zrobić. Nie tylko dla dobra wojny i żeby udowodnić Jackowi, że mu się nie udało. Muszę to zrobić dla siebie. Dla dziewczyny ze zdjęcia. Jeśli czegoś się w tym roku nauczyłam, to że muszę sama o siebie walczyć, bo nikt inny tego nie zrobi.

Akurat dzwoni dzwonek, gdy idę do klasy, w której ma zajęcia Jack.

– Dzień dobry! – uśmiecham się do pani Gregory, mijanej na korytarzu.

Patrzy na mnie raz, a potem drugi. Z niedowierzaniem, jak prawie wszyscy.

– Isis? Dobry Boże, wyglądasz tak...

– Inaczej? Zjawiskowo?

– Tandetnie – syczy.

– Nie wszyscy jesteśmy dość uprzywilejowani, żeby posiadać uniwersytecki dyplom z angielskiego. Niektórzy muszą zarabiać na ulicach.

Robi się blada aż po czubki palców. Gdyby tylko wiedziała, że jej pupilek Jack Hunter jest dobrze opłacanym żigolakiem... Chyba by padła. A dwie sekundy później zatrudniła go na całą noc. Aż się wzdrygam.

Wchodzę na lekcję trygonometrii. Pan Bernard łypie na mnie, jakbym była co najmniej wściekłym psem, ale uśmiecham się uroczo i staram się wyglądać jak wcielenie niewinności. Działa przez jakieś dwie sekundy, ale później pan Bernard spogląda na drzwi za moimi plecami.

– Uszkodziłaś je.

– Przepraszam. Każda wojna ciągnie za sobą niewinne ofiary. Ja tylko na sekundę.

– No dobrze. Ale nie dłużej!

Muszę się czymś zająć, bo Jack jeszcze nie przyszedł. Widzę Nożownika. Chodzi z Jackiem na trygonometrię? Nieźle! Siadam obok niego. Kiwa mi głową, ale czoło ma nadal zmarszczone.

– Wyglądasz inaczej – mówi skrzekliwie. Pierwszy raz słyszę jego głos.

– Dzięki. Ty też! Nowa fryzura? Założę się, że sam się ostrzygłeś!

– W sumie motylkiem A-9 nieźle by się cięło włosy. Albo klasyka, nóż do steków, tyle że z backhandu.

– Dokładnie! – przytakuję, choć nie mam pojęcia, o czym on do cholery mówi.

– Na kogo czekasz?

– Nie mów, że nie wiesz.

– Czyli na Jacka. Mało ci, że na niego nawrzeszczałaś?

– Rozkleił moje zdjęcia w całej szkole. Oczywiście, że to za mało, że na niego nawrzeszczałam!

Nożownik kiwa głową.

– Widziałem je. Dobrze się bawiłem, ciachając je kątomierzem. Z nikogo nie wolno się śmiać.

Nie wiem, czy się uśmiechnąć, bo brzmi to uroczo, czy bać się, bo brzmi też cholerne niepokojąco. Przez moment się waham, ale akurat wchodzi Jack. Mija mnie i siada w ławce za mną. Odwracam się i patrzę, jak zdejmuje plecak.

– Cześć! – macham mu.

Mija sekunda, zanim mnie rozpoznaje. A może milion sekund. Patrzy na mnie, a potem przenosi znudzony wzrok na coś za oknem. Opiera brodę na dłoni i z nadzwyczajną wnikliwością przypatruje się gołębiowi. Nagle szerzej otwiera oczy i powoli obraca głowę z powrotem w moją stronę.

– Ty... – mruczy.

– Ja! – ćwierkam radośnie.

– Co tu robisz, do jasnej cholery? – pyta, a jego oczy wędrują od mojej klatki piersiowej aż do nóg, a potem wracają na górę.

– Ograniczanie szkód. Jak ci się podoba?

– Widziałem lepiej ubrane świnię.

– Nie wątpię, zwłaszcza, że jedną widzisz codziennie rano w lustrze.

– Jeśli z tego powodu się wygłupiasz, wiedz, że nie ja rozkleiłem te zdjęcia.

– Tak, wiem, Evans to zrobił.

Jack zamiera na całe trzy sekundy, a potem odzywa się wściekle:

– Poprosiłem, żeby załatwił mi twoje stare zdjęcie, nie żeby je rozklejał po całej szkole.

– Ale rozkleił. Wie, że się kłócimy. Cała szkoła o tym wie. Pewnie chciał na tobie zrobić wrażenie, żebyś złożył papiery do większej liczby szkół z Ligi. Żenada. Dostanie za to dofinansowanie, wiesz o tym, prawda? Poza tym chce się przechwalać przed swoimi koleżkami z edukacyjnej piaskownicy. Bez obrazy – zwracam się do pana Bernarda. Wzrusza ramionami i bezskutecznie stara się ukryć fakt, że łypie na moje cycki. Wszyscy, którzy to widzą, nie zapomną swojego obrzydzenia. – Naprawdę – zwracam się z powrotem do Jacka – trzeba było pomyśleć, zanim do niego polazłeś. Mam gdzieś, że nie o to prosiłeś. Zdjęcia zawisły na ścianach. Za twoim pośrednictwem. Nie wybaczę ci tego. Nigdy.

W tej chwili do klasy wkracza Wren z naręczem dokumentów. Rzucił je na ławkę i zaczyna z panem Bernardem rozmowę o założeniu klubu robotyki. Następnie zauważa mnie. Jego twarz jest pięć razy bardziej ekspresyjna niż Jacka. Otwiera usta, a dolna szczęka wisi mu jak drzwi. Odchrząkuje i szybko poprawia okulary.

– Isis... Cześć...

– Cześć, szefuńciu! – Wstaję z krzesła i go ściskam. Wydaje odgłos duszonego kota i znów poprawia okulary, tym razem tak gwałtownie, że mu spadają. Podnoszę je z podłogi.

– Żyjesz?

– T-tak... Wyglądasz... Wyglądasz... Wyglądasz...

– Ładnie...? – podsuwam.

– Naprawdę... naprawdę ładnie – wzdycha. – Słowo „ładnie” nie wystarcza.

Z jakiegoś powodu komplement padający z ust Wrena znaczy o wiele więcej niż dziesiątki innych spojrzeń i gwizdów.

– Będziesz tak stał i się ślinił? – cedzi Jack. – Może skończysz załatwiać swoje sprawy? Na pewno są inne kluby, o interesy których trzeba się zatroszczyć...

Wren robi się czerwony i spogląda na Jacka jak zbity pies.

– Racja. Pójdę już. Na razie, Isis!

– Pa, pa! – Macham mu.

– A panu – Jack kontynuuje, tym razem jadowicie zwracając się do pana

Bernarda – zdaje się nie płacą za wgapienie się w nastoletnie dziewczęta. Płacą panu za nauczanie. Więc może niech pan zacznie.

Bernard podskakuje na krześle, chrząka, a potem się podrywa i idzie do tablicy, na której zaczyna pisać równania. Nożownik parska śmiechem. Od drzwi salutuję Jackowi.

– Miłego dnia, dupku.

– Postaraj się nie paść ofiarą molestowania – rzuca.

– Wielkie nieba! – Wachluję się dłonią. – Czy to możliwe? Lodowy Książę z East Summit High naprawdę przejmuje się moim losem?

– Idź sobie.

– To jedyne twoje polecenie, jakie spełnię. – Mrugam mu i wychodzę. Nie mam wątpliwości, że wygrałam tę bitwę. W porze przerwy śniadaniowej już wszyscy mówią o tym, jak zdzirowato wyglądam, nie o przedziałku w moim tłustym tyłku. Może to niewielki postęp, ale na więcej na razie mnie nie stać. Otaczające mnie szeptki to zapowiedź zwycięstwa nad Jackiem Hunterem.

Giń, maro!

Rozlega się dzwonek, a cały czerwony pan Bernard bierze się za prowadzenie lekcji. Wyglądam przez okno i koncentruję gniew na głupio zwisającej gałęzi, zamiast na żywej osobie. Jestem przekonany, że gdybym go wyładował na ludziach, posikaliby się w majtki. Nie umiem się skupić na ani jednym słowie pana Bernarda, nie tylko dlatego, że uważam go za żalosego, niegodnego szacunku oblecha. Myśli mi się rozproszyły. A ja nigdy nie jestem rozproszony, jeśli tego nie chcę. Dobrze mi idzie koncentracja na lekcjach, między innymi dlatego mam dobre oceny. Teraz nie mogę nawet myśleć o nauce. Słyszę tylko krew dudniącą mi w uszach.

Bez przerwy odtwarzam w głowie ten moment, kiedy do mnie mrugnęła. Pewność siebie aż z niej buchała. Na co dzień chodziła w zbyt luźnych ciuchach, żeby móc dostrzec, jaka jest wysoka i smukła. Jak nieskazitelny ma dekolt. W kucyku wyglądała zupełnie inaczej. W tych ciuchach też. To nie Isis, którą poznałem. Stała się kimś innym.

Kimś pięknym.

I sądząc po rozmaślonych spojrzeniach otaczających mnie osobników płci męskiej, nie tylko ja to zauważyłem.

Parskam i mocno wbijam ołówek w kartkę. Wiedziałem, że lubi zwracać na siebie uwagę, ale nie do tego stopnia. Nie tak... ekstrawagancko. Nie mam wątpliwości, że zrobiła to po to, żeby zrównoważyć efekt wywołany przez zdjęcia, które ten kretyn Evans rozkleił po całej szkole. Posunął się za daleko i zrobiła, co mogła, żeby odwrócić od nich uwagę. Trochę mi jej nawet żal. I jestem wściekły z powodu tego, co Evans zrobił. To jest nasza wojna, Isis i moja, ale nie, on musiał wpakować nos w nie swoje sprawy, żeby mnie przekupić.

I udało mu się.

Lekcja się wlecze bez końca. Potem patrzę, jak na korytarzach ludzie zbierają podarte resztki zdjęć Isis i się śmieją, szydzą i komentują. Widzę, jak Avery opiera się o szafkę i pokazuje swojemu gangowi strzępy zdjęcia, śmiejąc się piskliwie.

– Niesamowite. Wiedziałam, że to suka, ale nie sądziłam, że była wielorybem. Myślicie, że jest cała w rozstępach? Jaki procent jej ciała to obwisła skóra? – zaśmiewa się. Stoi tyłem do mnie, więc nie wie, że się zbliżam, ale jej wyznawczynie widzą. Cofają się, ale zanim Avery zdąży się do mnie odwrócić, wrywam jej zdjęcie z rąk. Wytrzeszczonymi oczami patrzy, jak drę je na strzępy.

– Dość twoich wrednych plotek.

– Pilnuj swoich spraw – syczy Avery. Udaje odważną, ale widzę, jak pod futrzanym kołnierzem kurtki trzęsą jej się ramiona. Nadal się mnie boi.

– To urocze – cedzę – że według ciebie to nie jest moja sprawa.

– Czemu jej bronisz? Kiedy zacząłeś się przejmować Nową?

Nachylam się i szepczę jej do ucha, zanim zdoła się odsunąć.

– A kiedy ty przestałeś się przejmować Sophią? – Avery zamiera i zaczyna płytko oddychać, a ja się prostuję i zwracam się do jej stadka: – Zróbcie coś dla mnie, dobrze? Przestańcie plotkować o Isis, Avery nie chce, żebyście to robiły. Prawda? – Unoszę brew, a ona kiwa głową. Raz. – Same widzicie.

Jej przyjaciółki nerwowo przestępują z nogi na nogę. Nie widzą wyrazu moich oczu.

Odchodzę, ale nie mogę się powstrzymać przed jeszcze jednym komentarzem.

– Postarajcie się zachowywać jak damy.

Cała szkoła śmieje się ze starego zdjęcia Isis, jakby istniało tylko po to, żeby ich rozbawić. Ofiara podana na srebrnej tacy. Widzą w nim jedynie żart. Ja widzę zrozpaczoną, przestraszoną i nieszczęsną dziewczynę ze złamanym sercem. Dziewczynę, która stopniowo, dzień po dniu przekonuje się, że nikt jej nigdy nie pokocha, że niemożliwe jest obdarzenie jej miłością.

Dotykam palcami ust. Pocałowałem ją, żeby ją zniechęcić do zwracania mi głowy. Potraktowałem jej pierwszy pocałunek jak broń, której można użyć, uczyniłem z niego element strategii. Dla mnie nie miał żadnego znaczenia. Dla niej, która straciła nadzieję, że ktoś ją kiedyś pocałuje...

– Rany, tak kiedyś wyglądała?! – Mijam kilku chłopaków stojących przy źródle z wodą. Pochylają się nad jej zdjęciem. Rozmawiają zbyt głośno, żebym mógł to zignorować.

– Nie ma mowy, to musi być photoshop. Widzieliście ją dzisiaj. Nie wierzę, że to ta sama osoba.

Rudy chłopak wykonuje obsceniczne gesty na wysokości krocza i oznajmia:

– Wydymałbym ją tak, że by nie wstała.

Nie mam czasu nad sobą zapanować, w niecałe dwie sekundy później jest przyszpilony do wodopoju.

– Powtórz – warczę.

– Ale c-co? – jąka się rudy. – Daj spokój, puść mnie!

– Powtórz, co powiedziałeś! – Nie odpuszczam.

– Ej! – Wkracza jeden z jego kumpli. – Puść go!

– Daj spokój – syczy drugi. – To Jack Hunter. Naprawdę chcesz oberwać?

Wyluzuj.

Patrzę znów na rudego.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że wygadujesz jakieś świństwa na tę dziewczynę, to... Zapytaj kolegów z drużyny futbolowej, czemu mnie unikają. Oświecą cię.

Popycham go mocno na kubek ze śmieciami, a on się chwieje i musi zanurzyć rękę w syfie, żeby utrzymać równowagę. Jego przyjaciele patrzą na mnie złowrogo, ale ja się zmywam, zanim się pozbierają na tyle, żeby pomścić kumpla.

Rozdział 8

3 lata, 16 tygodni i 1 dzień

Jadę po mamę odebrać ją z terapii. Czekam w samochodzie przed ceglanym budynkiem i patrzę, jak popołudniowe słońce zręcznie tańczy po chodniku i wśród gałęzi drzew. Northplains to spokojne miasteczko pełne... w zasadzie niczego ciekawego, ale jesienią jest tu uroczo. Ziemię wyścielają pomarańczowe i czerwone liście, z kominów ulatują rozmarzone kłęby dymu, a niebo ma kolor lodowatego błękitu, jakby składało się z zimnej porcelany. Naciągam szalik aż na nos. Jest tu o wiele chłodniej niż na Florydzie, ale choćbym miała zamarznąć na śmierć, przynajmniej jestem z dala od Bezimiennego.

Zamyślam się i lekko uderzam głową o zagłówek. Bezimienny. Od jakiegoś czasu o nim nie myślałam. Oczywiście zawsze jest w mojej głowie, jak wielki ślad po rozmazanej kupie, ale ponieważ jestem zajęta wojną z Jackiem i mamą, nie myślałam o nim od tygodni.

No nie, oczywiście to kłamstwo. Zawsze o nim myślę, kiedy przeglądam się w lustrze albo widzę to coś na nadgarstku. Nie ma przed nim ucieczki.

To z jego powodu wyglądam tak, jak wyglądam i przypominam sobie o tym codziennie. Jestem tym, kim jestem przez niego i w pewnym sensie nienawidzę tej myśli. Jakoś tam nienawidzę każdego aspektu siebie, mającego związek z nim. Może któregoś dnia pozbędę się go na dobre. Mam przynajmniej taką nadzieję. Wiem jednak, że nadziei nie ma się co trzymać zbyt mocno, bo można się pokaleczyć.

Mama trochę się ociąga z wyjściem, więc biorę kawę i idę w stronę budynku. Wzdłuż korytarza ciągną się drzwi do eleganckich gabinetów, a w lobby witają mnie sztuczne rośliny i jeszcze sztuczniejsze dziewczyny szczerzące się z okładek magazynów rozłożonych w poczekalni. Recepcjonistka ma siwe włosy i smutny uśmiech. Obsługuje jakąś płomiennie rudą dziewczynę.

Takich włosów nie ma nikt z wyjątkiem Avery Brighton.

– Cześć, Avery! – macham do niej.

Dziewczyna zamiera, powoli podnosi ramiona i odwraca się nieśpiesznie. Avery we własnej osobie, pałające złością zielone oczy i zmarszczony nos. Mówi coś do recepcjonistki i podchodzi do mnie.

– Co ty tu do cholery robisz? – pyta. Zupełnie niegroźnie

– Moja mama tu przychodzi. W pewnej sprawie. A ty? Co tu robisz? Albo, cholera, może to niezręczne pytanie?

– Odrobinę – cedzi wściekle Avery.

– Też przyszłaś do kogoś, co nie? Zresztą, to chyba jasne. Avery Brighton nie potrzebuje terapii.

– Oczywiście – odpowiada szybko. – Przyjechałam odebrać... kuzyna.

– Przepraszam? – woła recepcjonistka. – Recepta dla pani gotowa. Umówić panią na kolejną wizytę na przyszły tydzień?

Avery się krzywi, ale szybko wraca do siebie, odwraca się do recepcjonistki i bierze receptę. Następnie wraca do mnie i teraz jest już bardzo wściekła.

– Nie waż się nikomu powiedzieć.

– Nie powiem. Spoko.

– Nie jest spoko – protestuje piskliwie. – Nie rozumiesz? Jest wprost cholernie przeciwnie do spoko, dlatego tu jestem. I nie waż się nikomu mówić.

– Słuchaj, naprawdę, luz. Nie mam wrogich zamiarów.

– Miałabyś, gdybyś wiedziała o Kayli.

Marszczę czoło.

– Jak to? Co z nią?

Avery się odpręża.

– Nieważne.

– Czekał, nie życzę ci źle, ale bardzo lubię Kaylę. Co miałaś na myśli?

Odrzuca do tyłu ogniste włosy.

– Pamiętasz, jak powiedziałam, że już nigdy cię do siebie nie zaproszę?

– Wyraźnie.

– Jednak cię zapraszam. Mam nadzieję, że się odwzajemnisz przysługą i nie będziesz mówić o tym, co tu widziałaś.

– Spoko... – zgadzam się powoli. Avery mruży oczy.

– Kręgielnia Grand 9, w centrum Columbus. Sobota w południe. Przyjdź.

– Ale o co chodzi z Kaylą?

Avery parska.

– Zobaczysz, jak przyjdiesz. Więc bądź.

– Tak? No dobrze. Chyba...

Mija mnie i znika, zanim się ogarniam na tyle, żeby spytać o coś jeszcze.

– Isis! – Za moimi plecami pojawia się mama. Przytula mnie, a potem odwraca do siebie. – Przepraszam, że czekałaś, skarbie, ale sesja się przeciągnęła.

Ma zaczerwienione oczy, a w ręce ścisną pęk chusteczek. Czyli było ciężko. Trudno i smutno.

– Nie szkodzi – uśmiecham się. – Chodź. W piekarniku rośnie ciasto na pizzę.

– Domowa pizza! – śmieje się i przytula mnie mocno, a potem zwraca się do recepcjonistki: – Mam najlepszą córkę na świecie!

Po powrocie do domu rozwałkowuję ciasto i układam na nim grzyby, oliwki, mozzarellę i piórka cebuli. Następnie doprawiam solą czosnkową i pakuję do

piekarnika. Wkrótce cały dom wypełnia serowo-pikantny zapach. Mama jest na górze i drzemie, gdy rozlega się dzwonek telefonu.

– Halo?

– Isis! Jak tam, kochanie?

– Cześć tato. Łał, przepraszam, chyba dawno nie dzwoniłam? Ale ciągle się coś dzieje.

– Tak, wiem od mamy. Zdaje się, że masz znajomych i chodzisz na imprezy. Byłbym z ciebie dumny, gdybym się tak strasznie nie martwił.

– Nic mi nie jest, tato – śmieję się. – Naprawdę. Jestem mądra i ostrożna.

– Żadnych chłopaków na horyzoncie?

– Nigdy!

– Świetnie. Nie śpiesz się z tym. Musisz się teraz skupić na maturze i college'u.

Od razu przed oczami objawia mi się niezdolnie przystojna twarz Jacka i cicho parskam.

– Nie martw się, tato. Jestem skupiona.

Gdy się jest w ostatniej klasie liceum, ludzie pytają tylko o dwie sprawy: do jakich college'ów zdajesz i czy masz już chłopaka. Cała reszta zdaje się nie mieć żadnego znaczenia. Nikt nie spyta o stan psychiczny (coraz gorszy w obliczu wszystkich prac domowych i esejów do napisania), co robisz, żeby się rozerwać (gapię się w sufit i zdieram lakier z paznokci), ani czy w ogóle chcesz iść na studia (nie, nie chcę, mam dość szkoły, ale zrobię to, bo wszyscy mnie zmuszają, a poza tym pakowanie hamburgerów w McDonalddie za siedem dolarów za godzinę nie brzmi zachęcająco). Jak na razie złożyłam papiery do kilku college'ów, ale chcę iść tylko na Redfield University. To niedaleko, więc będę mogła zająć się mamą, gdyby miała kolejny kryzys albo jeśli po prostu będzie mnie potrzebowała. Nie mogę wyjechać za daleko, w każdym razie dopóki ma koszmary i dręczą ją wspomnienia. Poza tym jestem pewna, że jak nie będę gotować, zapomni o jedzeniu. A ja nie dam jej się zagłodzić.

Tak naprawdę chciałabym wziąć pieniądze, które zarabiam w wakacje i polecieć do Europy, jeść dobre rzeczy, patrzeć na ludzi i pojeździć rowerem. To by było niesamowite. I niesamowicie przerażające być w takich warunkach samej. Ale dałabym radę. Wyzwania młodości są super. W każdym razie tak słyszałam.

Ale wiem, że to gówno prawda. Wcale nie jest fajnie.

To boli i obecnie chciałabym pojechać gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna i zacząć od nowa. Ale nie mogę. Bo mam mamę. A ją kocham bardziej niż wolność. Muszę ją chronić i pomóc jej dojść do siebie.

Pójdę więc do college'u, bo tego oczekują rodzice. Zrobię dyplom z kupologii czy czegoś tam. Będę córką, o jakiej marzą, dopóki się nie dowiem, kim chcę być.

Kręgielnia Grand 9 w Columbus jest super. Przy wejściu wita wielki neon z dziewiątką, a na nim tańczy elektroniczny niedźwiedź. Tandeta, a czuję, że w środku nie będzie lepiej, więc już kocham to miejsce. Wchodzę i od drzwi uderza mnie zapach kręgielni: wosk, spocone buty i rozpaćkane frytki. Facet z nadwagą wskazuje kciukami ostatnią alejkę i podaje mi parę butów w rozmiarze 37,5.

– Dziękuję. Skąd pan znał mój rozmiar?

– Laluś mi powiedział – burczy. Laluś? Wzdłuż lady zastawionej kubeczkami po napojach, kuflami po piwie korzennym i pustymi pojemnikami po nachosach idę w kierunku ostatniej alejki. Wren oddaje właśnie perfekcyjnie wymierzony rzut, a jego kula zmiata wszystkie kręgle. Kayla uśmiecha się i przybija mu piątkę. Avery z nachmurzoną miną pije coś z kubeczka, a ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu i jeszcze większemu obrzydzeniu, dostrzegam, że obok siedzi Jack Hunter i wygląda nieznośnie doskonale.

– Widzę, że jesteśmy w komplecie! – wołam radośnie, padam na ławkę obok niego i rozwiązuję buty. Potem podnoszę wzrok, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. – Które z was wywołało demona i zapomniało mnie uprzedzić?

Avery wywraca oczami, wyjmuje butelkę z, jak sądzę, alkoholem i dolewa do swojego napoju.

– Miło cię widzieć w innym stroju niż ciuchy prostytutki – odzywa się Jack.

– A o tym coś wiesz, prawda? – Uśmiecham się i wybieram jaskraworóżową kulę. – No więc, kto...

– Jestem tu, ponieważ zostałem zaproszony – wchodzi mi w słowo. – I to ja zgadłem, jaki nosisz rozmiar buta.

– Celnie.

– Twoje wymiary to 96-71-91 i masz metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, więc oszacowanie rozmiaru stopy nie było wielkim wyczynem.

– Znasz moje wymiary! – Klaszczę z wielkim podnieceniem. – Ale skąd? Czekał, niech pomyślę... Gapiłeś się na mnie!

– Mam dar – odpowiada oschle. – Obserwacji.

– I wścibskości.

– Tamtego dnia po raz pierwszy włożyłaś na tyle obcisłe ciuchy, że mogłem to poprawnie ocenić.

– Chętnie bym ci dała za to w twarz, ale trzymam ważącą cztery kilo kulę do kręgli i obawiam się, że to by się nazywało morderstwo.

On wydaje z siebie ni to śmiech, ni parsknięcie, a potem wstaje i nalewa sobie napój.

Odwracam się do Avery.

– I jak? Kto wygrywa?

– Nie umiesz czytać? – wzdycha i wskazuje na tablicę. Jack ma dobre pięćdziesiąt punktów przewagi nad wszystkimi, a to dopiero piąta runda. Jego

słupek naznaczony jest samymi stuprocentowymi strąceniami.

– Patrzcie na te ikсы! Wygląda jak szyld baru ze striptizem! Można by pomyśleć, że coś się za tym kryje – rozważam głośno. Bardzo głośno.

– Może na przykład to, że wygrywam? – Jack unosi brwi.

– Albo że jesteś striptizerem w barze gejowskim – ogłaszam.

– Robiłem striptiz raz w życiu, dla kobiety, dziękuję za uwagę – syczy.

– Tak? Opowiedz – odzywa się Avery, nagle czymś zainteresowana.

– Już lecę, zakłamana żmijo. Nie wątpię, że to wykorzystasz, żeby mnie szantażować.

– Za dobrze mnie znasz – zgadza się Avery. Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła tak cicho. Obecność Jacka budzi w niej pokorę, którą jestem zszokowana. Avery nigdy nie mówi cicho, tak, jak Szatan nigdy nie jest porządnym gościem. Jack wstaje, bo to jego kolej, a do mnie rozkołysanym krokiem podchodzi Kayla.

– Proszę, proszę, Kayla! Wesoła jak szczeniaczek, śliczna jak obrazek. Nie szczeniaczka. Szczeniaczki czasem wyglądają, jakby ktoś na nie nadepnął, a ty wręcz przeciwnie i o mój Boże, Wren, masz szkła kontaktowe?

Wren odchrząkuje i poprawia kołnierzyk, a jego wzrok wbija się w tył głowy Jacka i wypala tam dziurę.

– T-tak. Przyszedłem prosto z wolontariatu w Armii Zbawienia, więc nie miałem czasu ich wyjąć. Miło cię widzieć. Myśleliśmy, że nie przyjdiesz.

– Ach, ja zawsze przychodzę! Zwłaszcza, jak nie jestem mile widziana.

Kayla marszczy czoło.

– To nieprawda. Avery, chciałaś, żeby przyszła, prawda?

Za plecami Kayli kręcę palcem przy skroni, żeby zasygnalizować, jaką totalną bzdurą są jej słowa.

– Tak. Jasne. Nieważne. Dostałeś propozycję od klubu francuskiego Wren?

– Oczywiście. Już ją przejrzałem. Miło, że zaprosiliście mnie na kręgle, ale obawiam się, że nie będę mógł się na to zgodzić. Wydawanie takiej sumy na jeden klub byłoby śmieszne.

– Śmieszne? Oj skarbie – ćwierka Avery i jedzie palcem w górę jego klatki piersiowej. – Wiesz, że dobrze je wykorzystam.

Wren głośno przełyka ślinę.

– Mimo wszystko. Nie, przepraszam, ale nie mogę tego podpisać. Za tę sumę można by założyć kilka nowych klubów.

– Ale jakoś nikt ich nie zakłada! – warczy Avery. – Pieniądze leżą i czekają. Czemu nie miałbyś dać ich mnie? Kayla, pomóż.

Kayla zerka na nią nerwowo, ale nie patrzy Wrenowi w oczy.

– Przecież to tylko trochę pieniędzy, prawda? Avery naprawdę ich potrzebuje.

Wren robi się cały czerwony. Znów chrząka i pociera szyję, Avery patrzy na

niego bardzo z siebie zadowolona, a Kayla z poczuciem winy wpatruje się w swoje ręce. Wren chwiejnym krokiem udaje się do dystrybutora napojów, żeby czymś uśmierzyć drapanie w gardle.

– Avery? – zagajam śpiewnie. – Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Nie.

– Czemu zaprosiłaś Jacka? On najwyraźniej nie lubi ani jednej osoby ze zgromadzonych tutaj.

– Kayla powiedziała, że nie przyjdzie, jeśli go nie zaproszę – odpowiada. – A musiała przyjść, bo inaczej nigdy nie zmuszę Wrena do... – Nachylam się, a ona marszczy nos. – Twoje psychotyczne mielenie jęzorem jest zaraźliwe. Zjeżdżaj stąd!

Wycofuję się. Najwyraźniej ma jakiś niecny plan. Jack miał świętą rację, nazywając ją zmiją. Aktualnie strąca wszystkie kręgle. Wraca na miejsce nieznośnie z siebie zadowolony, więc w sekundę przed tym, jak usiądzie, podkładam mu pod tyłek umazanego w serze nachosa. Uśmiecha się złośliwie, więc odpowiadam takim samym uśmiechem.

– Dobra robota – stwierdzam.

– Nie musisz mówić. Wszystko, co robię, robię dobrze.

Wtedy udaję, że wsadzam sobie palce do gardła, ale Kayla, dla oczu której ten ruch był przeznaczony, tylko chichocze i siada obok niego.

– No więc, Jack! Jesteś też dobry w innych sportach? Na przykład w baseballu? Albo koszykówce? – pyta i szeroko otwiera oczy łani.

– Grałem kiedyś w kosza.

– Łał! To naprawdę super!

– Nienawidziłem tego.

– Aha... – szepcze Kayla.

Teraz moja kolej. Przewracam wszystkie kręgle. Avery majstruje coś na komputerze, żebym mogła nadgonić, więc zaliczam kilka kolejek z rzędu. I strącam wszystkie. Wszystkie. Wszystkie. Wszystkie. Wren wiwatuje, a ja słyszę, jak z każdym moim rzutem Jack odpowiada na niewinne pytania Kayli z coraz większą irytacją. Gdy się w końcu odwracam, żeby wrócić na swoje miejsce, okazuje się, że Kayli nie ma, a z pobliskiej toalety dochodzi zawroźnienie. Wygląda na to, że Avery jest pod wrażeniem, o ile oczywiście na twarzy porcelanowej lali może malować się tak złożona emocja, a Jack wbija pobielające kostki palców w kolana.

Wren przybija mi piątkę.

– Jesteś genialna!

– Dzięki!

– Nigdy... naprawdę, nigdy nie widziałem czegoś takiego. Zdradź mi tajemnicę!

Przede wszystkim przestań się zachowywać jak wielki ćwok.

– No...

Chwileczkę. Właściwie dlaczego Kayla tak się przyczepiła do Jacka? Wren jest o wiele bardziej uroczy i znacznie, znacznie miłszy.

– Ekhm, Isis...? – Wren po raz kolejny chrząka i znów robi się czerwony jak burak.

Mrugam.

– Co? Czyżbym mówiła na głos? O rany...

Wren się śmieje, a Avery parska. Jack się podrywa, łapie kulę i ze świeżą werwą idzie oddać rzut.

– Wsadziłeś sobie w tyłek kolejny kij? Nie wiedziałam, że jeszcze jakiś się zmieści, masz taki dupościsk! – wołam.

– Zamknij się – rzuca. Odwracam się do Wrena, który trochę pobladł.

– Wszystko w porządku?

Wren kiwa głową.

– Po prostu... dawno już się nie widziałem z Jackiem w takiej sytuacji. Nie wiedziałem, że przyjdzie. W przeciwnym razie bym...

– Tak, ja też. Ale już za późno, co? Nie mamy wyjścia, tylko mu nałoić i wysłać z powrotem do piekła, skąd przybył.

– Jasne. Z dobrej partii kręgli nigdy się nie wycofuję.

– Super. Czyli ty i ja przeciwko legionom ciemności. Zajrzę do Kayli. Zaraz wracam.

W damskiej toalecie pachnie lakierem do włosów, mydłem do rąk i rozpaczą wywołaną przez chłopaka. Idę tym tropem i docieram do lustra, przy którym Kayla poprawia makijaż.

– Wszystko w porządku? Przynajmniej w miarę? Bo wiem, że nie całkiem. Ponieważ ten dupek doprowadził cię do łez po raz miliardowy.

Dolna warga zaczyna jej drżeć, opuszcza eyeliner i pada mi w ramiona.

– Powiedział mi... Powiedział, że lepiej by do mnie pasował Wren. Wcisnął mnie swojemu byłemu najlepszemu przyjacielowi!

Ona chlipie mi gdzieś w okolicach pachy, a ja unoszę brwi. Hmm. Świat przechodzi chyba jakieś przebiegunowanie czy inną cholerę, bo Jack wpadł na dobry pomysł! Ale nie mogę jej tego powiedzieć.

– Czy ty... w ogóle lubisz Wrena? – pytam łagodnie.

– To kujon! – zawodzi. – Ćwok z samorządu uczniowskiego, który wolny czas spędza z bezdomnymi! A jeśli chodzi o wygląd, nawet nie startuje w lidze Jacka!

– No tak, odwieczny dylemat, wygląd czy wnętrze. Nie można mieć wszystkiego! Nikt nie jest idealny. Wszyscy jesteśmy płytcy, nawet, jeśli się do tego nie przyznajemy! Miasta upadną, a wszechświat wybuchnie, gdy osiągnie stan termicznej równowagi!

– C-co? – jąka się zdziwiona i siąpi nosem.
– Chodzi mi o to, że Wren nie jest wcale taki zły.
– Aha. Bo użyłaś bardzo wielu słów.
– Słuchaj, popraw makijaż, wrócisz do nas i będziemy się dobrze bawić. Nie daj temu gburowi w za małych butach, od których sinieją mu paznokcie i maże się jak baba, popsuć sobie humoru. Jesteś piękna...

W jej oczach płonie ogień.

– ...dobrze, nie jesteś piękna! Jesteś zabawna! I obyta w świecie! Masz wszystkie dobre cechy z listy dobrych cech, no wiesz. Albo Jack zmądrzeje, albo znajdziesz sobie kogoś innego. – Z jej ust wydostaje się zapowiedź kolejnego jęku, więc szybko się wycofuję. – Nie znajdziesz nikogo innego! Słuchaj, ale jeśli on ci się aż tak podoba, czemu go nie zaprosisz na randkę?

– Myślisz, że nie zapraszałam? W tym roku już piętnaście razy!

– Jak?

– Na fejsie.

Uderzam się otwartą dłonią w czoło.

– Zapytaj naprawdę, podejdź i użyj słów.

– A jak odmówi?

– Wtedy powiesz: „Jezu, jesteś naprawdę ładny i w ogóle, ale chciałabym cię poinformować, że jeśli nie przyjmiesz mojego zaproszenia, moja przyjaciółka Isis przyjdzie tu i robi jedną ze swoich walniętych rzeczy”. A tego nie chce, uwierz.

– Od wieków robisz mu swoje walnięte rzeczy.

– To prawda.

– Ale w porządku, dam radę. Masz rację, przede wszystkim poprawię makijaż i wrócę do was.

Odwraca się do lustra i naprawia zjawiskowo rozmazaną twarz gwiazdy filmowej, a ja doznaję olśnienia, że czas na interwencję. Wychodzę z toalety, wypijam pół kubka napoju gazowanego i padam na siedzenie obok Jacka.

– Kayla często się gapi na twój tyłek – oświadczam.

– Wiem – przyznaje mi rację. I już. Jedno słowo. „Wiem”. Cała się gotuję z oburzenia, ale zanim mam szansę wybuchnąć i obsypać go odłamkami, dodaje: – To się często zdarza.

Dociera do mnie, jaki jest znużony, doświadczony i dojrzały, postanawiam więc zadać mu jakieś całkiem niewinne i nieosobiste pytanie.

– Uprawiałaś kiedyś seks? – wypalam.

Zamyka oczy.

Nagle zaczynam się wycofywać, do chwili, zanim zadałam to pytanie, zanim dowiedziałam się, co oznacza słowo seks, a na wszelki wypadek także do dnia, zanim przyszłam na świat.

– Jezu, łął. Nie musisz odpowiadać. Spytałam tak po prostu. Bo... No... Jest

ankieta! Na... wychowaniu seksualnym! Nauczycielka kazała porozmawiać z totalnym dziwakiem, który nigdy nie uprawiał seksu, bo jest ćwokiem, a potem napisać z tego raport na dziesięć stron. Na poniedziałek. Właśnie!

– Prywatne sprawy trzymam dla siebie – wzdycha Jack. Kayla wychodzi z łazienki i trafia akurat na swoją kolejkę, więc oddaje rzut, posyłając przy tym Jackowi cielece spojrzenie.

– A więc dlatego spytałaś!

Patrzy na mnie z wściekłością. Albo z dziewięcioma wściekłościami, co najmniej!

– Przepraszam. Jesteś mężczyzną do towarzystwa. Oczywiście, że uprawiałaś seks. I jak, było dziwnie? To jest dziwne? W sensie, że seks. – Jack znów wzdycha, a ja naciskam: – No bo wiesz! Myślałam, o tym. – Ściszam głos. – Seks. Seeeeeeeks. Kurczę, czemu szepczę? Seks! Seks!

Kayla upuszcza kulę. Wren wije się, jakby coś go bolało. Avery udaje, że nas nie zna i mruczy pod nosem:

– Świry.

– Słyszałam to! – Wskazuję na nią palcem.

Parska i dolewa do napoju jeszcze więcej alkoholu. Potrząsam pięścią w jej kierunku i odwracam się z powrotem do Jacka.

– Za nic nie mogę sobie przypomnieć, o czym mieliśmy rozmawiać. Ale nieważne. Na zawsze zapamiętam tę wspólnie spędzoną chwilę i... O mój Boże, już pamiętam, ty zbrojeńcu!

– Ja? To ty wrzeszczałaś „seks”! – syczy.

– Ale to ty się urodziłaś, więc zdaje mi się, że to jest jednak źródło problemu.

– Źródłem problemu jesteś ty. Bo jesteś cholernie nienormalna.

– Nie w tym rzecz! – Rozchlapuję napój na w zasadzie wszystko wokół. – Chodzi o to, czy ty dostrzegasz tę śliczną laseczkę, o tam, która jest moją, poniekąd, przyjaciółką? Naprawdę jej się podobasz, a ona jest, do ciężkiej cholery, najładniejszą i najmilszą dziewczyną w tej szkole. A ponieważ ja z trudem cię znoszę, to jeśli złamiesz jej niewinne, dziewicze serce, wyciągnę ci trzustkę przez nos i umieszczę z powrotem za pośrednictwem doodbytniczej kroplówki, czy to jasne?

Otwiera usta, ale tym razem nie wydostaje się z nich żaden złośliwy komentarz. Siada wygodniej i krzyżuje ramiona na piersi.

– A gdybym ci zapłaciła? – szepczę. Pachnie przyprawami, mydłem i miodem, znowu, a mnie to nie pomaga, a nawet mam lekkie mdłości.

– Za co mi zapłacisz?

– Żebyś się z nią umówił. Mam oszczędności, mogę...

Wybuch śmiechem, który ma mi przekazać, że mnie na niego nie stać.

– Dwie stowy. Za to, że weźmiesz ją na kolację i będziesz dla niej tak rozkosznie miły jak dla Alice.

Jest zły, a jego lodowate spojrzenie wymraża mi wnętrzności. Ruchem pełnym frustracji odgarnia włosy, a z wnętrza jego gardła dobiega warkot.

– Dobrze. Umówię się z nią za dwie stowy.

Syczę cicho, ale triumfalnie.

– Gdzie?

– Sobota, Red Fern, o dziewiętnastej. To tajska knajpa w centrum. Mam gdzieś, jeśli ma alergię. To jedynie miejsce, gdzie mnie nie skojarzą z pracą.

– Super. Ja oczywiście pójdę z wami.

– Słucham?! – warczy.

– Żeby się upewnić, że jesteś miły – uśmiecham się. – Chcę wiedzieć, że dobrze zainwestowałam oszczędności. Nawet nie wiesz, jak jej tego potrzeba.

Jack i ja prowadzimy w grze i w dziesiątej rundzie mamy remis. On dwa razy z rzędu strąca wszystkie kręgle w pierwszym rzucie. Ja muszę to zrobić trzy razy, inaczej nie wygram. Trzymam mocno kulę i oddycham głęboko, usiłuję wyciszyć w głowie głośnie wiwaty Kayli i stonowane słowa zachęty Wrena. Nawet Avery warczy do mnie, żebym tego nie schrzaśniała. Zaliczam drugiego strike'a i w ostatnim, decydującym rzucie wpatruję się w tor, jakby był żywym wężem. Nie ugryź mnie, torze. No dawaj, jesteśmy przyjaciółmi, nawet, jeśli ty jesteś gadem, a ja ssakiem. Przyjaźń nie zna ograniczeń rasowych!

Następnie ślizgam się, kula wpada do kanału i radośnie znika. Gra między mną a Jackiem jest nierozstrzygnięta. Wren i Kayla klepią mnie po plecach. Avery odrzuca głowę, a potem, przy zakładaniu butów, wypija kolejnego drinka.

– Powinnaś poczekać, aż wyparujesz – mówię.

– Pilnuj swojego nosa – odwarkuje.

Między nami wyrasta głowa Kayli.

– Nie martw się, odwiozę ją.

– Jak mnie wcześniej nie doprowadzisz do szału – wzdycha Avery.

Jack i ja zmieniamy buty najdłużej. On wzrusza ramionami.

– Żadne z nas nie wygrało, ale ja mogłem. Oboje wiemy, że miałem taktykę i grałem równiej. Twój styl gry to jedna, wielka, chaotyczna kupa.

– Tak, pozostawia wiele do życzenia. Ale przynajmniej nie grałam z nachosem przyklejonym do tyłka.

Parskam śmiechem, odwracam się na pięcie i zostawiam Jacka desperacko obmacującego tył spodni. Słyszę przekleństwo i czuję jak coś ostrego uderza mnie w głowę.

Facet zza lady burczy:

– Rzucił w ciebie chipsem.

– Jest zły, że wygrałam, proszę pana – tłumaczę mu radośnie. – Poza tym

zrozumiał, że będę wygrywać dalej. Jak to mam w zwyczaju.

Rozdział 9

3 lata, 17 tygodni, 4 dni

Jack Hunter idzie w moją stronę. Jest bez koszulki i to po części wspaniałe, a po części grozi zawałem serca. Coś mi bulgocze w brzuchu, jakbym miała wymiotować. Uśmiecha się, ale nie tak jak do Alice. Uśmiecha się naprawdę – miękkie, złociste wygięcie ust – i przez to wydaje się jeszcze bardziej idiotycznie przystojny.

– Jack – mówię i czuję, że zaciska mi się gardło. – Jesteś na wpół nagi!

Z jakiegoś powodu mam na sobie głęboko wycięty gorset, ale nie pamiętam, żebym go wkładała. Jest jak wyjęty z tych tanich romansidel, na których przeglądaniu przyłapałam Jacka w bibliotece.

Jack nachyla się do mnie, owiewa wonią miodowo-piżmowej wody po goleniu. Jego jasnoniebieskie oczy przeszywają mnie na wskroś, kiedy zbliża się do mojej szyi. Usta ma miękkie i ciepłe, gdy mówi:

– Pomożesz mi z drugą połową?

Potem nagle robi się czerwono i wszędzie są róże, a recepcjonistka z agencji towarzyskiej, do której dzwoniłam, siedzi za biurkiem i patrzy na nas, ale wygląda jak Kayla, która marszczy brwi i widząc, jak Jack całuje mnie w szyję, osuwa się martwa na ziemię.

– Ach! – Siadam gwałtownie w łóżku, czoło mam zlane zimnym potem. Jest środek nocy. Tak naprawdę jestem w swoim pokoju i tulę do piersi pluszową Pannę Muffin. Kaloryfer Jacka rozwiął się jak dym, a Kayla nie umarła. Przynajmniej taką mam nadzieję. Podnoszę rękę do szyi i aż się wzdrygam – sen był taki realny! Schodzę z łóżka i na wszelki wypadek przemywam szyję wodą utlenioną. Wyśniony czy prawdziwy, każde dotknięcie Jacka trzeba zdezynfekować natychmiast, bo jeszcze złapię od tego idioty jakieś gówniane zarazki.

Jutro rano w szkole muszę sprawdzić, czy Kayla aby na pewno żyje, bo mnie całkowicie rozpada się życie i muszę z nią o tym poważnie porozmawiać. Stoi pod drzewem, rozmawia z Avery, ale chcę się upewnić na sto procent, że nie jest martwa, więc podchodzę i szturcham ją. W pośladek. Kilka razy.

– Isis! Co ty wyprawiasz?

– Och, dzięki Bogu, Kayla. Twój fantastyczny tyłek jest nienaruszony! Od tej dupci zależy pokój na świecie.

– Spadaj stąd, wariatko – syczy drwiąco Avery.

– Witam, Avery-bo-bavery – szczebioczę. – Jak tam prochy, działają?

Inna dziewczyna, z którą rozmawia, jest zaskoczona.

– Prochy? Jakie prochy? Masz jakieś prochy i mi nie dałaś, Ave?

Avery jest zbyt zajęta mordowaniem mnie wzrokiem, żeby powstrzymać mnie przed odciągnięciem Kayli pod inne drzewo.

– Isis, wszystko w porządku?

– Kayla, uważasz, że Jack jest sexy?

Wydaje kwik zarzynanej świni, a ja nią potrząsam. Delikatnie.

– Miałam koszmar, w którym myślałam, że Jack jest seksowny, a ty umarłaś.

– O... och. Cóż. Nie umarłam! Więc to chyba dobrze, prawda? – uśmiecha się.

– Och Kayla, jesteś wspaniałym, słodziutkim, niesamowicie puszystym motylkiem, ale w tej chwili na nic mi się nie przydasz. No i masz randkę z Jackiem w sobotę w Red Fern o siódmej. Ja to zorganizowałam, a teraz muszę lecieć.

Zostawiam ją, płonąca, i postanawiam odszukać drugą osobę w tej szkole, która będzie miała cierpliwość wysłuchać mojego biadolenia na temat Jacka.

Znajduję Wrena w biurze samorządu, gdzie wypełnia jakieś szalenie ciekawe interesujące dokumenty. Jest ukryty za ich stertą. Ledwie widzę wystający ponad nimi czubek jego ciemnej czupryny. Sięgam do papierzysk i połowę zsuwam na bok. Setki kartek ześlizgują się z biurka i spadają na podłogę. Dryfują w powietrzu jak płatki śniegu. Grube, nudne jak cholera, płatki śniegu. Wren spogląda w górę, usta ma rozdziawione.

– Co robisz? – pytam.

– Przydzielam dofinansowanie kołom – szepcze i schyla się, wyraźnie wstrząśnięty. Kartka spada mu na głowę i ponuro zsuwa się w dół. Okazuję mu szacunek przez całe trzy sekundy.

– No więc, chodzi o to, że miałam koszmar, w którym Jack był seksowny, a Kayla umarła.

– Ja... no, współczuję ci.

– Nie rozumiesz? Jack nie może być seksowny! Nie mogę tak uważać nawet podświadomie, inaczej przegram tę wojnę! Niezliczone oddziały w moim umyśle tracą morale, jeśli dostrzegą w Jacku choćby cień potencjalnego seksapilu. Wszystko im się pokręci! Nie mogę go lubić. Nawet trochę. Albo całą sprawę szlag trafi!

– Czy mógłbym zasugerować...

– Że już nie wspomnę o liczniku! – kraczę, pochylając się i zbierając kartki.

– Trzy lata, Wren! Trzy pieprzone lata niebycia idiotką. Nie mogę... nie mogę tego zepsuć! Nigdy więcej nie będę idiotką. Nie będę! Myśli o seksie prowadzą do seksu, a seks prowadzi do miłości. A może jest odwrotnie, nie wiem?

– Jestem pewien, że...

– Nie mogę tego zrobić, Wren! – wyję. – Musisz mi pomóc! Jeśli zacznę lubić Jacka i on to zobaczy, zastrzeli mnie, ponieważ: A. Prowadzimy wojnę. B.

Jestem grubą brzydką krową i wtedy mój licznik się wyzeruje i stracę trzy lata, a obiecałam sobie, że nie zrobię tego znowu, Wren, obiecałam!

Odkładam dokumenty z hukiem na biurko, głos mi drży.

– Co mam zrobić?

Wzdycha.

– Posłuchaj, Isis, nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale jeśli myśl o polubieniu kogoś przeraża cię do łez, to nie sądzę, żeby to było coś dobrego. Powinnaś przestać.

– Przecież próbuję! – krzyczę, a potem już łkam. – Próbuję.

Wren wzdycha, podnosi się i otacza mnie ramieniem.

– To zrozumiałe. Jest przystojny. Może to wszystko. Może lubisz go tylko z powodu jego wyglądu. Jesteśmy nastolatkami. Ten poziom libido jest normalny.

– Och Boże, użyłeś w zdaniu na poważnie słów „libido” i „nastolatki”. Co ty jesteś, jakiś osiemdziesięcioletni profesor?

– I – kontynuuje Wren surowo, uciszając moje jęki – pocałował cię.

– Dla żartu.

– No tak, cóż...

– To absolutnie nic nie znaczyło.

– Tak, ale musisz wziąć pod uwagę, że nawet jeśli twój mózg to wie, twoje ciało być może nie. I... twoje serce też może być co nieco zdezorientowane.

– Pff – pryham. – Jakie serce? To coś, czego pozbyłam się trzy lata temu? Ostatnio, jak sprawdzałam, było niemożliwe, żeby organy funkcjonowały poprawnie poza ciałem. Chyba że podłączone pod jakieś urządzenie. Ale to ohydne i ja zdecydowanie do niczego nie podłączyłam mojego głupiego serca. Wyrzuciłam je przez okno, kiedy jechałam do Walgreens...

– Isis! – Wren chwyta mnie za ramiona i patrzy mi w oczy tym swoim nieruchomym spojrzeniem. – Posłuchaj mnie przez pięć sekund!

Jestem tak zaskoczona, że milknę. Wren, uzmysławiając sobie, że to być może jedyna taka okazja w jego życiu, kontynuuje, póki jeszcze ma szansę.

– Lubienie kogoś jest w porządku – mówi. – Nawet powierzchowne. Nie pozwól, żeby to, co ci zrobił mój kuzyn, cię określało. Domyślam się, że prawdopodobnie było to coś okropnego. Potrafił wsadzać żaby do mikrofalówki i się z tego śmiać. Znam go, wiem, jaki jest. Wiem, że cię skrzywdził. Ale jeśli znowu coś do kogoś czujesz, to dobrze. To znaczy, że rany się goją. Musisz na to pozwolić.

– Nie lubię Jacka – szepczę. – Nie lubię.

Wren mnie przytula. Wyrywam się z jego objęć i przywołuję najbardziej promienny z moich uśmiechów.

– Serio, nie lubię! Zapomnij o wszystkim, co mówiłam, dobra? Z Jacka fajnie jest się ponabijać, rozumiesz? A mnie po prostu czasami coś się płacze.

– Isis...

– Cokolwiek zrobił Jack, musiało to być coś naprawdę złego, skoro za każdym razem, gdy o tym wspomina, ty bledniesz, a Avery musi chodzić do psychiatry. Jest pewnie tak zły jak Bezimienny!

Wren natychmiast milknie, usta i pięści ma zaciśnięte.

– Poza tym w kręgielni Avery cały czas piła, kiedy tam był. A ty spojrzaleś na niego tylko dwa razy, więc. Tak... Myślę, że to musiało być coś bardzo, bardzo okropnego. – Pukam się z zastanowieniem palcem po brodzie. – To ma coś wspólnego z Sophią, prawda?

– Przestań.

– Zrobił jej to, co mnie Bezimienny? Spytałem ją i...

– Powiedziałem przestań. – Głos Wrena jest tak miękki i mroczny, że nie mogę temu zaradzić i przechodzi mnie dreszcz. Poprawia okulary i patrzy na mnie przenikliwymi piwnymi oczami. – Nie chowaj się za tym, co zrobił ci Bezimienny, tylko dlatego, że to, co powiedziałem, było zbyt bliskie prawdy. Jack jest lepszym człowiekiem, zapewniam cię. Po prostu przekonanie się o tym zajmuje ludziom trochę czasu.

– Avery mówiła, że jest niebezpieczny, kiedy się go lepiej pozna.

Wren wzdycha.

– Jest niebezpieczny, kropka. Istnieją przyczyny, dla których trzyma ludzi na dystans. Może sprawiać wrażenie bezdusznego, ale nie chce nikogo ponownie skrzywdzić.

– Ponownie? Czyli znaczy, że kogoś skrzywdził. Sophię?

Wren się wzdyga.

– Posłuchaj, przykro mi, Isis, ale musisz już iść. Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Idź już, proszę. – Obrzucam go wściekłym spojrzeniem, potem obracam się na pięcie i wychodzę, mocno trzaskając za sobą drzwiami. Nie ma szans, że Wren mi pomoże. Jestem zdana tylko na siebie, a przerażająca myśl, że być może wcale nie nienawidzę Jacka, wisi nad moją głową jak ostrze gilotyny. Tajemnica Sophii pogłębia się i jest coraz bardziej irytująca. Jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, muszę znaleźć tę dziewczynę. I to szybko.

Tylko czy chcę? Czy kopanie w przeszłości Jacka naprawdę pomoże mi go nie lubić? Oczywiście, że tak, nad czym ja się jeszcze zastanawiam? To jasne, że bardzo skrzywdził Sophię. Jeśli tylko dowiem się jak bardzo, będę mogła wybić sobie z głowy ten kretyński pomysł, że jest słodki. To doskonała taktyka. A do tego czasu rodzące się we mnie idiotyczne uczucia do niego pogrzebię pod siedmioma tonami ołowianych cegieł z napisem „nie”. Mam wojnę do wygrania, randkę, do której muszę się przyszykować i aroganckiego dupka, którego muszę w końcu zmusić do przeproszenia przyjaciółki, na razie jedynej, jaką mam.

Jack Hunter nie jest seksowny.

Jack Hunter jest na mojej liście dupków, na wieki.

I tylko po to, żeby o tym wiedział, zakradam się do schowka szkolnego ogrodnika, zabieram stamtąd plastikową torbę z kompostem z odchodów kóz, kurczaków i Bóg jeden wie jakich jeszcze zwierząt, i wywalam to wszystko na przednią szybę samochodu Jacka. Satisfakcję mam przez całe dwie sekundy, zanim dociera do mnie, że to tylko odchody. To nie ja. Prawdziwa ja nie zrobiłaby czegoś tak prostackiego i dziecinnego. Ale jestem roztrzęsiona. Coś się we mnie popsło, jakaś część się poluzowała, więc kopię na oślep, jak noga w reakcji na uderzenie młoteczka lekarskiego.

Kupa rozpryskuje się na wetkniętym za wycieraczką nowym liściku miłosnym od płaczki z kółka teatralnego. Nie mam czasu na dalsze, ogromnie pomocne, zgłębianie zakamarków swojej duszy, bo słyszę wrzaski ochrony kampusu. Uciekam. Na korytarzach jest mało ludzi, mimo to po skręceniu za róg prawie zderzam się z Nożownikiem.

– Hej – sapie. – Pożyczysz kurtkę?

– Uch... – Spogląda na zieloną kurtkę imitującą wojskową. – Jasne. Tylko ostrożnie. Jest z demobilu. Widzisz te dziury z ciemną otoczką? To rany klute z Wietnamu...

– Fascynujące. Dzięki! – Łapię kurtkę, zakładam i biegnę, słysząc, że kroki za mną są coraz głośniejsze. Ściągam gumkę z nadgarstka, skręcam włosy w kok, podwijam dzinsy. Pierwsza osoba, którą zobaczę za następnym rogiem, musi współpracować, inaczej mam przechlapane. Muszę udawać, że rozmawiałam z nim albo z nią od wieków, i mieć odwróconą twarz, żeby ochroniarze widzieli tylko moje plecy. Skręcam w lewo i pędzę, a moje serce zaczyna radośnie śpiewać, bo widzę jakąś dziewczynę z głową w szafce na książki. Pociągam ją za ramię i zatrząskuję drzwiczki szafki.

– Szybko – syczę. – Udawaj, że rozmawiamy od dłuższego czasu i kiedy pojawi się ochrona, wskaż przeciwny kierunek.

– A niby dlaczego mam to zrobić? – Avery marszczy brwi. Żołądek mi się zaciska, ale mam tylko ją.

– No weź, błagam!

– Będziesz moją dłużniczką.

– Super! Jasne! Uwielbiam mieć długi u diabła!

Zza rogu wypada ochrona i Avery podnosi głos.

– No więc powiedziałam mu, żeby znowu zadzwonił, ale nie zajarzył, czujesz? W każdym razie, masz teraz matkę czy angielski?

– W którą stronę pobiegła uciekająca dziewczyna? – dyszy łysiejący ochroniarz. Naciągam lekko kołnierz kurtki na brodę. Avery lustruje ochroniarza, potem pokazuje kciukiem za siebie.

– Dziękujemy – rzezi drugi z ochroniarzy. Wznawiają pościg, brzuchy im się

kołyszą. Po ich zniknięciu Avery prychnęła drwiąco.

– Wydawałoby się, że zapamiętają wygląd dziewczyny z fioletowymi pasemkami we włosach. Idioci.

– Racja, no więc, mów, jak mam ci się odwdziżyć? Lepiej ustalić to od razu, Szeloba^[1].

– Porównujesz mnie do gigantycznego pajaka?

Kiwam głową, a ona ma minę, jakbym jej zaimponowała, ale potem poważnieje i celuje we mnie palcem.

– Pomożesz mi się włamać do pokoju Jacka, dziś po szkole.

– Łał, uch, normalnie na sto procent pisałabym się na taki kryminalny wyskok, ale mam tak jakby na pieńku z Jackiem i...

– Mało mnie to obchodzi. Mam zawołać z powrotem tamtych dwóch grubasów? Och, chłopaki! Jest tu ktoś...

– Dobra! – syczę, chwytając ją za nadgarstek. – Mów, co mam robić.

– Spotkajmy się po szkole na parkingu. Będziesz prowadziła. Chodzisz na jakieś zajęcia przygotowawcze na studia?

– Tak.

– Po co pytam. Jasne, że chodzisz, jesteś brzydka. Przynieś ze sobą jakąś nieodrobioną pracę domową.

I tak oto zostałam zrekrutowana na włamywacza przez Szatana.

Dom Jacka jest luksusowy i wielki – żwirowy podjazd od frontu dzieli trawnik na pół. Wokół dom obrastają krzaki róż, olbrzymie lilie i jabłonie. Karmnik dla kolibrów błyszczy czerwienią, a małe kolorowe ptaszki krążą przy nim i popijają słodki nektar. Ogrodnik starannie podlewa róże i kiwa głową do każdej, zadowolony, że tak ładnie rosną. Parkuję po drugiej stronie ulicy, tak jak każe Avery. Łapie mnie za twarz z obu stron i zmusza, żebym na nią popatrzyła.

– Słuchaj uważnie, wariatko.

– No słucham, słucham – skrzeczę.

– Razem z Jackiem szykujecie projekt na zajęcia z biologii. Przyniosłaś materiały do pracy. Jego teraz nie ma, wiem na pewno, bo odwiedza Sopię. Jego matka jest obrzydliwie słodka. Wpuści cię bez problemu. Spytaj, czy możesz skorzystać z łazienki. Idź na górę i wejdź do drugiego pokoju po prawej.

– Chyba zaraz zwymiotuję.

– Zaczekaj z tym, aż wyjdiesz! – warczy Avery i puszcza moją twarz. – To tylko matka Jacka i jego pokój. To nie on. Ja będę stała na straży. Jeśli wróci wcześniej, wyślę ci esemesa, więc włącz sobie wibracje i spieprzaj stamtąd, jeśli je poczujesz. Jeśli Jack przyłapie cię na tym, że u niego myszkujesz... – Avery wzdyga się. – To, co zrobił ze zdjęciem rowka w twoim tyłku będzie w porównaniu z tym wyglądało pięknie. Rozumiesz?

– Tak! – Salutuję.

– Czego masz szukać? – przepytuje mnie.
– Pudełka po cygarach z listami.
– I jaki list weźmiesz?
– Najnowszy.
– I co zrobisz, jak go znajdziesz?
– Wyniosę się z domu i za nic nie otworzę, nawet na centymetr.
– Dobrze. Zrób to i będziemy kwita, słyszysz? Ja nie będę mówiła o tym, że rzucasz gównem, a ty nie gadasz o tym, że chodzę do psychiatry.

– Brzmi to fantastycznie i w ogóle, tylko zapominasz o jednej małej rzeczy, że on zauważy brak listu, bo nie jest ślepy, zapyta matkę i będzie wiedział, że to ja, a potem da mi popalić.

Avery pochmurnieje. Zbiera rude włosy do tyłu i związuje je w kucyk.

– Nic mnie to nie obchodzi – mówi w końcu.

– Ale mnie bardzo!

– Nie będę ryzykowała, że się na mnie wścieknie. Ale ty mu już podpadłaś przez tę głupią wojnę. Muszę wiedzieć, co jest w tym liście, rozumiesz? Jeśli się nie dowiem...

Avery zaciska powieki swoich oczu jak u lalki.

– Sophia nie chce ze mną rozmawiać ani mnie widzieć. To moja wina. To co się stało, stało się przeze mnie i Jack to wyprostował, rozumiesz? Ale ona wini mnie. I ma rację, zasłużyłam. Byłam głupia i zrobiłam coś, czego żałuję. Wiele lat pracowałam nad przeprosinami. Wiele lat, wariatko. Pięć pieprzonych lat, żeby zebrać się do kupy i powiedzieć „przepraszam”. Ale jeśli nie zobaczę, co jest w liście, mogę nigdy nie mieć okazji, żeby to zrobić.

Przyglądam się uważnie jej twarzy. Avery nie kłamie. Jej mina wyraża coś innego niż obrzydzenie – wyraża ból. Jest taka sama jak wtedy, kiedy spotkałyśmy się na moście. Emocje ją rozszarpują i to ją boli jak diabli.

Mogę jej nie lubić. Mogą uważać, że jest kretynką i kanciarą.

Ale znam to uczucie.

Wysiadam z samochodu i zatrząskuję za sobą drzwi.

Brama Hunterów onieśmiela. Cała w zawijasach z pomalowanego na śnieżnobiało kutego żelaza, ale jest otwarta. Idę podjazdem i uśmiecham się do ogrodnika, który uchyla przed mną kapelusza. Wren nie żartował, kiedy powiedział, że mama Jacka dostała niezłą sumkę w ramach ugody, są nadziani. Jack jest nadziany. Więc po co, do diabła, pracuje w agencji, skoro mógłby po prostu poprosić o kasę matkę? Chyba że nie chce. Bóg mi świadkiem, że to uczucie też znam. Nienawidzę prosić mamy o pieniądze. Nienawidzę prosić o pomoc kogokolwiek, kropka. I mimo że uważam, że Jack jest obrzydliwym potworem, wiem, że pod tym względem jest taki jak ja. Wszystko robi sam, zawsze. Pracuje sam, zawsze.

Wspinam się na schody i dzwonię. Otwiera mi kobieta w kanarkowożółtej letniej sukience. Jest tak piękna, że odbiera mi mowę na jakieś pięć dziesiątych sekundy. Jej włosy są miękkie, jasnobrązowe, obcięte krótko na pazia. Ma może czterdzieści lat, olśniewający uśmiech i delikatną perłową cerę. W jednej ręce trzyma szklankę z brudną wodą, w drugiej kapiący pędzel. Ma oczy w kształcie migdałów, jak Jack, i równie przenikliwe, zimnobłękitne, ale radosne, podczas gdy Jacka są zawsze zasnuwane znużeniem.

– Hej! W czym mogę pomóc? – Uśmiecha się promiennie i wylewa trochę wody przy próbie otwarcia drzwi szerzej jedną nogą. Ma skarpetki w tęczowe paski i to w jakiś sposób pozwala mi się rozluźnić.

– Hm, dzień dobry? Nazywam się Isis Blake. Chodzę z Jackiem na zajęcia dodatkowe z biologii. Mieliśmy dzisiaj popracować razem nad projektem. – Macham materiałami. Mina jej rzednie.

– O, cholera! To znaczy... a niech to! – poprawia się szybko. – Wiesz co? Jack przed chwilą wyszedł, ale niedługo wróci. Może wejdiesz i napijesz się herbaty? Lubisz herbatę? A może wolisz kawę? Mogę zaparzyć, tylko ostrzegam, że smakuje jak gówno i wygląda jak gówno... to znaczy, chciałam powiedzieć jak breja.

Śmieję się, a jej zmieszanie przeklinaniem w obecności nastolatki zamienia się w zawstydzone rozbawienie.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że Jack ostrzegął, że mam trochę niewyparzony język. To moja jedyna fatalna wada. Cóż, to i jeszcze niesamowita zdolność przypalania wszystkiego. Ale obiecuję, że będę się zachowywała najlepiej, jak potrafię.

– Nie ma sprawy, proszę pani. – Uśmiecham się szerzej. – Dorośli, którzy nie przeklinają, krępują mnie.

– To tak jak mnie – zgadza się z zapalem. Ma trudności z przytrzymaniem drzwi, więc jej pomagam. – Dziękuję. Chodź, zapraszam!

Nie potrafię powstrzymać gwizdnięcia na widok holu. Masywne schody prowadzące na górę, dywany, grube, czerwone i prawdopodobnie tureckie. Wszędzie jest parkiet i wielkie wysokie okna wpuszczające mnóstwo światła, wszystko pachnie lawendą i jest zdjęcie Jacka w pieluszcze, o mój Boże, wygląda jak mały tłuszczutki Budda...

– Wygląda jak gruby mnich – mówi pani Hunter ponad moim ramieniem.

– Właśnie... właśnie to samo pomyślałam! – odpowiadam. – Jak Budda czy coś!

– Kiedyś nadawałam mu wiele różnych przezwisk – wzdycha. – Był za mały, żeby je zrozumieć, oczywiście, a ja byłam tak niedospiana przez to, że ciągle płakał, że byłam gotowa kogoś udusić, więc zamiast zwariować, groziłam mu słodkim głosem, a on tylko się śmiał i gruchał do mnie. Okropne z mojej strony, wiem.

Może dlatego teraz jest taki, jaki jest.

– Dziwny? – podpowiadam.

– Och, zdecydowanie. Bycie dziwnym to specjalność Hunterów. – Jej oczy błyszczą, gdy wprowadza mnie do przestronnej jasnej kuchni. – Był takim szczęśliwym dzieckiem. Ale teraz bardzo się martwię. Najczęściej jest po prostu smutny.

Kręci głową, jakby chciała ją oczyścić, i napelnia czajnik wodą.

– Herbata może być miętowa?

– Tak. – Sadowię się na stołku barowym. – To znaczy, nie chciałabym przeszkadzać, wydaje się pani bardzo zajęta...

Pani Hunter parska śmiechem.

– Zajęta? Powiem nieskromnie, że stać mnie na to, żeby nie być zajęta, już nigdy. Chociaż przyznaję, czasami brakuje mi pracy w biurze.

Odkłada pędzel i odstawia wodę i wtedy zauważam płótno stojące naprzeciwko okna. Farby rozmazane na palcu, kilkanaście pędzli sterczących to tu, to tam ze słoików z mętną wodą. Sam obraz jest piękny – przedstawia konia. Pani Hunter podbiega do malowidła i je odwraca.

– Och, nie, nie, nie! Jeszcze nie jest skończony! Nie patrz.

– Jasne, przepraszam.

– Nie, to ja przepraszam. Moja wina. Mam tę głupią przypadłość, że denerwuję się, kiedy ludzie widzą nieskończone prace. Nie żeby miały być o wiele lepsze, kiedy skończę.

– Ale ten obraz jest piękny.

Oblewa się rumieńcem.

– Dziękuję. Zaczęłam brać lekcje miesiąc temu. Lubiłam je, ale przestałam chodzić, bo wszyscy nauczyciele chcieli, żebym malowała brzydkie, bezduszne akwarelowe pejzaże. Bez uczuć! Bez pasji!

– Konie mają całe tony pasji. Jakieś siedemnaście ton pasji.

– Właśnie! – klaszcze. – Widzę, że rozumiesz. O wiele fajniej malować je niż kępę nudnych drzew.

Do kuchni wpada maleńki wirujący derwisz psiego szaleństwa, poszczekujący na mnie cicho i merdający ogonem. Jest czarny jak węgiel, ma śliczne paciorkowe oczy i wilgotny nos, który wciska w moją kostkę, próbując zapewne ocenić, jak długo mu zajmie przegryzienie się przez ścięgno Achillesa. A może chce ocenić, jakie psy miałam na ulicy w ostatnich siedemnastu latach mojego życia.

– Darth! Siad! – woła pani Hunter. Pies posłusznie wierci kuperkiem i wskakuje na stołek obok mnie. Pani Hunter łapie ścierkę i próbuje go przepędzić. Darth zeskakuje ze stołka, szczeka zajadle, po czym kilkakrotnie, bez żadnego wyraźnego powodu, obiega kuchnię.

– Jaki on słodki! – mówię. – Wabi się Darth?
– Skrót od Darth Vader. Bo jest cały czarny. Akurat oglądałam *Powrót Jedi* i wtedy wydawało mi się to całkiem sensowne.
– Lepsze niż na przykład Puszek.
– Prawda? – uśmiecha się. – To kundel. Pół yorkshire terier, pół pijana wiewiórka.

Śmieję się. Mama Jacka jest fajna. Albo przynajmniej bardzo stara się taka być. W przypadku większości dorosłych podnosiłabym oczy do nieba, ale ona, z tym swoim roztrzepaniem, jest nawet urocza. Czajnik gwizdże, pani Hunter zalewa dwie filiżanki herbaty i jedną przesuwam do mnie.

– Pani kuchnia jest niesamowita. Zresztą jak cały dom – chwałę uprzejmie. Popija herbatę i się uśmiecha.
– Tak myślisz? Szczerze mówiąc, rzadko korzystam z kuchni – gotuje głównie Jack. Ja wszystko przypalam i brudzę farbami. Strasznie go to rozjusza.

Śmieje się, a ja próbuję wyobrazić sobie wściekłą, rozdrażnioną minę Jacka, kiedy ściera farbę z blatów. Aż się palę, żeby zadać kilka pytań na jego temat. Oto kobieta, która nosiła go w brzuchu przez dziewięć miesięcy, a potem zносиła jego dziwactwa przez siedemnaście lat. Wie o nim wszystko: jak często się moczył, czego się bał jako dziecko, w jakie głupie kostiumy przebierała go na Halloween. I z jakiegoś powodu ja też chciałabym to wiedzieć. I nie tylko po to, żeby wykorzystać to jako materiał do szantażu.

Kręcę głową. Skup się. Skup się! Pani Hunter wie też najprawdopodobniej o Sophii. Świerzbią mnie palce zaciśnięte na filiżance. Spokój, odruchy warunkowe. To nie czas na działanie. Trzymajcie na wodzy nieposkromioną żądzę wiedzy, żeby niczego nie zauważyła.

– A więc ty i Jack pewnie jesteście przyjaciółmi? – Pani Hunter odchrząkuje. Darth Vader, wyczerpany wreszcie bohaterskimi próbami obwąchania każdej części mnie, opada przy jej nogach.

– Ach... cha cha – śmieję się nerwowo. – Nie do końca.
– Rozumiem. Trudno się z nim dogadać, jest bardzo zamknięty w sobie, a czasami nawet opryskliwy. Nie zawsze taki był, ale gdzieś w okolicach gimnazjum zaczął się zmieniać. Hormony, jak sądzę. I brak ojca... – Milknie i przez chwilę wpatruje się w przestrzeń ponad moim ramieniem. Potrząsa głową i wzdycha. – Przepraszam. Rozgadałam się.

– Nie, nie, nie ma problemu – śpieszę z zapewnieniem. – To znaczny, to jest problem, że Jack nie ma ojca i że pani mąż zmarł... to znaczy... kurde.

– Nie przejmuj się – chichocze. – Nie musisz się przy mnie pilnować. Tęsknię za Olivierem, Bóg mi świadkiem, że tęsknię. Ale po piętnastu latach potrafię już wypowiedzieć jego imię bez załamywania się. To postęp, nie uważasz?

– Zdecydowanie. – Kiwam głową. – Ja też mam kogoś takiego. Kogoś, kogo

imienia nie mogę wypowiadać.

– Och, kochanie. Przykro mi. Utrata kogoś jest taka straszna.

– Ja go nie straciłam, to on... on mnie rzucił.

To są osobiste sprawy. Ale łagodna powierzchowność pani Hunter sprawia, że chce mi się mówić o wszystkim. Kładzie rękę na mojej i poklepuje.

– Co za idiota chciałby złamać serce takiej ślicznej dziewczynie? Taki, który na ciebie nie zasługiwał, ot co.

Obciążam rękaw i zmuszam się do niepewnego uśmiechu. Ślicznej. Powiedziała to bez zastanowienia, jakby to była prawda. Ale nie jest. Oczywiście, że nie.

– Muszę skorzystać z łazienki – podnoszę się. – Gdzie...?

– Och! Jasne. – Schodzi ze stołka i gestykuluje. – Na końcu korytarza, przez salon i po lewej.

– Dzięki.

Idę przez hol, specjalnie stąпам głośno, żeby myślała, że poszłam do końca. Tak naprawdę jednak wspinam się na schody, najciszej jak umiem, uchylam drugie drzwi po prawej i gdy przerwa jest na tyle duża, żeby zmieścić się w niej mój tyłek, wślizguję się do środka.

W pokoju Jacka panuje półmrok. Ściany są pomalowane na ciemnoniebiesko, a w wielkich oknach wiszą ciemnoniebieskie zasłony. Dywan jest czarny, łóżko podwójne, schludnie zakryte narzutą, też niebieską. Ale to nie ta niebieskość mnie przeraża, chodzi bardziej o czystość. Na podłodze nie leży nawet jeden brudny ciuch. Na biurku panuje wzorowy porządek, ołówki w kubku stoją jeden obok drugiego. Książki nie stoją w porządku alfabetycznym, ale są ich na półkach całe tony. Literatura klasyczna, manga i mała sekcja powieści w miękkich okładkach. Ściągam osłonę z jednej i parskam. Romanse. Ma mały zbiór romansów, zamaskowany, żeby matka nie zobaczyła. Pewnie ulubiona lektura Sophii. Jest też telewizor, playstation w rogu i xbox. Laptop leży na łóżku, jakby zamknął go tuż przed wyjściem.

I wszędzie czuć jego zapach.

To zapach spania, nauki i czytania, komórek skóry i pogniecionych ubrań, bycia nastolatkiem, ale dziwnym, czystym, który myje się określonym typem mydła i używa jednej wody kolońskiej o zapachu mięty i miodu, maskującej zapach potu. A może to nie woda kolońska? Może to jego naturalny zapach. Unosi się wszędzie i jest odurzający. Z każdym wdechem dłonie pocą mi się coraz bardziej. Jestem zdenerwowana, czuję się tak, jakby Jack mógł tu w każdej sekundzie wejść. Odwróciłabym się, a on by tam stał i patrzył na mnie wściekle, obmyślając moją ostateczną zgubę.

Zastanawiam się, czy jego mama wie, co robi dla pieniędzy. Nawet jeśli chciał mieć własne oszczędności, co szanuję, mógł znaleźć normalną dorywczą

pracę, jak my wszyscy. Nie musiał się najmować do agencji towarzyskiej. Z jego wyglądem, każdy by go przyjął. Mógłby zostać modelem! Aktorem! Mógłby sprzedawać skrzydełka z kurczaka i ugniatać ciasto, a kobiety zbiegałyby się przy ladzie tylko po to, żeby na niego patrzeć. Dlaczego agencja? Wiem, że tam się dobrze zarabia, a przynajmniej tak mi mówiono. Ci co się prostytuują (albo coś w tym stylu w przypadku Jacka) niewątpliwie wyciągają z tego o wiele więcej, niż da się zarobić w każdej innej branży, może poza, no wiecie, maklerami giełdowymi, lekarzami i takimi tam. Jack nie jest głupi. Jeśli wybrał agencję, prawdopodobnie zrobił to dla kasy. Ale po co mu było dużo pieniędzy i to szybko?

Spycham pytania do narożnika umysłu. Bardzo ryzykujesz, Isis. Zadajesz trudne pytania, stojąc w samym sercu terytorium wroga, a gdy ostatnio sprawdzałam, za coś takiego ludzie są rozstrzeliwani i giną. Jesteś generałem! Wynik wojny zależy wyłącznie od ciebie! Jeśli cię złapią, będzie po wszystkim!

Zdeterminowana, zaciskam pięści i rozglądam się po pokoju. Avery powiedziała, że skrzynka będzie w oczywistym miejscu, chociaż będzie schowana. Dzięki, Ave. To niesamowicie pomocne. Zaglądam pod łóżko, do szuflad i szafy. Nic. Kończy mi się czas. Jeśli nie zejdem szybko na dół, pani Hunter zorientuje się, że coś się święci i przyjdzie mnie szukać. Zostało jeszcze tylko jedno miejsce – komoda. Wysuwam szuflady i myszkuję w każdej. Oprócz tej z bielizną. Do tej się nie dotknę, za nic. Przynajmniej nie składa ubrań, na szczęście, bo, szczerze, jego pokój już i tak wygląda jak pokój seryjnego zabójcy.

I właśnie wtedy je znajduję. Utknięte za stertą koszulek, leży drewniane pudełko. Wyciągam je. Z misternie rzeźbionej skrzynki po kubańskich cygarach unosi się woń tytoniu. Należało do jego ojca, a przynajmniej tak twierdzi Avery. Przez chwilę się zastanawiam, skąd ona tyle wie o Jacku, skoro w ogóle ze sobą nie rozmawiają. To oczywiste, że znali się w przeszłości, ale jak dobrze? Prawdopodobnie bardzo dobrze.

Cokolwiek zrobił, musiało to być coś niewybaczalnego, skoro Avery i Wren tak się go teraz boją. Ale Avery też zrobiła coś strasznego.

Cholera, co się zdarzyło między tą trójką?

Odpędzam tę myśl po raz tysięczny i otwieram skrzynkę. W środku jest kupka starannie złożonych listów, każdy napisany na tej samej różowej papeterii z chmurkami w rogach. Podnoszę pierwszy z góry i lekko uchylam, żeby sprawdzić datę i mieć pewność, że to najnowszy. Tak. Wpycham pudełko z powrotem za koszulki, ale w ostatniej chwili się waham. Kto w tych czasach pisze listy? To takie staroświeckie i, choć bardzo nie chcę przyznać, romantyczne. Wreszcie mam w rękach coś należącego do Sophii. Iluzoryczna, tajemnicza Sophia jest tuż przede mną, czeka, aż przeczytam jej słowa. Tak łatwo byłoby rozchylić list jeszcze trochę bardziej. Tylko jedno zdanie. Jedno zdanie jeszcze nikogo nie zabiło. Chociaż pewnie zabiło, gdzieś na przestrzeni tysięcy lat ludzkiej egzystencji, ale nie ma

bata, żeby mnie to powstrzymało.

Pismo jest pełne zawijasów, eleganckie i bardzo dziewczęce.

Drogi Jacku.

Uwierzysz, że to już październik? Rozwiesiłam nad łóżkiem sznur pomarańczowych lampek i papierowe nietoperze. Zobacysz, jak przyjedziesz następnym razem – naprawdę tworzy to upiorny klimat. Pielęgniarki mówią, że wypatroszymy dynię i postawimy na moim parapecie. Zrobię jej długie wąsy i nazwę pan Miyagi. Albo zrobię z niej Hello Kitty. Które twoim zdaniem bardziej przestraszy ludzi na ulicy?

Czuję się całkiem nieźle! Doktor Fenwall uważa, że po kolejnej rundzie leczenia, będę mogła wyjść na jeden dzień. Tym razem pójdziemy gdzieś, gdzie ty będziesz chciał. I nie sprzeciwiaj się! Ostatnim razem zaciągnęłam cię na festyn i wiem, że strasznie ci się nie podobało, więc teraz ty możesz zaciągnąć mnie gdzie chcesz, a ja nie będę narzekała! Obiecuję. No, może trochę pojęczę. Ale tylko wtedy, kiedy zaczną mnie boleć nogi lub jak zobaczę coś fajnego, co bym chciała mieć.

Naprawdę jest chora. Ale pisze tak wesoło i słodko, że nie mogę się powstrzymać i już ją lubię. Poza tym: Jack na festynie? Mogę sobie tylko wyobrazić jego wściekłą minę za każdym razem, gdy ktoś proponował mu wateę na patyku albo chciał, żeby zagrał w rzucanie kółkiem na patyk. I przejechał się na diabelskim młynie! Prycham. Pewnie przez cały czas był znudzony. On tak ma, że psuje zabawę. A mimo to Sophia chyba naprawdę go lubi. Jakoś jej to wszystko nie przeszkadza.

Wiem, że ostatnio masz dołek i pracujesz wyjątkowo ciężko ze względu na mnie, ale nie martw się. Doktor Fenwall mówi, że rozmawiał z ludźmi z księgowości i podobno otrzymali dotację właśnie dla osób takich jak ja. Dlatego nic się nie stanie, jeśli przez jakiś czas nie będziesz pracował. Zgłoszę się po nią i wiem, że ją dostanę. A ty będziesz się mógł rozluźnić i trochę zabawić, zamiast ciągle się zamartwiać.

Żuję dolną wargę. Pracuje? Czy to dlatego... dlatego pracuje w agencji? Żeby opłacić szpital? A nie mogą tego zrobić jej rodzice? Czy ona w ogóle ma rodziców?

W każdym razie cieszę się, słysząc o tej nowej dziewczynie. Mówiłeś chyba, że ma na imię Isis, tak? Wiem, wiem, nienawidzisz jej i nie rozumiesz, dlaczego jestem taka szczęśliwa, że o niej słyszę, ale jestem!

Moje serce łomocze w klatce piersiowej. Pisze o mnie!

Ale szczerze, Jack. Kiedy ostatnio ktoś tak na ciebie podziałał? Nigdy nie opowiadasz o kolegach z klasy. Ona jest pierwsza, o której wspomniłeś. Musiała na tobie zrobić spore wrażenie. Wydaje się, że jest niezłą agentką. Bardzo się cieszę, że spotkałeś kogoś, kto do ciebie pasuje. Tak, dobrze słyszysz. Pasuje. I daje

nieźle popalić, więc lepiej się postaraj, jeśli chcesz wygrać!

Dlatego jestem szczęśliwa. Masz kogoś, z kim możesz walczyć, a ja wiem, ile masz z tego radości, w dziwny, rywalizujący, perwersyjny sposób. Zawsze narzekałeś, że wszyscy w twojej szkole są głupi i nudni. Nie masz wielu przyjaciół. A ja modłę się codziennie, żebyś znalazł kogoś, kto cię zmusi do wysiłku, kto sprawi, że znowu poczujesz, że żyjesz, kto być może wzbudzi twoje zainteresowanie na tyle, że będziesz się chciał z tą osobą zaprzyjaźnić. I proszę! Masz ją! Możesz mi podziękować później. Zapoznasz mnie z nią, prawda? Naprawdę bym chciała.

Tak czy inaczej, lepiej już skończę. Noami zajrzała do pokoju i przyłapała mnie na pisaniu o czwartej nad ranem. Chi chi.

Tęsknię za tobą codziennie.

Twoja Sophia.

Składałam list i krzywię się. Teraz gdy skończyłam, czuję się tak, jakbym pogwałciła świętą granicę. Muszę wrócić na dół i wyjść. Przez to, że trzymam ten list w ręku, z każdą sekundą czuję w żołądku coraz silniejsze klucie wyrzutów sumienia.

Wyciągam telefon. Jeśli zrobię zdjęcie, Avery będzie mogła zobaczyć list, a ja nie będę musiała go zabierać. To idealne rozwiązanie. Jeśli położę go na czymś płaskim...

Odwracam się i zderzam z czyjąś twardą klatką piersiową. Lodowate niebieskie oczy płoną najmroźniejszym ogniem, jaki kiedykolwiek widziałam. Twarz, do której należą te oczy, wygląda jak maska wściekłości.

Piszczę i osłaniam się.

– Pamiętaj, że moja mama ma dostać ładne zwłoki.

Rozdział 10

3 lata, 17 tygodni, 4 dni

Dwie rzeczy wiem na pewno:

1. Nie wyjdę z tego domu żywa. Mam dobre powody, żeby tak uważać. Przede wszystkim to, w jaki sposób Jack Hunter od ponad kwadransa trzyma nóż rzeźnicki.

2. Śmierzę psią kupą. Prawdopodobnie dlatego, że kiedy Jack przyprowadził mnie do kuchni, Darth Vader zrobił na mnie kupę. Ale dopiero po tym, jak zawiązałam mu wstążkę na ogonie. Dziki lord Sithów goni go w kółko w holu. Chichoczę.

Od momentu, gdy Jack przyłapał mnie w swoim pokoju, nie powiedział słowa. Natychmiast wyrwał mi list, złapał mnie za nadgarstek, przyprowadził tutaj, posadził, zabronił się ruszać i odzywać. Przytłoczona wszystkimi możliwymi rodzajami poczucia winy, siedzę cicho i tylko się przyglądam, jak Jack robi pobjawisko w kuchni.

Z wprawą i precyzją kroi grzyby i szparagi. Wcześniej posiekał kawałek wołowiny i podsmażył ją ze wspaniale pachnącym słodkim sosem sojowym. Dorzuca warzywa i zaczyna kroić kiełki fasoli i czerwoną paprykę. Kiedy stoi tyłem do mnie, podkradam paprykę i odgryzam kawałek, potem krzywię się i odkładam paprykę z powrotem. Jack bierze tę samą paprykę, nie wiedząc, że ją gryzłam, i gryzie ten sam koniec, potem żuje z zastanowieniem, jakby chciał ocenić smak.

– Ohyda! – mówię. – Teraz twoje zarazki i moje zarazki się bratają i produkują zarazkowe dzieci!

Obrzuca mnie wściekłym spojrzeniem. Rozważam plusy i minusy wczesnej śmierci i postanawiam się zamknąć.

– Chciałeś ryż jaśminowy czy biały? – Głos pani Hunter przełamuje panujące w kuchni napięcie. Wchodzi z dwiema torebkami ryżu, po jednej w każdej ręce. Dostrzega mnie i uśmiecha się.

– Och! Hej, Isis. Zostajesz na lunch?

Zerkam w stronę Jacka, który ozięble mnie ignoruje i wybiera torebkę z ryżem jaśminowym.

– Może? Pod warunkiem, że nie zostanę później wyprowadzona na tył i zastrzelona.

Pani Hunter się śmieje i siada obok mnie, a Jack wsypuje ryż do garnka, który stoi na blacie.

– Co słyhać u Sophii? – pyta pani Hunter, zwracając się do syna.
– Dobrze – odpowiada krótko Jack. – Zrobiła dekoracje na Halloween.
– Powinieneś dla niej ugotować ten pudding z dyni, który robiłeś w zeszłym roku. Bardzo jej smakował.

Jack przewraca smażące się mięso. Na chwilę je zostawia, ale kontynuuje, kiedy zaczyna się przypalać.

– Ona nie może jeść.
– O nie, znowu jej się pogorszyło? – Pani Hunter wzdycha. – Przykro mi, kochanie.

– Niepotrzebnie. Poprawi jej się – zapewnia Jack.

Pani Hunter przenosi wzrok na mnie.

– Jack i Sophia przyjaźnią się od dziecka. Sophia to słodkie stworzenie, ale niestety jest przykuta do łóżka szpitalnego. Jakieś genetyczne zaburzenie neurologiczne. To strasznie smutne.

– Sophia czuje się dobrze – upiera się chłodno Jack. – I nie musisz tego mówić tej dziewczynie. Ona już wie.

Pani Hunter patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– Tak, Isis? Jack tak długo trzymał to w tajemnicy, że ja dowiedziałam się dopiero kilka lat temu. Jestem zaskoczona, że ci powiedział.

– Nie powiedziałem. Szpiegowała mnie.

Zalewa mnie wstyd, gorący i czerwony, ale go odpycham.

– Wybacz, że próbowałam dowiedzieć się czegoś o twoich słabych punktach, gdy ty wykleiłeś moimi słabymi punktami całą szkołę – syczę.

– Tusza nie jest twoim słabym punktem – odwarkuje. – Oboje to wiemy. Przebiły ją te tandetne ciuchy, w których przyszłaś do szkoły następnego dnia. I nie prosiłem Evansa, żeby to zrobił. Przesadził. Nie sądziłem, że wymyśli coś takiego i nie spodziewałem się, że zakradniesz się do mnie, żeby się odegrać.

– Byłaś grubsza? – Pani Hunter wzdycha. – Założę się, że wtedy też wyglądałaś ładnie.

– Wybacz, że się bronię, kiedy zapędzasz mnie w kozi róg, dupku!

Jego mama patrzy to na niego, to na mnie, jak na siebie warczymy, jakby oglądała mecz ping-ponga. Rozgrywany mieczami. I płonącym meteorem zamiast piłeczki. Darth Vader, słysząc podniesione głosy, przybiega i zaczyna szczekać.

– Nigdy cię nigdzie nie zapędziłem. Evans to zrobił – ucina Jack.

– To nasza wojna. Nie wymiguj się, nie uciekaj od odpowiedzialności!

– Więc uznałaś, że to w porządku, że się do mnie zakradniesz. – Głos Jacka podnosi się. – Że przejrzysz moje rzeczy i przeczytasz moje listy? Szukałaś sposobu na to, żeby mnie dotknąć. Ale nie zranisz tylko mnie, co? Pójdiesz do Sophii i ją też skrzywdzisz, tylko po to, żeby się na mnie zemścić.

Wzdrygam się.

– Nie zrobiłabym...

– Ależ tak. Jesteś bezwzględna, walnięta i uparta. Myliłem się. Ty naprawdę mnie nienawidzisz. Zrobisz wszystko, żeby mi dokopać. Nienawidzisz mnie tak bardzo, że wypowiedziałaś mi tę swoją małą wojnę.

– Ty ją wypowiedziałeś pierwszy!

– Znienawidziłaś mnie, jak tylko mnie zobaczyłaś. Pewnie dlatego, że przypominam ci kogoś, kto cię skrzywdził.

– Jack! – Pani Hunter jest zszokowana. – Nie wolno ci tak mówić!

– To ten ktoś nazwał cię grubą? – pyta Jack lodowato. Nieruchomieję, ale on naciska. – To Will powiedział, że jesteś gruba?

– Zamknij się – warczę i czuję, że zaczyna mnie mdlić.

– Nie – odpowiada Jack lekko, jakby do siebie samego. – Musiało chodzić o coś więcej. Wyzwał cię od idiotek? Powiedział, że jesteś cnotką? Że jesteś brzydka?

Brzydka.

– Powiedziałam, że masz się zamknąć!

– Jack, nie sądzę... – pani Hunter przerywa, gdy Jack zdejmuje patelnię z palnika i odwraca się, a potem opiera się o kuchenkę i patrzy na mnie ostro i wściekle. Ale nagle coś za kawałkami lodu w jego oczach mięknie. Czai się tam smutne ciepło, głęboko i dobrze ukryte.

– Uderzył cię?

– Jack, naprawdę nie... – zaczyna znów jego mama. Wstaję tak szybko, że stółek skrzypi i się przewraca.

– Zabiję cię – cedzę przez zęby.

– To dlatego mnie nienawidzisz? Bo myślisz, że jestem taki jak on?

– Zamknij się, do diabła!

Jack mówi jeszcze łagodniej.

– Zmusił cię?

Głos Bezimiennego w mojej głowie. „Może cię pokocham, jeśli nie będziesz się ruszała”.

– Jack! – woła ostro pani Hunter. Szczekanie Dartha Vadera przechodzi w jazgot.

– Przysięgam – syczę, a zęby wbijam w wargę tak mocno, że zaczyna krwawić. – Zabiję cię, jeśli będziesz mówił dalej.

– To dlatego wszystkich nienawidzisz? Bo on cię skrzywdził. Bardzo? Bo mu zaufałaś, a on wziął to zaufanie i podpalił.

– Jacku Adamie Hunterze, masz natychmiast zamilknąć.

Jack uśmiecha się ponuro.

– Tak to jest, jak się komuś zaufa. Można zostać zranionym.

Rzucam się na niego, ale ktoś mnie ubiega. Rozbrzmiewa odgłos plaśnięcia

w policzek, a głowa Jacka leci w bok. Cisza w kuchni waży tonę. Darth Vader dusi się skowytem i milknie. Słyszc tylko syczenie garnka na ryż. Pani Hunter opuszcza dłoń, a jej twarz jest wykrzywiona jednocześnie furią i żalem.

– Więcej – zaczyna wolno i zdecydowanie – się dzisiaj nie odezwiesz do Isis. Czy to jasne?

Oczy Jacka błyszczą. Jest zszokowany i zakłopotany. Szybko jednak dochodzi do siebie i bez słowa wypada z kuchni, nie patrząc na mnie. Jego mama się do mnie odwraca.

– Przepraszam, Isis. On jest... Nie będę go tłumaczyła, ale Jack nie widzi, kiedy rani ludzi tak, że nie da się już tego naprawić.

– Nic się nie stało – udaje mi się wydusić.

– Skarbie – mówi ciepło pani Hunter. – Stało się. Przecież płaczesz.

Podnoszę rękę, żeby dotknąć twarzy. Jest mokra i zimna.

Pani Hunter, widząc, że się chwieję, przytula mnie. Każdy milimetr mojego ciała drży i w jej objęciach wybucham zduszonym płaczem.

Trzyma mnie, aż się uspokoję, potem nalega, żebym wypila filiżankę miętowej herbaty. Jest słodka, ciepła i otwiera moje zatkane smutkiem płuca. Dziękuję jej. Ona nie wraca do tego, co się wydarzyło przed chwilą, o nic nie pyta. Zajmuje się przygotowaniem herbaty i sama też pije. Avery pyta mnie w esemesach, gdzie jestem i co się dzieje z wibracjami w moim telefonie, ale nie mogę się zmusić do odpowiedzi. Nie, kiedy w mojej głowie dźwięczy to straszne słowo.

Brzydka. Macam palcem pod rękawem. Czuję kontur na ramieniu. To boli, parzy i piecze, tak jak na początku.

Brzydka, brzydka, brzydka.

Jack nie schodzi na dół.

Dziękuję jego mamie i wychodzę, tłumacząc się tym, że muszę wracać, bo mama mnie potrzebuje. Avery jest w samochodzie, czeka i pisze coś w telefonie. Spogląda na mnie, poirytowana.

– Dlaczego nie odpowiadałaś? I co tak długo? Masz list?

– Przyłapał mnie.

– Co? – warczy Avery. – Ale... ale przecież nie widziałam, żeby podjeżdżał!

Wskazuję kciukiem za siebie. Avery się obraca i jej oczy otwierają się szeroko na widok czarnego sedana zaparkowanego prawie przecnicę dalej.

– Widział mój samochód – mówię.

– Dlaczego jego przednia szyba jest cała w brązowych smugach?

Wyrywa mi się pojedyncze ponure parsknięcie, ale zaraz milknę. Avery jest zdezorientowana, potem kręci głową.

– Co się tam stało? Wyglądasz strasznie.

– Nie chcę o tym rozmawiać – mówię cicho i uruchamiam auto. Avery musi

widzieć moje czerwone oczy, zasmarkany nos, to, że poruszam się, jakbym była wyzuta z całej energii, bo nie nalega, żebyśmy zostały ani żeby wróciła po list. Wygląda na to, że nawet bezlitosne popularne laski miewają serce. Autostrada miga za oknami, gdy odwożę Avery do domu.

– Czytałam ostatni list – oznajmiam smutno. Jej oczy rozbłyskują.

– Czy... Czy Sophia pisała coś o operacji?

– Nie.

W jednym oddechu Avery czai się głęboko ukrywany smutek.

– Neurologicznej, tak? – pytam.

– Tak. Nie miała żadnych objawów aż do tamtego wieczoru w gimnazjum...

– Avery zaciska powieki. – Nieważne. Nie ma o czym mówić.

– Co on zrobił, Avery? Na litość boską co, do diabła, zrobił Jack, że ty i Wren tak się go boicie? To przecież zwykły chłopak. Nastolatek.

– Nie, wariatko. On nie jest zwykłym nastolatkiem. Znam nastolatków. On nie jest taki. Może wyglądać jak oni, jego akt urodzenia może to potwierdzać, ale jest starszy. Ty też to czujesz, prawda? Nawet ty nie możesz być aż taka tępa.

– Czuję co?

– Że jest inny. – Patrzy za okno, a ja zjeżdżam z autostrady. Drzewa migają i ich zieleń odbija się w jej oczach. – Nie jest jak reszta z nas. I nigdy nie będzie.

Oczywiście, że nie jest jak my, wygląda jak model z reklamy American Eagle w kolorowym piśmie. Nie ma serca... a przynajmniej nie ma serca dla nikogo, czyje imię nie zaczyna się na „Soph” i nie kończy na „ia”. Oczywiście, że nie jest jednym z nas, to Lodowy Książę.

Avery z frustracją wrzuca telefon do torebki.

– Cholera.

– Co?

– Nie mogę złapać Kayli.

– Pewnie jest zajęta nakładaniem maseczki z błota i plasterków ogórków na oczy, czy co tam robicie wy, ładne dziewczyny, żeby być piękne. Ma jutro randkę.

– Co? Z kim? Lepiej, żeby to był Wren.

– Wren? Dlaczego?

Avery próbuje mnie zbyć.

– A tak, bez powodu. To Wren, prawda?

– Nie. Jack.

– Mówiłam jej... Wren! – warczy Avery. – Wren, Wren, Wren, po nim mogłaby sobie beznadziejnie polować na Jacka, ile by tylko chciała.

– O czym ty mówisz?

Avery zerka w moją stronę.

– Widziałaś, jak się dogadywali w kręgielni. Nawet Jack to zauważył. Poza szkołą, gdzie ona nie jest popularna, a on nie jest idiotą, świetnie do siebie pasują.

Wren buja się w niej od zawsze.

Wtedy doznaję olśnienia.

– Wykorzystujesz ją! – warczę. – O mój Boże, wykorzystujesz ją, żeby dostać dofinansowanie na wycieczkę twojego kółka z francuskiego do Francji albo na coś innego! Wykorzystujesz przyjaciółkę!

– To nie dla mnie. – Avery wściekłym wzrokiem wypala dziurę w przedniej szybie. – Kayla też pojedzie. I Sophia. To ostatnia szansa, jaką mam, rozumiesz? Ostatnia szansa, żeby... wszystko jej wynagrodzić. Operacja tak czy siak odbędzie się niedługo. Jack mi powiedział. A ona może nie zdążyć. Możliwe, że już nigdy jej nie zobaczę.

– To nie usprawiedliwia tego, że zmuszasz Kaylę, żeby flirtowała z chłopakiem, którego nie lubi, tylko po to, żebyś dostała to, czego chcesz...

– Powiedział ci? – przerywa mi. – Czy Jack mówił ci, ile zostało Sophii, nawet jeśli przeżyje operację?

Przełykam, z trudem, i choć raz moja sławna niewyparzona gęba milczy. Z braku paliwa. Z braku czegokolwiek do powiedzenia.

Avery patrzy przez okno na las, który mijamy.

– Kiedy byliśmy małe, udawałyśmy, że mieszkamy we Francji. Jako księżniczki. W to się bawiłyśmy u niej na podwórku. Że jesteśmy francuskimi księżniczkami. A ona miała taką książkę... Na pewno wciąż ją ma. Razem ją zrobiłyśmy. A może ją spaliła? Notes z rzeczami, które chciałyśmy robić, gdy dorośniemy. Pełno w nim było francuskich rzeczy. Uczyła się francuskiego tuż przed...

Milknie, a ja wjeżdżam na podjazd przed jej domem. Kiedy zaczyna mówić dalej, głos jej drży.

– Szkolne dofinansowanie to jedyna szansa, żeby zabrać ją do Francji, zanim... zanim nie będzie mogła już nigdzie pojechać.

– Avery, proszę, proszę, powiedz mi, co się stało z tobą, Sophią, Jackiem i Wrenem w gimnazjum. Proszę.

Zielone oczy Avery błyskają, jakby chciała oszacować, czy jestem godna.

– Jesteś jak on, wiesz?

– Że co?

– Jesteś jak on – powtarza. – Jesteś inna. To się czuje. Pewnie dlatego się kłócicie. Bo jesteście tak podobni. Jak dwa odpychające się magnesy.

– Avery, co się stało...?

– Wtedy jeszcze lubiłam Jacka. Byłam jak Kayla – miałam obsesję. Sophia i Jack... Nikt nie miał wątpliwości, że są w sobie zakochani. Byli dla siebie stworzeni. Nie mogłam tego znieść. Więc zorganizowałam akcję. Przekupiłam chłopaków od wożenia palet w hurtowni matki. Robotników z portu. Wielkich głupich facetów, których jedyną rozrywką jest upijanie się. Przekupiłam ich.

Pieniędzmi. Byłam głupim dzieciakiem i tak zrobiłam, a teraz codziennie za to płacę.

Siedzę nieruchomo. Avery się do mnie uśmiecha, gorzko i ponuro.

– Mówiłam ci, świrusko. Nie jestem dobra. I już nigdy nie będę.

Żołądek mi się zaciska. Ale zanim zdąży podejść do gardła, Avery otwiera drzwi i wysiada. Znika w domu. Ucieka ode mnie. Ucieka od prawdy.

Po powrocie robię coś szybkiego do jedzenia – kanapki z szynką. Jedną zanoszę mamie, która czyta w salonie. Uśmiecha się i mnie przytula.

– Jesteś dzisiaj bardzo smutna. Wszystko w porządku, kochanie?

Uśmiecham się, ale uśmiech jest wymuszony. Nie wygląda przekonująco. Nic za nim nie stoi oprócz pustych kłamstw i bólu.

– Tak, w porządku.

– Nowa szkoła, masa zadań domowych, nowi koledzy. I do tego wszystkiego ja! U ciotki nie było tak stresująco. Pewnie jesteś wykończona.

Żarliwie kręcę głową.

– Cieszę się, że tu jestem. Naprawdę. Cieszę się, że mogę ci pomóc.

Mama podnosi się i całuje mnie w głowę, mamrocząc mi we włosy:

– Jestem szczęściarą, że cię mam.

Wychodzę, żeby pójść na górę, ale woła mnie z powrotem.

– Dziś znowu spotkałam, tę dziewczynę. Tę rudą. W końcu sobie przypomniałam, gdzie ją widziałam – w szpitalu. Stałam za nią w kolejce do recepcji. Dostaje te same leki co ja.

– Na...?

– Depresję.

Mówi niepewnie i cicho, ale i tak jest o wiele lepiej niż było, kiedy udawała, że nic jej nie jest, że nie potrzebuje leków.

– Chodzi ze mną do szkoły – mówię.

– Wiem. Jest taka młoda, a już na lekach. To straszne.

– Pójdę na górę dokończyć zgłoszenia na studia.

– Dobrze, kochanie. Powodzenia! Powal ich na kolana.

Uciekam do swojego pokoju i zamykam drzwi. Najpopularniejsza dziewczyna w szkole bierze antydepresanty zamiast ecstasy, koki czy innych prochów z dyskotek. Najpopularniejsza dziewczyna w szkole przed laty zapoczątkowała łańcuszek wydarzeń, których echo słychać do dzisiaj.

Jestem coraz bliżej odkrycia prawdy o tym, co się stało, i wygrania wojny, raz na zawsze.

Tylko czy wciąż chcę poznać prawdę? Czy chcę wojny? Jack pokonał mnie dzisiaj totalnie. Wyciągnął wszystkie tajemnice, odsłonił i zmiażdżył młotem okrucieństwa. Przyjechałam do Ohio, żeby uciec, żeby zacząć od nowa, a nie żeby wywlekać przeszłość na światło dzienne. Jack wie. I w każdej chwili może tego

użyć przeciwko mnie. Jak mogłam choćby pomyśleć, że go lubię? W moim sercu nie ma dla niego cienia uczucia poza zimnym smutkiem. Smutkiem i gniewem. Mogłam się spodziewać, że zachowa się okrutnie, gdy dotknę się listów Sophii. Avery mnie ostrzegała. Ostrzegała, że Jack się denerwuje, kiedy ludzie zaglądają mu w przeszłość, a ja to zignorowałam. Trzeba jej było powiedzieć, żeby sama poszła po ten list. Nie powinnam była rozpoczynać tej wojny.

Tak to jest, jak się komuś zaufa.

Nie powinnam była nigdy ufać Bezimiennemu.

Byłam idiotką, że zwierzyłam się Jackowi tamtej nocy na imprezie.

Chwytam Pannę Muffin i zwijam się w kłębek na łóżku.

Brzydka.

Brzydka, brzydka.

Myślałaś, że co to było? Miłość?

Ciemne włosy. Ciemne oczy. Zapach papierosa. Krzywy uśmiech, na widok którego miękły mi kolana i kręciło się w głowie, który stał się czymś groźnym i złym.

„Nie zakochuję się w grubych, brzydkich dziewczynach. Nikt się w takich nie zakochuje”.

Brzydka.

Brzydka.

Brzydka dziewczyna.

Czarne paciorkowe oczy Panny Muffin patrzą na mnie bez cienia współczucia.

„Może cię pokocham. Może, jeśli nie będziesz się ruszała”.

Rozdział 11

Patrzę, jak Isis wychodzi. Skulona. Połyka resztkę łez, dłonie zaciska w pięści.

Włamała się do mojego domu. Chciała się zbliżyć do Sophii, żeby mi dopiec. Mam jej dość. Nie powinienem do kogoś takiego nic czuć. A już na pewno współczucia, którego łagodny płomień oblizuje mi myśli. Ani pragnienia pokazania jej, że nie jestem taki, jak ten gnój, który ją skrzywdził. Czy odruchu urwania temu potworowi jaj i wepchnięcia mu do gardła, żeby się udławił.

Chciałbym ją chronić...

Parskam i odwracam się do okna. W samochodzie Isis siedzi Avery. Jak zawsze znalazła kogoś, kto odwała za nią brudną robotę. Ale Isis musiała się zgodzić. To połowicznie jej wina.

Avery nie zasługuje na nic. A na pewno nie na Sophię. Nawet na szansę czytania napisanych przez nią słów.

Wzdycham i przeczesuję włosy. Śmierdzą psim gównem, którym ktoś – pewnie Isis – rzucił w mój samochód.

Byłem już w myjni, ale smród jest uparty. Tak jak i ona. Ta dziewczyna jest zagadką. Zwykle już po kilku minutach potrafię w każdym czytać jak w książce. Psie kłaki na kurtce – wielbiciel zwierzaków. Nadwrażliwy. Żółte zęby – kawa i papierosy albo słaba higiena. Oznaki samokarania się poprzez nałóg. Ludzie są prości. Nie zadają sobie trudu, żeby się ukryć. Perfumują się, malują i noszą modne ciuchy, ale to wszystko pozory, które umiem odczytać. Po chwili wiem, kim są. Jeśli są wyjątkowo skomplikowani, potrzebuję może paru godzin. Mieszkańcy Northplains w Ohio nie są ani specjalnie skomplikowani albo dwulicowi. Ich życie kręci się wokół centrów handlowych, pubów, plotek i meczów.

A potem pojawiła się ona. Nowa – całkowita tajemnica. Większość nowych szybko znajduje sobie miejsce, ale nie ona. Została poza nawiasem, bez koleżanek, jeśli nie liczyć tej nakręconej Kayli. Nie dołączyła do żadnego kółka, wszystkich traktowała z tym samym szorstkim, żywiołowym, zdystansowanym poczuciem humoru. Nie boi się samotności.

Nigdy się nie odłoniła, nie zrezygnowała z ochronnego pancerza śmiechu i żartów. To gra, gruba, twarda skorupa wyhodowana przez lata życia w bólu. Teraz to wiem. Ale nie załamała się pod nim. Trzymała tarczę pewnie, nawet, gdy ją całowałem i gdy pojawiły się zdjęcia jej dawnego wcielenia, a szeptki zrobiły się podłe. Stała mocno na nogach. Przyjęła ciosy i zaatakowała mnie z jeszcze większą wściekłością.

Jedyny wyjątek stanowiła impreza. Może przez alkohol, a może wystarczyło nocne powietrze. Albo poczuła, że to odpowiedni moment. W każdym razie tylko

wtedy opuściła gardę. Pokazała mi ułamek dziewczyny, którą jest naprawdę. Nonszalancka, beztroska Nowa ze skłonnościami do złośliwych intryg ma rozdierająco miękkie wnętrze, wciąż nietknięte przez okrucieństwa tego świata. Ze względu na twardą zbroję oczekiwałem, że w środku będzie pusta albo twarda jak kamień także od wewnątrz. Ale gdy podziękowała, że ją pocałowałem, wyznała, że przestała mieć nadzieję, że ktokolwiek to zrobi, prawie bałem się na nią patrzeć, jakby moje spojrzenie mogło zgnieść ten delikatny płatek, jeden jedyny, jaki wyrzał spod zbroi. Dziewczyna, która na nic nie liczyła. Zupełnie inna od tej pozornie pewnej siebie, z zadziorną miną chodząca po szkolnych korytarzach. Tak naprawdę nie myślała o sobie prawie wcale i całkiem szczerze, zupełnie serio uwierzyła, że nie zasługuje na pocałunek. Że to jej nie spotka.

Will Cavanaugh ją zmasakrował.

Pewnie przedtem była naiwna i ufna jak stokrotka. A później pojawił się on, wyrwał płatki jeden po drugim i zmusił ją do wyhodowania kolców, żeby w ogóle mogła przetrwać.

Ale jeden płatek przegapił. Strzegła go z dzikością tygrysicy.

Przez chwilę widziałem to, czego istnienia tak się wypierała.

Zagroziłem temu ostatniemu płatkowi, bo wściekłem się, że wdarła się w moje życie.

Czułem się trochę winny, a trochę dumny. Obroniłem Sopię, która nie miała na świecie nikogo poza mną. Jestem jej jedyną ochroną przed złem, które tak głęboko poraniło Isis. Niewiele brakowało, żeby Sophia stała się taka jak ona: wściekła, zgorzkniała i smutna. Na tę myśl dostaję dreszczy. Isis jest tym, kim Sophia mogła się stać. Gdybym nie zareagował w tamten upalny, sierpniowy wieczór i nie obronił jej.

Isis mnie usprawiedliwia.

Usprawiedliwia to, co zrobiłem. Stanowi ucieleśnienie bólu, który zmienia dziewczynę w zastraszoną istotę. Codzienne spotkania dowodzą, że postąpiłem słusznie. Ucisza pełne zwątpienia głosy w mojej głowie, nawet, jeśli tylko na kilka sekund. Gdy Isis jest w pobliżu, to, że Wren unika mojego wzroku, a Avery jest przerażona, nie boli tak bardzo. Postąpiłem słusznie, jestem o tym przekonany tym bardziej, gdy ona jest obok.

Zastanawiam się, kim by była, gdybym był obok, tak jak przy Sopi. Gdybym ja albo ktoś inny ochronił Isis. Uśmiechałaby się częściej? Ale nie wymuszonym, chytrym uśmieszkiem, który się pojawia, gdy ma jakiś niecny plan albo jest zadowolona, tylko naprawdę, szczerze. Na pewno w dalszym ciągu byłaby porąbana jak teraz, ale psociłaby i płała figle z radości, a nie uciekając przed demonami. Nie dlatego, że tylko to odwraca uwagę od bólu.

Gdy sobie przypominam jej minę po tym, jak spytałem, co jej zrobił Will, poczucie winy dźga mnie jak nóż. Pożałowałem tych słów, jak tylko opuściły moje

usta, ale nie mogłem ich cofnąć. Wściekłość płonęła ogniem silniejszym niż żal. Jednak teraz, gdy płomień zgasł, czułem się tym zlodowaciałym, pustym dupkiem, za którego mnie miała.

– Jack? – woła mama zza drzwi. – Mogę wejść?

– Tak.

Powoli otwiera i równie ostrożnie wchodzi do mojego pokoju. Na policzku ma rozmazaną niebieską farbę, a włosy spięte w nieporządny kok.

– Myślę... – Oddycha głęboko. Nigdy nie umiała mnie dyscyplinować. Od tego miałem dziadka. Ale jeśli coś ją poruszyło, nigdy się nie wahała przed powiedzeniem mi tego. Pod tym względem jest bardzo podobna do Isis.

– Uważam, że to naprawdę kochana dziewczyna. Polubiłam ją. To, co powiedziałaś, było nieuczciwe. I okrutne.

– Wiem.

– Więc po co to mówiłaś?

– Bo spanikowałem. Między nią a mną... Coś nas łączy, mamo.

– Chyba się nie spotykacie?

– Nie, Boże! Nie! Muszę dbać o Sophię.

– Wiem, ale ona... – milknie i się rozgląda. – Kocham Sophię, naprawdę. I wiem, że ona kocha ciebie. Ale wydaje mi się, że nie w zdrowy sposób...

– Przepraszę Isis.

Mama porzuca temat, którego nienawidzę i uśmiecha się.

– Dziękuję, kochanie. – Podchodzi i klepie mnie po ramieniu. – Nie chciałabym, żebyś stracił potencjalną przyjaciółkę. Masz tak niewielu przyjaciół.

– To dlatego, że ludzie zawsze byli mało interesujący – wyjaśniam i po raz ostatni zerkam za okno. Isis akurat odjeżdża. – Aż do teraz.

Rozdział 12

3 lata, 17 tygodni, 5 dni

Przespałam cały dzień.

Obudziłam się jako nowy człowiek.

Jestem pusta. Wypłakałam wszystko, co miałam w sobie. Została skorupka i czeka, aż wypełni ją coś nowego.

A może jestem po prostu egzaltowaną histeryczką.

Nie, nie jestem pusta. Nadal jestem człowiekiem. Płakałam z powodu zła, które mnie spotkało, ale pewnie niepotrzebnie. W zderzeniu z dramatem mamy to nic. W porównaniu z tym, co przeżyły tysiące dziewczyn na świecie, moja trauma jest w ogóle niezauważalna. Nie było tak źle. Nie w porównaniu z całą resztą.

Tylko parę sekund.

Nie lata. Nie miesiące jak w przypadku mamy. On nie był członkiem rodziny. Kimś, kogo muszę nadal widywać. Nawet nie bolało. Nie było krwi.

Czyli nie tak źle. Uwzględniając całą resztę.

Powinam przestać płakać.

Leo za dużo pił i na moich oczach raz czy dwa niby dla żartu straszyl mamę, że ją zabije. Ale ja zawsze czułam, że to nie żarty. Pamiętam, że krzyczeli na siebie, aż mama chrypla, a on wychodził do baru. Był straszny w mojej obecności, a wiem, że wtedy przynajmniej udawał porządnego. Nie wyobrażam sobie nawet, jaki był, gdy wyjeżdżałam, zwłaszcza pod koniec ich związku.

A mama, mimo wszystko, starała się. Więc ja też muszę.

Ubieram się powoli, starannie. To modne miejsce, ale nie przesadnie, więc decyduję się na bluzkę i dzinsy. Gdy błędzę po szafie, łąduję dłonią na pudełku z logo Chanel, zawierającym tamtą śliczną różową bluzkę. Piękną różową bluzkę, która w ogóle do mnie nie pasuje. Ale mogłabym ją włożyć. Gdybym nie zdjęła kurtki, nikt by jej nie zobaczył. Nawet mama. Nikt by nie wiedział, jak głupio w niej wyglądam, a przynajmniej bym ją przymierzyła. To droga rzecz. Nie chcę, żeby się marnowała.

Wiem, że to śliczna bluzka, ale nie pasuje do mnie. Jednak tylko raz, tego wieczoru chcę być ładna. Nie seksowna, nie powalająca, nie głośna, natrętna ani wkurzająca. Po prostu... ładna. Ładna, słodka i miła, jak Kayla. Jak tyle innych dziewczyn, które są w byciu dziewczynami znacznie lepsze ode mnie.

Przymierzam ją, a szyfon z delikatnością kwiatu otula moją skórę. Wkładam kurtkę i postanawiam jej nie zdejmować. Nikt poza mną nie musi się dowiedzieć, jak w tym wyglądam. Sprawdzam makijaż. Jestem blada i wyglądam na

wyczerpaną. Odrobiną błyszczyka i kreski na powiekach nic nie pomogą. Nie umiem sobie spojrzeć w oczy w lustrze. Wszystko jest jeszcze zbyt świeże, otwarta rana krwawi.

Ale Kayla ma dostać randkę, o której marzyła całe życie. A mama czeka, aż się uśmiechnę i powiem, że wszystko jest dobrze. Muszę się wziąć w garść. Stać się osobą, na którą zawsze można liczyć i wszystko u niej w porządku. Wielką, niewzruszoną skałą na rozszalałym oceanie jej zdrowienia.

Podnosi wzrok znad gazety.

– Wychodzisz?

– Tak, z koleżankami do centrum handlowego. – Na pewno wszystko poszłoby cudownie, gdybym jej powiedziała, że zapłaciłam facetowi do towarzystwa, żeby zabrał koleżankę na randkę, a sama zamierzam się tam potajemnie pojawić i sprawdzić, czy moje pieniądze nie poszły na marne.

– Baw się dobrze! I jedź ostrożnie.

– W lodówce jest obiad z wczoraj. Gdybyś mnie potrzebowała, mam komórkę.

Macha ręką, żeby mnie pogonić.

– Jedź, mówię!

– Na pewno? Jesteś na mur-diaament-beton pewna, że dasz sobie radę?

– Oczywiście! Nie baw się w matkę. Jedź i baw się dobrze.

– Kocham cię.

– Ja ciebie bardziej.

Wtedy prawie mi się ulewa. Gdy jej twarz rozpromieniona jest od uśmiechu, niemal mówię jej, co się stało. Natychmiast jednak się opamiętuję i robię w tył zwrot. Gdyby wiedziała, byłaby załamana. Zdruzgotana, że mnie to spotkało. Żałowałaby mnie i próbowała być silna, dla mnie. Nie tego jej teraz trzeba. Z trudem radzi sobie z sobą, nie mówiąc już o mnie. Jest załamana. Próby leczenia mnie nie miałyby sensu, skoro sama nie jest uzdrowiona. Lepiej, żeby nie wiedziała.

Trzymam to w tajemnicy już długo.

Mogę potrzymać jeszcze trochę.

Bo jestem silna. Jestem Isis Blake. Nie jestem ładna, urocza ani dobrze wychowana, ale na pewno jestem bardzo, bardzo silna.

Parkuję przed Red Fern, a słońce niemal składa pocałunek na horyzoncie i układa się do snu. Ciemniejące niebo pomazane jest jak marmur brzoskwiniowymi chmurami i schlapane strugami krwistego pomarańcza. Wygląda, jakby ktoś wziął kanister z benzyną i je oblał, a potem podpalił. Ale w tym pięknym sensie, nie makabrycznie piromańskim.

W Red Fern jest spokojnie i czysto, stoją smukłe, lśniące stoliki i wygodne krzesła, a poza tym palmy w doniczkach i tropikalne kwiaty, wszędzie. Kelnerka

wita mnie z uśmiechem. Wyciągam szyję i zaglądam na salę. Jest, bawi się telefonem. Wskazuję na niego, a kelnerka mnie puszcza. Siadam naprzeciwko Jacka, ubranego w ciemną koszulę i dżinsy. Włosy ma zaczesane na bok, lekko nażelowane. Wygląda na znużonego, siedzi w nonszalanckiej pozie i rozgląda się z miną człowieka, na którym nic nie robi wrażenia. Dzięki niemu knajpa wygląda jak sceneria sesji zdjęciowej dla Prady czy coś w tym stylu. Na jego widok lekko mnie mdli, wciąż dobrze pamiętam, jak wczoraj się na mnie rzucił. Ale robię to dla Kayli. Spełniam jej wielkie marzenie. Dla niej to lepsze niż przeprosiny, więc w pewnym sensie dostałam to, o co walczyłam.

Czy w takim razie już po wszystkim? Koniec naszej wojny?

Wygrał?

– Masz. – Przesuwam po blacie kopertę z pieniędzmi. – Dwieście. Tak, jak się umówiliśmy.

Patrzy na mnie. Lodowate oczy nie zdradzają, o czym myśli ani co czuje. Nie wiem, czy żałuje tego, co wczoraj powiedział. Jest irytująco niewzruszonym blokiem lodu. Bierze kopertę i przelicza banknoty. Potem wkłada kopertę do kieszeni.

– Jeśli mnie pocałuje, płacisz dodatkowe dwadzieścia pięć dolców. Jak będzie chciała iść ze mną do łóżka, wychodzę.

– Mówimy o tej samej Kayli? Ona jest wcieleniem nieśmiałości i dziewiczości. Nawet nie spojrzy na twoje krocze, nie wspominając już o zbliżaniu się do niego. Co, moim zdaniem, dobrze o niej świadczy, jako że z tych okolic mogą się zrodzić jedynie kolejne mniej lub bardziej obrzydliwe potwory.

– Jesteś w lepszej formie.

Parskam.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Humor na tyle ci się poprawił, że żartujesz. Ale pamiętaj, że te dowcipy są dla ciebie jak zbroja, prawda? Łatwo się za nimi chować i nie pokazywać, co naprawdę czujesz.

– Będę tam – wskazuję na stojący dość daleko stolik, ukryty za tropikalną roślinnością. – Zamierzam obserwować każdy twój ruch i pilnować, żeby wszystko poszło, jak zaplanowałam.

– Jestem w pracy – przypomina mi. – Twój nadzór jest niepotrzebny. Poważnie traktuję zajęcie i dam z siebie wszystko.

– O, nie wątpię.

Wstaję, zajmuję miejsce przy swoim stoliku i zamawiam sprite'a. Kayla przybywa dziesięć minut później, a mnie na jej widok opada szczęka. Ciemne włosy ma ułożone wprost idealnie, przewieszzone przez ramię i lśniące. Ma na sobie jasnozieloną sukienkę bez ramiączek, podkreślającą śniade ramiona, a czarne szpilki sprawiają, że nogi ma jeszcze dłuższe. Smoky eye działa cuda przy jej

błyszczących oczach, a usta są wilgotne, perłoworóżowe. Zauważa Jacka i rumieni się na jego widok. Wygląda jak doskonała lalka, dzieło sztuki, jak dziewczyna, dla której poeci tracą rozum i poświęcają jej pokręcone, gorączkowe wiersze. Nawet Jack – właściciel kamiennej twarzy i zlodowaciałego serca – wygląda na oszołomionego.

Nic dziwnego, że Wren się w niej zabuja! Wystarczy tylko popatrzeć. Jest wcieleniem jakiejś bogini! Ale Wren to porządny chłopak, więc na pewno nie chodzi mu tylko o cycki i tyłek. Wie, jaka jest zdolna. Hmm. W kierunku rzeczy niezwiązanych ze szkołą. Na przykład szminki! Widziałam, jak rozpoznała szminkę po zapachu! I potrafi dotknąć językiem łokcia, a poza tym robi pyszne brownie. Prawda jest taka, że jeśli się wygląda jak ona, wystarczy umieć zrobić siku i produkować tlenek węgla...

– Przepraszam? – Czuję lekkie poklepywanie. Kelnerka uśmiecha się do mnie, ale w oczach ma rozpacz. – Przeszkadza pani innym gościom.

Starsza para i jakaś rodzina patrzą na mnie z nienawiścią. Na szczęście Kayla i Jack są na drugim końcu sali i nic nie wiedzą, ale szybko szepczą:

– Rany, przepraszam, znowu myślałam na głos! Często mi się zdarza. Mogłaby mi pani podać makaron? O taki. – Wskazuję pozycję w menu. – Dzięki. I jeszcze raz przepraszam. Pewnie jak zawsze byłam zjawiskowa, ale i tak strasznie mi przykro.

Kelnerka zwiewa w popłochu, a ja gestem uciszam starszą parę, która wciąż łypie, jakby mnie chcieli zabić.

– Nie macie nic lepszego do roboty? – syczę. – Jakaś gra w golfa, jedzenie suszonych śliwek, śmierć? – Kobieta wygląda na zszokowaną. – Dobrze, przesadziłam. Ale śliwki są bardzo zdrowe.

Spomiędzy liści zerkam na Kaylę. Widzę bok jej twarzy, który dosłownie promienieje. Zamówili już, teraz sączą drinki, a Jack zadaje pytania. Kayla opowiada coś w emocjach, gestykulując żywiołowo, a Jack obserwuje ją w wielkim skupieniu. Po nudzie nie został nawet ślad. Uśmiecha się dyskretnie, gdy Kayla mówi coś śmiesznego, a gdy milknie albo mówi wolniej, jego mina wyraża troskę i zainteresowanie. Czasem wtrąca coś łobuzersko, a wtedy ona się śmieje. Wydaje się, że to absurdalnie zjawiskowe ciało zasiedliła inna dusza. Jest zawodowcem, a jego zawód polega na uszczęśliwianiu kobiet. Jeśli tylko w grę wchodzi pieniądze, to jego prawdziwe powołanie.

Zastanawiam się, czy Sophia wie. Jak wynika z listu, ma świadomość, że on pracuje, ale czy powiedział jej, w jakim charakterze? Wygląda na to, że zarobione pieniądze przekazuje na pokrycie rachunków szpitalnych, więc myślę o jej rodzicach, dlaczego nie ma o nich mowy? Wiem, że państwowe fundusze na leczenie nieletnich nie są ogromne. Jest dobry w byciu... no cóż... dobrym. Robi to od dawna. Jestem pewna, że gdyby Sophia wiedziała, jak zarabia, zmusiłaby go,

żeby przestał. A on nie może sobie na to pozwolić, prawda? Jest chora, a sądząc po tym, co mówiła Avery, jej stan się pogarsza. Jack chce jej zapewnić jak najlepszą opiekę. Naprawdę ją lubi.

Kocha ją.

Przed nimi pojawiają się zamówione dania. Teraz jedzą i rozmawiają. Moja porcja zjawia się wkrótce potem, więc pakuję makaron do ust, nie odrywając od nich wzroku. Nigdy nie widziałam Kayli szczęśliwszej. Jack jest cierpliwy, zabawny i łagodny. Dokładnie taki, jakiego sobie wymarzyła. Spełnia jej pragnienia. Nie jest sobą, ale ona jest zbyt zakochana, żeby to dostrzec.

Bardzo smutne.

Może dlatego on ma tyle żalu w oczach.

A może myśli o Sophii i marzy, żeby to ona siedziała naprzeciwko niego.

Po kolacji zamawiają deser. Jack wstaje, żeby skorzystać z toalety i patrzy na mnie znacząco. Chce, żebym szła za nim. Odczekuję kilka minut, a potem podnoszę się i znikam za cętkowanym szkłem tak, żeby Kayla mnie nie widziała. Modłę się, żeby nikt się nagle nie pojawił i wchodzę do męskiej toalety. Jack opiera się o umywalkę, ramiona ma skrzyżowane na piersi, a po wrażliwości, którą pokazywał Kayli, nie ma śladu. Mam do czynienia z Lodowym Księciem.

– Zawolałem cię na wypadek, gdybyś chciała coś zmienić w moim zachowaniu.

– Nie, jest w porządku. Jest dobrze. – Kiwam głową. – Świetnie ci idzie. Prawdę mówiąc, to aż trochę niepokojące jak dobrze.

– Mówiłem ci, żebyś we mnie nie wątpiła.

– Nie wątpiłam. Po prostu wiem, że nie masz szacunku dla ludzi.

– Mam. Jeśli mi płacą.

Wybucham śmiechem.

– Boże, co z ciebie za przypadek!

– A z ciebie nie? W życiu nie znałem tak upartej, zblazowanej i cynicznej dziewczyny.

– To prawda. Jestem wyjątkowa.

Parska, ale oczy mu pokorniejają. Przez ułamek sekundy jest łagodnym, cierpliwym Jackiem, który mówi:

– Jesteś.

Następnie nachyla się, rozsiewa zapach mięty, płynu po goleniu i mleka kokosowego, pewnie z tego, co przed chwilą jadł, a następnie muska kciukiem moje oszołomione usta. Spogląda mi w oczy, zamiera, jakby nagle do niego dotarło, co robi i gwałtownie odskakuje.

– Co do... – mruczy i patrzy na ręce, jakby nie należały do niego. – Miałaś coś na wardze. Zapomnij o tym, co powiedziałem. Po prostu zapomnij.

Z cudownym przerażeniem obserwuję, jak Jack Hunter, Lodowy Książę z

East Summit High, lekko czerwienieje.

– Czy ty... się zarumieniłeś? – szepczę.

– Nie! Nie czujesz, jak tu jest gorąco? Jak w piekle! – rzuca. – Idę dokończyć zlecenie. Zostań i patrz albo rób, co chcesz, mam to gdzieś.

Wściekł się. I nie lodowatym gniewem, tylko nagłym, wrzącym i płomiennym, obejmującym lodowate oczy i idealne usta jak wykute z marmuru. Wypada z toalety i wraca do stolika. Odczekuję kilka minut i powracam do swojego. Znow się uśmiecha, ale wciąż jest lekko zaróżowiony, a śmieje się głośniejszym i gwałtowniejszym niż wcześniej. Na szczęście Kayli to nie przeszkadza. Jedzą lody migdałowe z jakimiś ciasteczkami. Kayla próbuje go nakarmić, ale on odmawia i zerka w moją stronę, jakby informował, że jeśli każe zjeść to, co ona mu podaje w palcach, będzie musiała dopłacić. Kręcę głową, więc uprzejmie odmawia.

Nie licząc tej małej histeryjki w toalecie (Jack Hunter i histeria! Te pojęcia się wykluczają!), wszystko przebiegło doskonale. Kayla ani razu się nie rozpląkała ani nie uciekła. Jack płaci i podaje jej ramię, a ona się na nim opiera. Mam niejasne przeczucie, że był to najlepszy wieczór w jej życiu. Sama też reguluję rachunek i czekam, obserwując ich przez okno. Stoją na chodniku, skąpani w złotym świetle lampy. Kayla przytula się do jego ramienia, a następnie zerka w górę i o coś pyta. On zamiera na chwilę, ale potem się schyla i ją całuje. Powoli, delikatnie... Ona się z nim stapia. Wyglądają idealnie, dwoje pięknych ludzi na randce, pięknie się całujących. Inni w takiej sytuacji wyglądają jak dwa zmiażdżone prosiaki, wszędzie ślina i języki, ale Jack i Kayla są na to za ładni. Patrzę na nich jak na scenę w filmie. Jestem niemal przekonana, że zaraz odejdą w stronę zachodzącego słońca i będą żyli długo i szczęśliwie.

Ta wizja budzi we mnie... zazdrość?

Owijam serwetkę wokół gardła i na próbę zaciskam. Idealna pętla. Jestem zazdrosna o miłość? Od kiedy? Kiedy mnie to w ogóle obchodziło? Nie obchodzi mnie. To złudna obietnica, fałszywe złoto, coś, co się nie zdarza takim ludziom jak ja. A jednak, proszę bardzo, jestem zazdrosna! Ale nie o Jacka, nie. Ani o Kaylę. Zazdroszczę tylko tej słodkiej miłości, która lśni w jej oczach. Ona wciąż uważa miłość za coś cudownego, wzniosłego, czystego. Nawet jeśli to naiwne, to i tak lepsze niż postrzegać ją jak zatrute bagno, którego trzeba za wszelką cenę uniknąć.

Nie mam już czternastu lat. Nie wrócę do tamtej niewinnej wizji. Odeszła. Na zawsze.

Zazdroszczę Kayli, że nigdy nie została zraniona.

Jasne, Jack dupek nie raz obraził ją swoją bezduszną skłonnością do mówienia w oczy jak jest. I może Avery jej zdradziła, że on ma chorą dziewczynę w szpitalu i to też ją zabolowało. Ale nie została poraniona od środka. Nie wyśmiewano się z niej, nie szarpano, nie popychano.

Jest nadal czysta.

Puszczam serwetkę i zakrywam usta, bo niespodziewanie wzbiera mi w gardle fala wymiocin. To boli. Rana została otwarta i znów pulsuje, a ja wiem, że muszę wracać do domu. Znaleźć ciemne miejsce, zwinąć się w kłębek i spróbować zapomnieć. Chwiejąc się, idę do drzwi, a dzwoneczek za mną świergocze. Słyszę go jak przez mgłę. Wszystko jest zamazane, a ja nie mogę złapać tchu. Próbuję, ale wciągam do ust tylko ogień, który pali mi płuca i toczy całe ciało. Trzęsę się. Może nawet umieram. Masakra, umrzeć w zasadzie bez powodu. Albo z tak głupiego, żenującego powodu jak miłość. Tu Spoczywa Głupia Dziewczynka, Która Zwinęła Się w Jakże Przewidywalny Kłębek Złożony z Paniki i Żalonych Szlochów z Powodu Miłości. PS Kupidyn Wygrał Tę Rundę, Dupek Jeden! To będzie wyryte na moim nagrobku, całym w gołębich kupach, na którym nastolatki będą uprawiać seks, a gdy świat zaleje powódź wywołana globalnym ociepleniem, woda porwie moje kości, dotąd złożone w pozycji embrionalnej, a mój duch zajmie się zawodzeniem...

– Isis. – Przez falę mdłości przedziera się jakiś głos. – Dobrze się czujesz?

Podnoszę wzrok. Widzę nad sobą zamazany wizerunek Jacka.

I z wdziękiem wymiotuję mu na buty.

Dopiero po jakichś dziesięciu minutach haftowania na oczach śmiertelnego wroga dociera do mnie, że pomógł mi wsiąść do swojego samochodu i aktualnie rzygam już nie na krawężniku, tylko wychylam się z przedniego siedzenia jego sedana. On siedzi za kierownicą i stuka w telefon. W krótkiej przerwie między kolejnymi falami wymiotów podnosi wzrok.

– Skończyłaś?

Natychmiast rzucam się do ucieczki, bo chcę dotrzeć do mojego samochodu, wcisnąć głowę do rury wydechowej i paść w objęcia litościwej śmierci, ale on łapie mnie za bluzkę i wciąga z powrotem.

– Daj mi umrzeć! – zawodzę.

– Jeszcze nie. Przydasz mi się.

– Jesteś obrzydliwy, ja jestem zarzygana i nienawidzę wszystkiego, co znajduje się w tym wszechświecie.

– Łącznie z Kaylą?

Przestaję jęczeć, żeby posłać mu zabójcze spojrzenie.

– Właśnie zapłaciłam ci dwie stowy, żebyś ją uszczęśliwił więc to chyba oczywiste, że jest jedynym, czego nie nienawidzę. No, powiedzmy, że jeszcze ciasteczek. I małych kociaków. Ale cała reszta może spłonąć pod lewą pachą Szatana! – Mówiąc to, gwałtownie obracam głowę. – A właśnie. Gdzie ona jest?

– Pojechała do domu.

– Więc ty... też powinienesz jechać. – Powoli stawiam stopę na krawężniku.

– A ja sobie...

Zamierzam uciec i utopić się w najbliższej kałuży sików zostawionych przez

bezdolnego, ale Jack znów wciąga mnie do auta, sięga nade mną i zatrzaskuje drzwi. Ciągnę za klamkę.

– Zablokowałeś! – syczę.

– Siedź, aż się lepiej poczujesz – warczy.

– Czuję się dobrze! Dobrze, dobrze, dobrze, razy szesnaście! – zapewniam. – Patrz! Mogę oddychać. Mogę ruszać nogami! – Robię rowerek. – Mogę machać głową.

Macham dwa razy i Jack w ostatniej chwili otwiera okno, żebym mogła przez nie zwymiotować. Opróżniam żołądek już chyba z ostatnich pozostałości makaronu, oddycham głęboko i wracam do środka.

– Co? Staje ci, jak oglądasz moje żołądkowe fajerwerki? Dlatego mnie tu przetrzymujesz wbrew mojej woli?

– Nie czujesz się dobrze – stwierdza lodowato. – Siedź i odpręż się, aż dojdiesz do siebie.

– Odpręż się! Błagam! Jak mam się odprężyć, skoro obok mnie siedzi najzimniejszy bałwan świata i przemawia, jakby miał serce? To nie na miejscu! To... obrzydliwe! Nie jesteś Jackiem. Jesteś jakimś porąbanym kosmitą z planety Zabadoo, który zabrał jego ciało do waszej imponującej kolekcji pięknych Ziemiaków, przyznaj! – Jack odpala silnik, a ja z całej siły szarpnię za klamkę. – No dalej, ty odporny na urok pyzaty nie mówiący gnoju! Założę się, że nawet dziecko się posra, usiłując do ciebie dotrzeć, ale ty się nie dasz! Ja właśnie wyrzygałam dziesięć litrów treści żołądkowej! Ale dotrę do ciebie, przysięgam! Albo nie i wtedy porwą mnie kosmici. A jeśli tak, muszę powiedzieć, że miło było poznać, ale szkoda, że nie wzięliście pod uwagę niebezpieczeństw związanych z porwaniem pięknych nastoletnich Ziemiaków.

Jack ostro zjeżdża w lewo, a ja walę twarzą w szybę. Szybko zapinam pas.

– Gdzie jedziemy?

– Zabieram cię na randkę.

Od razu żałuję, że go wynajęłam na dzisiejszy wieczór. Oraz że w ogóle żyję. Jack widocznie dostrzega moją panikę, bo wzdycha.

– To twoja pierwsza randka?

– No chyba? Ale nie musisz tego robić, tak? Biorąc pod uwagę, że nawet nie chcesz? A ja nie potrzebuję, skoro nigdy nawet nie chciałam? Randki są dla zakochanych, a ponieważ ja już nigdy się nie zakocham, to naprawdę zbędne.

– Chcę cię przeprosić. Za to, jak się wczoraj zachowałem. To nic osobistego ani romantycznego.

– Ach! – rozpromieniam się, ale jakaś głęboko pogrzebana część mnie flaczeje. Daję temu uczuciu takiego kopa, żeby wyleciało z naszego wszechświata, razem z ostatnim z Zabadooniańczyków. – Aha. Przeprosiny. Niech będzie.

– Rozczarowana?

– Nie chcę cię denerwować, ale moim zdaniem oszalałeś. Doznaję absolutnego przeciwieństwa rozczarowania. Jestem zaczarowana! Olśniona! O niczym bardziej nie marzę niż pójście na nie-randkę z moim najgorszym wrogiem, który właśnie był na randce z moją przyjaciółką, a poszedł na nią, bo mu za to zapłaciłam.

– Trajkoczesz.

– Wiem! Super, nie? Jedź, żebyśmy mieli to jak najszybciej za sobą, kosmito.

Uśmiecha się ironicznie i dodaje gazu.

Rozdział 13

3 lata, 17 tygodni, 5 dni

Jedziemy chyba całą wieczność. I dodatkowe pół wieczności. I ćwierć. Mijamy stare budynki zniszczone od wieku i pokryte strupami graffiti. Kruki walczą o bochenek chleba, który wypadł bezdomnemu. Wielkie neony po chińsku i koreańsku migają kolorami tęczy, a do samochodu wdziera się zapach smażonego kurczaka z sezamem. Zupełnie inny klimat niż czysta, atrakcyjna część miasta, którą właśnie obrzygałam.

– Wieziesz mnie do nielegalnego rzeźnika, żeby sprzedać moje organy? – dopytuję uprzejmie. Jack parkuje i wyciąga kluczyk ze stacyjki.

– Wsiadaj. Musimy kawałek przejść.

Rusza, a ja za nim, po ciemnym chodniku.

– Jeśli chodziło ci o moją wątrobę, wystarczyło po prostu grzecznie poprosić. Na pewno coś byśmy wykombinowali. Na przykład moją pięść w twojej twarzy.

– Jeśli chodzi o ciebie, części ciała nie wchodzi w grę. Ani dzisiaj, ani w przyszłości.

– Czyżby podwójne dno? Dzięki, ale jeśli się jest tak zajebistą istotą jak ja, nie można sobie pozwolić na sypianie z kujonami.

Nieoczekiwanie skręca w prawo, w wąski zaułek. Czyli tutaj czeka mnie koniec, w Chinatown, gdzie zostaną poćwiartowana, a potem wysłana frachtowcem do Chin, żeby zastąpić chorą na marskość wątrobę jakiegoś bogacza. Wytrzeszczam oczy, gdy Jack otwiera maleńkie drzwiczki i schodzi trzy schodki w dół do wnętrza restauracji. Pośrodku jest lada, a w szklanych pojemnikach pyszną się lśniące, rubinowe plastry tuńczyka i blade paseczki innych ryb. Mistrz sushi sieka, kroi w kosteczkę i miesza. W środku jest tylko kilka osób i kelnerka. Niska Japonka z dołczkami w policzkach szybko rusza w naszą stronę.

– Jack!

– Fujiwara-san! – Jack skłania głowę. Ona podnosi ręce i ku mojemu najgłębszemu wstrząsowi szczypie go w policzki jak dziecko.

– Spójrz na siebie! Same kości, żadnego tłuszczu! Nic nie jesz!

– Jem dobrze – upiera się Jack i nawet się nie ogania, gdy ona poprawia mu kołnierzyk. Potem przenosi spojrzenie ciemnych oczu na mnie i uśmiecha się.

– Kto to? Przyjaciółka? Nigdy nie przyprowadzałeś przyjaciół. Już zaczynałam myśleć, że żadnych nie masz.

– Nie jest moją prz... – zaczyna, ale potem rezygnuje. – Fujiwara-san, to jest Isis Blake.

– Ach, Isis-chan! – Pani Fujiwara mi się kłania, a ja odwzajemniam ukłon i prawie przy tym strącam z baru mały bambus. – Miło cię poznać.

– Mnie też jest bardzo miło – odpowiadam.

Odwraca się do Jacka.

– To, co zwykle?

Kiwa głową.

– Zapraszam! – woła i w tradycyjnych drewnianych kłapkach człapie do baru, wskazując dwa stołki. Szybko podaje napoje: dwie filiżanki gorzkiej, ale odświeżającej zielonej herbaty. Wręcza nam menu, klepie mnie po plecach i patrzy prosto na mnie czarnymi, promieniejącymi oczami.

– Smacznego.

– Dziękuję bardzo, na pewno będzie pyszne.

Jack w milczeniu przegląda menu. Azjatycka para siedząca obok nas śmieje się, je i rozmawia po japońsku z mistrzem sushi.

– Jak znalazłeś to miejsce? – szepczę.

– Córka Fujiwary była moją klientką – odpowiada. – Kiedyś mnie tu przyprowadziła. Dają tu najlepsze sushi w Ohio. Ale nie musisz jeść, jeśli nie chcesz. Domyślałam się, że po takim wymiotowaniu nie czujesz się najlepiej.

– Więc po co mnie tu przyprowadziłeś?

Wzrusza ramionami.

– Pomyślałem, że herbata i ciemne, spokojne miejsce dobrze ci zrobią na żołądek.

– Nie w żołądku problem, słowo. Tylko we mnie! Ogólnie! Czy nie wspaniale?

– Ani trochę.

– No więc... Co z tą córką? Widujesz się z nią?

– Wyjechała. Wyszła za mąż za amerykańskiego biznesmena i wróciła do Japonii. – Wyciąga telefon, szuka czegoś i pokazuje mi zdjęcie tłustego, zadowolonego japońskiego dziecka w czapce św. Mikołaja. – Przysyła mi zdjęcia syna.

– Wszystkie tak robią?

Blokuje telefon i chowa.

– Nie. Yukiko była wyjątkowa. Jakoś... rozumiała mnie. Jako jedyna z klientek wzbudziła moje zainteresowanie na dłużej niż pięć sekund. Zostaliśmy w kontakcie.

– Uprawialiście...

– To nie twoja sprawa, ale nie. Wynajęła mnie, żeby zobaczył to jej były chłopak, który nie chciał się odczepić.

– Aha. To w sumie fajne, że spotykasz tyle różnych osób.

Wzrusza ramionami. Mistrz sushi mówi coś do niego po japońsku, a Jack

odpowiada zaskakująco swobodnie i profesjonalnie. Potem zerka na mnie.

– Chcesz coś?

Żołądek głośnym gulgotem przypomina mi, że jest całkiem pusty.

– To. – Dziobię palcem w menu. – Cokolwiek to jest, chcę takie dwa.

Jack parska i powtarza coś mistrzowi, który kiwa głową, zaczyna siekać rybę i przyrządza ryż. Obserwujemy jego pracę, a ja nie wiem co powiedzieć. Jack milczy.

– Przez całe lata gotują ryż – odzywa się w końcu.

– Co?

– Żeby zostać mistrzem sushi, przez wiele lat gotuje się ryż. Dwa lata w tanich barach. Dziesięć w drogich, tradycyjnych restauracjach.

Aż mnie zatyka.

– Chryste! Samo gotowanie ryżu?! Przez dziesięć lat?!

Kiwa głową. Będę patrzyła na ten ryż w całkiem nowym świetle. Musi być zajebicie dobry.

Upijam łyk herbaty i nagle dociera do mnie, że jestem na randce z Jackiem Hunterem. W efekcie parzę gardło. Gwałtownie łapię powietrze, a Jack siarczyście klepie mnie po plecach, na wypadek, gdybym się krztusiła. Kucharz zerka nerwowo, ale Jack macha uspokajająco ręką.

– Dlaczego? – wyduszam.

– Co dlaczego? – Wpatruje się lodowatymi oczami.

– Dlaczego ja?

– Nigdy nie byłaś na randce – stwierdza.

– I co? – łypię złowrogo.

– To. To twoja pierwsza randka. Potraktuj ją jak trening.

– Co mam robić? Gadać o włosach? Czy wypytywać cię o pracę? Moje włosy są nienagane i wiem, gdzie pracujesz.

– Zazwyczaj mężczyzna i kobieta rozmawiają o tym, co naturalnie wypływa w trakcie spotkania.

– A tak. Ale między tobą a mną nie ma nic naturalnego.

– Nieporuszony obiekt napotyka nieokiełznaną siłę – rzuca lekko.

– Dwie niepohamowane siły zderzają się i suną ku krawędzi na spotkanie z nieuniknioną śmiercią – poprawiam go.

– Olej i woda.

– Benzyna i bomby zapalające.

Unosi brew i na znak częściowej zgody upija trochę swojej herbaty. Zaraz potem pojawia się sushi, a ośmiornica, węgorz i tuńczyk rozplývają mi się w ustach. Wszystko tak świeże i pyszne, że prawie nie mogę tego znieść. Podskakuję na krześle i wydaję bezgłośne pomruki.

Jack mi się przypatruje.

– Masz jakiś atak?

– Jestem szczęśliwa! To jest obłądne!

– Jak jesteś szczęśliwa, to się wijesz i wydajesz złowrogie buczenie?

Marszczę czoło, bo mnie speszył. Zaczynam jeść elegancko, ale wtedy on się krzywi.

– Nie chciałem... Nic nie szkodzi! To po prostu... ciekawe. Niemal urocze!

Czuję, jak prąd pełźnie mi w górę pleców i umiejscawia się w mózgu. Urocze. Urocze. Jack powiedział, że jestem...

– Coś w stylu obłąkanego szczenięcia – dodaje. Prąd wyładowuje się i znika, a ja zdaję sobie sprawę, jaką byłam idiotką, licząc, że ktokolwiek mógłby mnie nazwać „uroczą”. Nie jestem urocza. Głośna – jasne. Niegrzeczna też. Ale nie urocza. To na pewno nie.

Sushi znika, więc zamawiamy dokładkę i czekamy.

– No więc – odzywam się. – Jak zacząłeś... No wiesz?

Jack z namysłem pije herbatę, a potem odstawia filiżankę.

– Jest taka operacja. Droga i eksperymentalna. Ale odsetek sukcesów jest spory i mogłaby przedłużyć Sophii życie o kilka lat. A może nawet na dobre pozbawić ją tego świństwa. Brałem podwójne wizyty domowe, żeby zebrać kasę na zaliczkę i prawie się udało. Te dwie stowy, które dostałem od ciebie dzisiaj za Kaylę trafią do puli.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

Wzdycha i odsuwa się od baru.

– Wcześniej pracowałem jako kelner. We francuskiej restauracji w Columbus. Zarabiałem dobrze i pokrywałem wszystkie koszty, ale potem jej się pogorszyło. I pojawiła się możliwość zrobienia tej szwedzkiej operacji. Mimo że zarabiałem niezłe pieniądze, to było za mało, żeby w tak krótkim czasie zebrać dużą sumę. Któregoś wieczoru obsługiwałem stolik założycielki Rose Club, Blanche Morailles. Zaproponowała mi znacznie lepsze warunki z o wiele lepszą kasą. Na tyle dobrą, że w ciągu półtora roku prawie zebrałem kwotę potrzebną na operację. Nie wiedziałem tylko, czy Sophia doczeka, więc... – Pokręcił głową. – Ale na razie jest dobrze. Potrzebuję jeszcze miesiąca i będę miał całą sumę. Musi wytrwać jeszcze miesiąc.

Miałam rację. Robi to, co robi, żeby szybko zarobić. Dla Sophii. Z tego powodu wszystkie te kłopotliwe zabiegi: udawanie, że mu zależy na tych kobietach, całowanie się z nimi, seks. Wszystko dla Sophii. Sączę herbatę, a Jack marszczy czoło.

– Wiem, o czym myślisz.

– Wątpię.

– Że nie powinienem tego robić. Że to złe, niemoralne czy jakie tam.

– Musisz... uprawiać seks z obcymi ludźmi.

– Mówiłem ci, że to się zdarza rzadko. I nikt mnie do tego nie zmusza. Mogę odmówić, jeśli nie chcę.

– Wtedy odmawiałbyś zawsze.

– Jeśli to robię, są zadowolone. I dają mi więcej pieniędzy. A więcej pieniędzy oznacza więcej funduszy na przyśpieszenie operacji. To prosty rachunek. Sypianie z ludźmi jest łatwe – oświadcza krótko. – To nic nie znaczy. Czysto mechaniczne działanie. Nie wymaga ode mnie niczego, czego nie chciałbym dać. Te kobiety są zwykle troskliwe, elokwentne i uprzejme. Czasem bywa trudniej, bo ciągnie je w kierunku mroczniejszych rzeczy, ale umiem się przystosować.

– Wykorzystują cię.

– Za moją zgodą. Więc to nie do końca wykorzystywanie. A jeśli nawet, to ja je wykorzystuję w równym stopniu. Działamy za obopólną zgodą. Jak na tę branżę mam bardzo fajny układ. Nie obsługuję facetów. Blanche nie namawia mnie na męskich klientów, za co jestem jej bardzo wdzięczny. Dobrze się dogadaliśmy. Szybka praca, która może uratować Sophię. Będę to robił, jak długo będzie trzeba.

– Czemu nie poprosisz mamy o pieniądze? Ma dużo. Na pewno chciałyby pomóc.

– Nie. Muszę pomóc Sophii sam. Jestem za nią odpowiedzialny. Ja i nikt inny. Zadbam o nią.

W jego głosie pojawia się zimna determinacja. Na bar wjeżdża druga porcja sushi. Jemy w milczeniu.

– Wszystko w porządku? – dociekam.

– Tak – odpowiada lodowato.

– Pytam, bo trudno powiedzieć, zważywszy, że widziałam kamienie z zatwardzeniem, które wyrażały większe emocje.

– Nie musisz mnie jak idiotka pytać, jak się czuję.

– Próbuję być miła! Straszny z ciebie obesraniec.

– Czasem mam takie marzenia o intelektualnej rozmowie... – wzdycha. Jestem na niego tak wściekła, że podrywam się ze stołka, po to tylko, żeby wpaść na panią Fujiwarę, przechodzącą tuż za mną z tacą herbaty. Wrzącej. Płyn wylewa się na mnie i przecieka przez kurtkę. Piszczę, szybko rozpinam suwak i rzucam ją na ziemię.

– Och, Isis-chan, przepraszam! – wykrzykuje ona. – Tak mi przykro, nie zauważyłam cię, to moja wina.

– Nic się nie stało! – zapewniam. – Naprawdę to ja, jak idiotka, się nie obejrzałam.

– Nie, nie, wina jest moja...

Jack wstaje i we troje zbieramy zawartość tacy, a potem pomagamy posprzątać, chociaż pani Fujiwara się wzbrania i wypuszcza niekończący się potok przeprosin. Mamrocze coś, że nam to wynagrodzi i znika za podwójnymi drzwiami

prowadzącymi do kuchni. Siadamy z Jackiem i wszystko się uspokaja, a ja dopiero po półminucie zdaję sobie sprawę, że nie mam na sobie kurtki.

Różowa bluzka. Całkiem o niej zapomniałam. Lśni i podskakuje przy każdym ruchu. Obnaża ramiona. Przez przezroczysty materiał prześwituje stanik w kropki. Wyglądam głupio. Czuję, że wszyscy się na mnie gapią i wiem, że wyglądam idiotycznie, brzydko i że to do mnie w ogóle nie pasuje.

Jack zamiera z filiżanką unoszoną do ust. Patrzy na mnie, przygląda mi się, stopniowo i z namysłem.

Zaczynam wkładać mokrą kurtkę, ale on wyciąga rękę, żeby mnie powstrzymać.

– Co robisz?

– Tak nie może być – syczę. – Nie chciałam... Nie zamierzałam jej zdejmować. Wyglądam głupio.

– Nie! – wtrąca. – W ogóle nie.

– Po prostu... – Znów sięgam po kurtkę.

– Jest piękna – mówi łagodnie, a potem odchrząkuje. – Wyglądasz.... pięknie.

Stalowa pięć zaciska mi się na sercu, gardle i żołądku, a potem puszcza. Słodkogorzka fala płynie przez moje ciało jak ogień. Najpierw się nią rozkoszuję, potem robię się podejrziwa, a wreszcie dociera do mnie, co się naprawdę dzieje.

– Już wiem! – uśmiecham się. – Jeszcze nie wyszedłeś ze służbowego trybu po spotkaniu z Kaylą. Jasne, rozumiem. Trudno rozdzielić życie i pracę. Ale i tak dzięki za komplement. Założę się, że gdybym była klientką, musiałabym zapłacić z dziesięć dolców, żeby go usłyszeć, co? Ale dostałam go za darmo! Mistrzynie oszczędności!

– Isis...

Przerywa mu pani Fujiwara z nową porcją przeprosin, a także tacą maleńkich ciasteczek, większych ciastek i z czarkami lodów z zielonej herbaty. Wkładam kurtkę i zapinam aż pod szyję. Przez cały czas radośnie konwersuję z Fujiwarą, opowiadam, jakie pyszne było sushi, pytam, gdzie kupuje ryby i wypytuję o tajne sposoby usuwania plam po zielonej herbacie. A także dziękuję jej za łakocie. Jack w milczeniu podjada ciastka, a na koniec Fujiwara przynosi mu rachunek.

– Złożmy się po połowie – proponuję i nachylam się, żeby sprawdzić cenę. Na jej widok oczy niemal wyskakują mi z orbit. Jack macha kopertą z pieniędzmi, które ode mnie dostał.

– Już się złożyłaś.

Na parking pod Red Fern wracamy w milczeniu. Grzebię w telefonie, żeby nie widzieć pobielających od zaciskania na kierownicy palców Jacka.

– Pewnie jesteś zmęczony – mówię, gdy parkujemy i wysiadam. – Odpocznij, dobra? I dzięki za randkę pokazową. Nie, żeby miała mi się do czegoś

przydać, ale było miło. Dobrze się bawiłam. Poniekąd.

– Będziesz się bawiła jeszcze lepiej – odpowiada Jack. Ręce ma w kieszeniach, a w oczach ból. – Pójdiesz na jeszcze wiele randek, z innymi chłopakami. Porządny. I będziesz się dobrze bawić.

Kręcę głową.

– Nie pójde. Mówiłam ci. To nie dla mnie.

– Dla ciebie – upiera się. – Któregoś dnia się zakochasz.

Wybucham śmiechem.

– O nie. Nigdy więcej. Minęły trzy lata i minie jeszcze sto. Jedź ostrożnie, dobra?

Obracam się na pięcie i ruszam do auta. Mogłabym przysiąc, że czuję na dłoni muśnięcie palców, ale tylko przez moment. Zresztą, może to był tylko wiatr. Nie odwracam się. Jadę do domu. Zaglądam do mamy, na szczęście śpi spokojnie. Jak najszybciej ściągam bluzkę od Chanel i wrzucam na dno szafy, żeby tam zgniła.

Piękna...

Z jednej strony chcę ją złapać. Przyciągnąć. Zatrzymać. Z drugiej wiem, że zniechędziłaby pierwszego chłopaka, który by to zrobił po tak długiej przerwie.

A z trzeciej strony boję się. Jej pewności. Przekonania, że już nigdy się nie zakocha. Tego, jak ładnie wyglądała w tej koszuli. I smutku, z jakim mi wmawiała, że wcale nie miałem na myśli tego, co powiedziałem.

Boję się uczuć, które się we mnie rodzą.

Od dawna nie czułem nic nowego do nikogo nowego.

Być może nie udałoby mi się jej przekonać, że ze świata nie zniknęła wrażliwość. Ale przynajmniej mogę sprawić, że się uśmiechnie. Choćby tylko na chwilę.

Rano zastaję w komórce esemesy od Kayli pełne uśmiechniętych buziek i wykrzykników, którymi okrasza opis randki: jaki Jack był miły, jakie dobre jedzenie jedli i jak ją pocałował, jakby naprawdę był w niej zakochany. Zamierza zaprosić go w poniedziałek na kolejną randkę i milionkrotnie dziękowała mi za to coś, co zrobiłam, żeby go skłonić do umówienia się z nią.

Mama siedzi przy stole i sączy kawę.

– Dobrze spałaś? – pytam.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Całkiem dobrze. A ty chyba wróciłaś późno, bo cię nie słyszałam. Dobrze się bawiłaś?

Przypominam sobie bar i pyszne sushi. A także rozlaną herbatę, rzyganie i łagodne oczy Jacka.

Piękna.

– Tak. – Zmuszam się do uśmiechu. – Było fajnie.

– Jacyś chłopcy?

– Tylko jeden.

Mama figlarnie unosi brew i uśmiecha się.

– Naprawdę? Tym razem nie dziesięciu? Jeden? To musi być ktoś wyjątkowy. Opowiesz coś więcej?

– Ale nic się nie stało! Po prostu... To tylko chłopak.

– Alkohol?

– Nawet szklaneczki sake.

– Czyli byłaś na sushi. Z chłopakiem? Brzmi bardzo podejrzanie, młoda damo. Zabezpieczyłaś się?

– Mamo! – krzyczę i robię się czerwona. – Powtarzam ci po raz kolejny: chłopcy mają wszy i się nie myją. Nikt ich nie lubi z wyjątkiem innych chłopaków i ludzi z zaburzeniem powonienia.

– Czyli mam się spodziewać, że w najbliższym czasie przyprowadzisz dziewczynę? Postaram się udawać zszokowaną – uśmiecha się.

– Nikogo nie przyprowadzę! – jęczę. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nie wszyscy w moim wieku mają obsesję na punkcie tego idiotyzmu zwanego umawianiem się. Niektórzy mają życie! I wyższe cele niż taplać się w błocie z rówieśnikami. Muszę złożyć podania do college'ów! Mam koleżanki, z którymi spędzam czas. I całe życie do zaplanowania!

– Skoro tak twierdzisz – mówi mama. Stawiam patelnię na gazie, wyciągam z lodówki kilka jajek i bekon. Czuję na plecach jej spojrzenie, wiem, że mnie obserwuje i duma nad tym, jaka już jestem duża czy nad inną bzdurą, typową dla rodziców. Kuchnię wypełnia zapach skwierczącego bekonu. Za oknem świergoczą ptaki, a przez zasłony przebija się słońce. Jest pięknie.

Piękna.

Dostaję gęziej skórki, gdy przypominam sobie jego głos. Prawie wypuszczam z rąk patelnię i w ostatniej chwili ratuję śniadanie przed wylądowaniem na podłodze. Niech go szlag! Nawet, jeśli nie miał złych zamiarów, te słowa utkwily mi w myślach jak oset.

A już najgorsze ze wszystkiego jest to, że nawet nie mogę się zemścić! Bo wojna skończona.

Wiem, bo Kayla wyglądała na szczęśliwą. A skoro ona jest teoretycznie zaspokojona, nie mam już powodu do atakowania go, chyba że zrobiłabym to z powodu ogólnej antypatii albo z nudów. A to niskie pobudki. Tak niskie, że nawet nie wiem, czy potrafiłabym się zaangażować w wojnę, mając tylko je.

Więc to koniec.

Powinam być szczęśliwa. Jakoś tam wygrałam. A może był remis, z szalą minimalnie przechylającą się na moją korzyść? Czy też to słowo, koszmarne nie na miejscu, które do mnie wypowiedział, oznacza, że on wygrał? Zresztą, czy to

ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie, kto wygrał? To już koniec i nie mam już na co czekać. Nic mi nie zostało do planowania, żadna strategia do ustalenia. Tylko ziejąca pustka w miejscu, w którym wcześniej była wojna. Przyzwyczaiałam się do tego, do wymieniania kąśliwych uwag, ilekroć mijaliśmy się na korytarzu, do wyzywania go. Już nawet nie pamiętam, jak było normalnie. Mam się do niego uśmiechać? Nie, to byłoby odstręczające i totalnie obrzydliwe. Tak się zachowują inne dziewczyny.

Do wieczora zajmuję się zgłoszeniami do college'ów. Przyglądam im się: Seattle, Oregon... A tak naprawdę wiem przecież, że złożę tylko jedno, do Redfield. Jest najbliżej. Jedyne stamtąd będę mogła doglądać mamy, a jednocześnie studiować. Nie mam rodzeństwa i tylko ja jej zostałam. Nie zostawię jej, nie skrzywdzę jak wszyscy inni. Z kasy na podróż do Europy zapłaciłam za wczorajszą randkę Kayli. Już w zasadzie i tak pożegnałam się z tym marzeniem.

Ale tak powinno być. To właściwy wybór. Może nie ten upragniony przeze mnie, ale właściwy. A tylko to się liczy.

Patrzę na nadgarstek. Błede ślady zostaną tu na zawsze, wypalone papierosem Bezimiennego. Mama nigdy ich nie widziała. Jestem ostrożna, jak ludzie, którzy się tną. Czytałam na ich forach w internecie, jak ukrywać ślady: zawsze długie rękawy, frotki na nadgarstkach i szerokie, masywne bransoletki. Widziała je tylko Kayla. I potraktowała z należnym szacunkiem, nie wnikała, nie dopytywała. Jest tutaj moją jedyną przyjaciółką.

I zasługuje na szczęście.

Rozdział 14

3 lata, 19 tygodni, 0 dni

Jack Hunter powiedział, że jestem piękna. Płynie z tego jeden wniosek.

Jack Hunter zginie.

A przynajmniej będzie płakał jak przerośnięte dziecko.

Nie jestem wybredna.

Zbyt wiele razy przekroczył granicę. Zbyt często mącił mi w głowie. Granica między nami wyblakła i zatarła się, więc muszę ją narysować od nowa, starannie, grubą warstwą farby, co pewnie potrwa wiele godzin i będą mnie potem bolały plecy, ale naprawdę, nie miał prawa mnie całować ani zabierać na randkę, nawet jeśli jedno ani drugie nie było prawdziwe, a już na pewno i zdecydowanie nie miał prawa nazywać mnie piękną bez mojej wyraźnej zgody. Nie prosiłam się o to, o to wielkie, grubymi nićmi szyte kłamstwo. A kłamstwa są karane śmiercią. W każdym razie powinny być. Z wyjątkiem moich, oczywiście. Bo ja też dużo kłamałam. Mamie, tacie. Sobie samej. Mogłabym zostać za to skazana na wygnanie. Na Hawaje.

Parkuję i wzdycham tak głośno, że odbija się echem w moim aucie. Może wojna się skończyła, może jestem wycieńczona, ale muszę się na nim odegrać jeszcze ten raz. Jeszcze jeden, za igranie z moimi uczuciami. Choć oczywiście mi się nie udało. Co najwyżej trochę się z nimi zabawił, a ja przez cały czas wiedziałam, że to lipa, więc w sumie tak naprawdę nic się nie stało. Ale jednak. Sam fakt, że w ogóle wypowiedział te słowa, zasługuje na małą karę śmierci.

A poza tym Jack chodzi teraz z Kaylą.

Wysiadam z samochodu i ruszam do gabinetu dyrektora Evansa.

Pierwszego dnia Kayla wzięła Jacka za rękę, a on jej pozwolił i szli razem korytarzem, a wkoło rozlegał się dźwięk łamanych żeńskich serc. Dziewczyna od wierszy spaliła swój notes. Płaczka z kółka dramatycznego odstawiła najdramatyczniejszy szekspirowski monolog, jaki nauczyciel kiedykolwiek widział. Ta od rzeźby prawie zniszczyła swoje dzieło, ale nauczycielka plastyki przekonała ją, żeby zostawiła je na jakiś czas i wróciła, kiedy będzie w lepszym stanie. Większość nauczycielek poszła na zwolnienie. Pewnie łkają nad kubelkami lodów i oglądają *Seks w wielkim mieście*.

Przed pierwszym dzwonkiem widzę tę legendarną już parę. Siedzą na ławce. Kayla całuje Jacka w policzek, a on kiwa głową. Tylko kiwa, nie uśmiecha się. Nie dziękuje, nie odwzajemnia pocałunku. Po prostu ją toleruje. Ale Kayla tego nie zauważa.

Spada na nią grad złowrogich spojrzeń, więc biorę na siebie obowiązki jej osobistej ochroniarce. Nie mówię o tym głośno. Ale tak jest. Bodyguardka Kayli. Oraz jej cudownych piersi. Ona jest tak zakochana, że nie dostrzega niczego, więc ja muszę ciągnąć za włosy, ostrzegawczo wymachiwać pięścią i udaremnić skrytobójczy atak. Albo i pięć. Evans nie jest zadowolony.

Jego sekretarka, już przyzwyczajona do mojej zjawiskowej obecności macha ręką, żebym weszła. Rzucam plecak na podłogę i wskakuję na fotel.

On kładzie ręce na biurku i wzdycha.

– Prace są tutaj.

Przysuwam bliżej stos papierów i wyciągam pióro. W zamian za to, że mnie nie wyrzuci za bicie ludzi, jak w poprzedniej szkole, pomagam mu oceniać prace domowe z matematyki. Jakoś się dowiedział, że to jedyna rzecz, w jakiej jestem dobra. Pewnie od pani Gregory, donosicielki jednej. Wiedziała, że powinnam na jej lekcjach udawać idiotkę. Ale za późno, teraz muszę tu siedzieć i sprawdzać zadania, podczas gdy Evans udaje, że ani trochę nie ocenia moich umiejętności. Zwykle pije kawę i odpowiada na maile, ale dzisiaj na mnie patrzy. Przelatuję przez kolejne arkusze, stawiam małe ptaszki przy prawidłowych odpowiedziach, a przy złych dopisuję dobre rozwiązanie. Pierwszego dnia dał mi ściągawkę z rozwiązaniami, ale nie chciałam. Później sprawdził moją pracę z tym gotowcem. I już nigdy mi go nie podsuwał.

– Jesteś w tym dobra.

– A tak.

– Ale test kompetencji poszedł ci słabo. Dlaczego?

Parskam.

– Hmm, no właśnie, dlaczego? Może dlatego, że nie zjadłam rano śniadania! Albo miałam atomową biegunkę! Wiem! A może dlatego, że przechodziłam załamanie psychiczne? Ważyłam prawie trzydzieści dziewięć kilo więcej i miałam chłopaka... – ostrożnie! – ...z problemami. Nastolatek z problemami! Proszę sobie wyobrazić!

Patrzy wściekle i upija trochę kawy. Oboje wiemy, że nie wybaczyłam mu akcji ze zdjęciami i że nigdy nie wybaczę.

– Powinnaś podejść do testu jeszcze raz – proponuje. – Jest czas na składanie podań na studia. Mogłabyś uzyskać dobre wyniki.

– I jeszcze bardziej poprawić statystyki pana szkoły – mamroczę, a on marszczy czoło.

– Daj spokój, Isis. Przecież nie chodzi tylko o reputację. Każda szkoła byłaby uszczęśliwiona, mając uczennicę z taką łatwością przyswajającą przedmioty ściśle. A z twojej karty ocen wynika, że z angielskiego też jesteś niezła. Z takimi ocenami z testu mogłabyś pójść na naprawdę prestiżową uczelnię. Zrobić coś dla siebie, załatwić sobie świetny start w dalsze życie.

– Redfield University zupełnie mi wystarczy.

Pan Evans wybucha śmiechem, ale milknie, gdy do niego dociera, że nie żartowałam.

– Ty mówisz poważnie?! Miałem na myśli politechnikę MIT albo Uniwersytet Kalifornijski! Redfield to miejsce dla ludzi, którzy nie mają szans dostać się nigdzie indziej. Mogłabyś robić, co zechcesz! Studiować na każdej uczelni w kraju! A może nawet za granicą! Są programy w Chinach, Brazylii, nawet w Europie!

Krzywię się na dźwięk tego ostatniego słowa i gryzmołę poprawną odpowiedź.

– Nie lubię podróżować. W drodze spotyka się mnóstwo nieuprzejmych ludzi i trującego jedzenia.

Evans milknie i w ciszy przygląda się, jak pracuję. Nie podnoszę wzroku, ponad wszystko chcę zignorować jego spojrzenie. W końcu odwraca się do komputera i zabiera się za maile.

W czasie przerwy na lunch dosiada się do mnie Wren. Kayla już od dawna ze mną nie jada, bo okupuje pusty dotychczas stolik Jacka. Próbuje nakarmić go zupą, a on się krzywi. Ale ona tylko się śmieje. Widzi, że na nich patrzę i macha mi z uśmiechem. Jack też na mnie spogląda, ale wtedy szybko odwracam wzrok i oddaję się jedzeniu takiej samej jak zwykle kanapki z galaretką i masłem orzechowym. Wren wpatruje się w nich swoim badawczym wzrokiem.

– Czyli to prawda? Faktycznie ze sobą chodzą?

– Teraz się dowiedziałeś?!

Wzrusza ramionami.

– Od paru tygodni siedzę ciągle w biurze samorządu. Termin ustalania budżetów. I szkolę Mirandę, żeby umiała mnie zastąpić, jak w przyszłym roku odejdę. Poza tym wczoraj ktoś się włamał do banku żywności, a nie stać ich na nowy zamek, więc musiałem się uśmiechnąć do ojca Arnolda, który jest ślusarzem... – Dostrzega mój bezmyślny wzrok i wzdycha. – Przepraszam, gadam o zupełnie nieciekawych rzeczach.

– Właśnie. Ale to nie znaczy, że nie współczuję. Zdaje się, że to ostra jazda.

– Zwykle obowiązki szefa samorządu. – Uśmiecha się blado. Zerka na stolik, przy którym Kayla zaśmiewa się z czegoś, co powiedział Jack. Potem szybko, niemal ze wstydem, odwraca wzrok.

– Lubisz ją – stwierdzam. To nie jest pytanie. Jestem prawie pewna, że Wren się spieszy albo zmieni temat, ale on jeszcze raz spogląda na Kaylę i kiwa głową.

– Tak.

– Avery przez jakiś czas ci ją wpychała w ręce.

– Żeby zdobyć fundusze na swój klub. Wiem, co jej chodzi po głowie. Ale ja... – Widzę jego tęskny wzrok, gdy ponad moim ramieniem patrzy na Kaylę. –

Kayla się mną interesowała, bo Avery jej kazała. Ale ja starałem się wyprzeć tę świadomość i skupić się po prostu na tym, że zwracała na mnie uwagę. Mówiła do mnie, słuchała mnie, śmiała się ze mną. Chociaż nigdy wcześniej nawet mnie nie zauważała. Próbowałem... udawać, że robi to, bo chce, nie dlatego, że Avery ją zmusza.

Milknie, a ja łapię go za rękę.

– Cholera. Przykro mi.

– To nic – uśmiecha się. – To znaczy nie, nie nic. Ale jeśli jest szczęśliwa...

– Znowu na nią patrzy. – Przeżyję.

– Fajny z ciebie facet.

– Nie! – Teraz wybucha śmiechem. – Głupi ze mnie facet. A z Jacka przerażający. Więc patrzę sobie na nich z daleka i pilnuję, żeby jej nie zrobił krzywdy. Nawet, jeśli to psychopatyczne i żalodne.

– Wcale nie. To rozsądne.

– Avery też jest wściekła. – Wskazuje głową na stolik, przy którym zasiadło stadko modnie ubranych dziewczyn, chcących się do niej dopasować. Avery patrzy na Kaylę z nienawiścią i z nieuzasadnionym entuzjazmem wbija widelec w sałatkę.

– Czemu?

– Bo Kayla już ze mną nie rozmawia. Nie udaje, że flirtuje. Avery przyszła do mnie dzisiaj rano i próbowała sama to zrobić, ale się nie dałem. Podejrzewam, że Kayla przestała już wykonywać jej rozkazy.

Uśmiecham się, a duma rozpiera mi pierś.

– Robi się coraz silniejsza.

– Tak... – mruczy Wren. – Ale za jaką cenę? A co, jeśli Jack...? Jeśli on...

Odgryza kawałek burrito i nerwowo przełyka.

– Co on takiego zrobił? Daj jakąś wskazówkę. Małą, maleńką, całkiem niewidzialną... – Wren milczy i tylko łypie spode łba. – Avery mi powiedziała, że wynajęła chłopaków z firmy jej rodziców. I że nienawidziła Sophii. Po co ich wynajęła? Wiem, że wiesz. Wiem, że tam byłeś, kiedy to się stało.

Wzdryga się.

– Avery kazała mi wszystko sfilmować. Tylko dlatego tam byłem. Jako przewodniczący kółka filmowego miałem dostęp do kamer, więc mnie przekupiła. Chowałem się w krzakach i filmowałem.

– Co? – szepczę.

Zanim zdąży odpowiedzieć, dzwoni dzwonek. Podrywa się i wychodzi, a na jego twarzy maluje się wstyd.

Dołączam do Jacka i Kayli w drodze na następną lekcję. Na dziewczynę, którą podejrzewam o dokonanie aktu zemsty, łypię z wściekłością, a ona czmycha, z dłonią pełną pianki do golenia. Tak jest, odejź. Dzisiaj na ślicznej twarzy Kayli nie zobaczymy pianki, dziękuję ze uwagę. A jeśli jednak zobaczymy, to później

sama cię ogolę. Do kości.

– Grozisz ludziom na głos – ostrzega bardzo poważnie Jack.

– W ramach PR-u – ćwierkam. Kayla się śmieje i bierze mnie pod rękę.

– Idę między dwiema moimi ulubionymi osobami na świecie. To niesamowite! Wy jesteście niesamowici.

Uśmiecham się do niej niewinnie, a ona roztrzepuje mi włosy. Jak mogłam być kiedykolwiek zazdrosna o taką słodką, niewinną dziewczynę? Wstydzę się, a w górę gardła pełnie mi poczucie winy. Zasłużyła na lepszą przyjaciółkę niż ja. Zasługuje na zamki, pałace i wszystkie bajkowe szczęśliwe zakończenia, jakie jeszcze istnieją na tym plugawym świecie. Powinny należeć do niej.

Całuje Jacka w policzek i idzie na chemię. My stoimy pod drzwiami, choć mamy lekcje gdzie indziej, ale z jakiegoś niezbywalnego powodu tkwimy tutaj.

Pierwszy odzywa się Jack, choć na mnie nie patrzy.

– Jesteś szczęśliwa.

– Ogólnie rzecz biorąc, tak.

– Nie. Nie ogólnie. Ogólnie jesteś smutna, ponura i ukrywasz to za murem żartów i obłąkańczych wybuchów. Jesteś jak ogień, ale mizerny. Wszyscy to widzą. – Już otwieram usta, żeby zaprotestować, ale mówi dalej: – Ogień wybucha jasnym płomieniem, tylko kiedy jesteś z Kaylą. Kiedy ona jest szczęśliwa i się do ciebie uśmiecha, płoniesz. Ogień migocze, płonie jasno, zdrowo. Uszczęśliwia cię.

– Jest moją pierwszą przyjaciółką.

– Tak myślałem.

– Czemu zdradzasz z nią Sophię?

Nie krzywi się, ale widzę w jego oczach załazek bólu.

– Nie zdradzam. Odwiedzam Sophię co tydzień....

– Jesteś jej chłopakiem?

Teraz w jego oczach dostrzegam groźbę.

– Byłem. Kiedyś. Teraz nie ma nikogo oprócz mnie, więc robię dla niej, ile mogę.

– Czy to oznacza, że tak?

– Dlaczego myślisz, że zasługujesz na odpowiedź? – warczy.

– Po prostu na ciebie uważam, Casanova! A jak przypadkiem palnę coś Kayli na temat tego, kim jest Sophia? Będzie załamana, jeśli się dowie, że umawiasz się z dwiema dziewczynami...

– Nie umawiam się – protestuje, a wzrok ma lodowaty jak stal. – Sophia i ja... To skomplikowane. Ale nie łączy nas nic z tych rzeczy. Już nie.

– Ale ją kochasz.

– Tak – przyznaje bez namysłu. – I zawsze będę kochał.

Jego pewność mnie dziwi. Faceci nie mają silnej woli. W każdym razie żaden, jakiego znam. No, z wyjątkiem Wrena, ale on jest dinozaurem. A jeszcze

mniej potrafi kochać dziewczynę na tyle mocno, żeby uczucie przetrwało, gdy nie są już razem. Związek Sophii i Jacka musiał być niezwykle.

Znów odzywa się zazdrość. Nigdy się nie dowiem, jak to jest, kochać kogoś tak bardzo. Nigdy. Kręcę głową.

– Ale czemu tak nagle zacząłeś się umawiać z Kaylą? – dopytuję. – Myślałam... Mówiłeś, że ci się nie podoba. Że jest irytująca. Więc po co te randki?

Piorunuje mnie spojrzeniem pełnym lodu. Włosy wpadają mu do oczu. Nie odpowiada, odwraca się na pięcie i odchodzi, a tłum się przed nim rozstępuje. Dla niego.

Isis popatrzyła na mnie tymi swoimi ciepłymi oczami pełnymi mahoniowych płomieni i spytała, po co te randki.

Ona nie wie. Sam nie mogę w to uwierzyć. Ale postępuję słusznie.

Nie ma pojęcia, że się rozpromienia, gdy Kayla się śmieje. Patrzy na szczęśliwą Kaylę i na jej twarzy odmalowuje się podświadomy, łagodny uśmiech. Jest jedną wielką radością, gdy się razem śmieją. Może Kayla przypomina jej, jaka kiedyś była: naiwna i niewinna.

Ale gdy przekrzywia głowę i czeka na moją odpowiedź, nie zdaje sobie sprawy, że jest równie niewinna jak ona. Nikt jej nigdy nie kochał. Tylko ona obdarzała miłością. Nie przychodzi jej do głowy, że ktoś taki jak ja, mógłby się umawiać z jej przyjaciółką, żeby tę przyjaciółkę uszczęśliwić, co w konsekwencji uraduje i ją. Dopóki Kayla będzie mogła mnie całować w policzek, gadać o *Vogue* i Nicki Minaj, Isis będzie się uśmiechać. Naprawdę i szczerze. Uśmiechem pozbawionym bólu i goryczy. Naprawdę nie wierzy, że ktoś mógłby ją polubić na tyle, żeby ją pocałować, a już na pewno zrobić coś, co wywoła jej uśmiech. W jej pytaniu nie ma obłudy. Ona zwyczajnie nie ma pojęcia, jak to jest być kochaną.

Miłość? Marszczę czoło i wymazuję to słowo istniejącym tylko w moich myślach piórem. Ale gdy się od niej oddalam, pojawia się odpowiedź zbyt trudna, żeby ją zwerbalizować, a przymus odwrócenia się i spojrzenia na nią, zaczyna mnie przerastać.

Oto dowód.

Zimny, niezbywalny fakt, którego nie wymaże żadne mentalne pióro.

Kiedy to się stało? Tak totalnie głupio i przewidywalnie? Nowa dziewczyna, nakręcona, rozwrzeszczana, jakby na niesłabnącym cukrowym haju, wparowała do miasta jak trąba powietrzna i domagała się mojej uwagi. Prowokowała do walki. Oczekiwała wszystkiego, z wyjątkiem tej jednej rzeczy, która zaczynała się we mnie rodzić.

Muszę się tego pozbyć.

Sadzonka jest jeszcze młoda. Jeszcze nie zakwitła, a korzenie nie oplótły się wokół mojego serca. Jeszcze mogę to powstrzymać. Nie jest za późno. Sophia wciąż kwitnie w mojej piersi. Tylko ona powinna mieć znaczenie. Od poczucia

winy aż mnie mdli. Sophia. Zdradzam ją, prawda? Praca to nie jest niewierność, nie pokochałem żadnej z tych kobiet. Ani trochę. Traktowałem je jak krowy, które trzeba wydoić, żeby zarobić i już. Kocham tylko Sophię. Sophia zawsze była. Sophia jest chora i mnie potrzebuje. Nie mogę jej porzucić ani odejść. Ma tylko mnie. To nigdy nie był problem, bo żadna dotąd dziewczyna nie zwróciła na siebie mojej uwagi. Ale teraz...

Coś mnie rozdziera od środka, ostre, ząbkowane ostrze.

Już za późno.

Jestem idiotą, już za późno.

Avery zaprosiła Kaylę i mnie na swoją halloweenową imprezę na sobotę. Mam pewne obawy, zwłaszcza że Avery za dużo się uśmiechała do Kayli, jak przekazywała nam zaproszenia, ale pójdę, choćby po to, żeby zadbać, żeby Kayli nie spotkało nic złego. A ponieważ zaproszone są popularne laski, które od zawsze leciały na Jacka, muszę być potrójnie czujna. Będę cichym obrońcą Gothamokayli.

– Idziesz w tym? – parska na widok mojego obcisłego, lateksowego kostiumu Dziewczyny Batmana. Krzywię się i poprawiam szew, który paskudnie mi się układa między nogami.

– To symbol mojej wiary w sprawiedliwość – oznajmiam i wyciągam zza paska gwiazdę Batmana. Kayla się śmieje i unosi mi brodę. Przebrała się za syrenę. Ma spódniczkę z ogonem, który się za nią ciągnie i stanik z błyszczących muszli. W ciemne włosy powpinała mniejsze muszelki. Makijaż jest zielono-niebieski, z dużą ilością brokatu.

– Więc przynajmniej się nie ruszaj, umaluję cię.

– Zrób tak, żebym wyglądała jak prawdziwy nietoperz.

– Faj! Nie ma mowy!

– Narysuj mi wielkie ssawki, takie, jak mają te dziwaczne wampiry z Afryki.

– Przestań!

– Wysmaruj mi twarz guanem.

– Teraz już przesadziłaś. To obrzydliwe i na dodatek rozmazujesz eyeliner.

Siedź spokojnie!

Śmieję się i pokazuję, jak zapinam usta na zamek, a ona oddaje się pracy. Delikatnie rozsmarowuje mi cień na powiece, nakłada pokład i maluje usta błyszczkiem.

Po jakimś czasie wydaję jęk:

– Tyle makijażu nie mają na sobie nawet trupy w otwartych trumnach!

– Cicho. Prawie skończyłam.

W końcu otwieram oczy i widzę w lustrze nieznaną dziewczynę. Makijaż smoky i różowy błyszczek sprawiają, że wyglądam...

– Pięknie! – Kayla aż klaszcze w dłonie.

– Niezbyt brzydko – poprawiam ją. – Makijaż jest cudowny, tylko moja

twarz go psuje. Przykro mi, że nie miałaś lepszego materiału do pracy.

– Zamknij się wreszcie! – Daje mi klapsa w rękę. – A teraz chodź, bo się spóźnimy.

Łapie torebkę i kluczyki, a po drodze zakrada się na palcach do gabinetu ojca. Po zaledwie kilku sekundach wypada z wyglądającą na drogą butelką whisky i piszczy:

– Szybko, szybko, uciekamy!

Ja też piszczę, choć jak słowo daję, nie wiem dlaczego i wybiegam za nią na zewnątrz, a moja peleryna unosi się na chłodnym październikowym wietrze. Niebo ma kolor stali i jest całe wypchane deszczowymi chmurami. Gdy wjeżdżamy na przystrojony lampionami z dyni podjazd Avery, spadają pierwsze wielkie krople. Po całym domu porozwieszane są czarne i pomarańczowe światełka, a na kuchennym blacie stoją misy z ponczem pomarańczowym, dyniowymi ciasteczkami i ciastem cynamonowym. Dziewczyny są poprzebierane za seksowne kociaki, pielęgniarce i wiedźmy. Chłopcy mają stroje futbolistów, prezydentów i raperów obwieszonych nedorzecznie grubymi złotymi łańcuchami. Przybijam piątkę gościowi, który przebrał się za Pac-Mana, bo tylko on wykazał się kreatywnością.

Zjawiają się coraz to nowe osoby, a liczba butelek z alkoholem najpierw się podwaja, a potem potraja. Zapada zmrok, dyniowe lampiony przed domem świecą złowrogo, a w koronach drzew szaleje wiatr. Chłopcy straszą dziewczyny, dziewczyny piszczą, ktoś włącza muzykę, a potem nareszcie pojawia się Avery. Schodzi po schodach w olśniewającej balowej sukni godnej księżniczki. Na perfekcyjnie ułożonych rudych lokach ma tiarę.

– Wyglądasz cudownie, Ave! – krzyczy Kayla. Avery obdarza ją uśmiechem zapożyczonym od rekina, ściskają się i całują w policzek, jak to często robią dziewczyny. Następnie Avery mnie lustruje i wybucha śmiechem.

– A ty przepraszam za co się przebrałaś? Za utopionego szczura?

– Za Dziewczynę Batmana, bezbożnico.

Avery wzdycha.

– Jednak dobrze, że cię zaprosiłam. Po tej akcji z fontanną okazało się, że jesteś laską, która na własny koszt rozkręca imprezę. Nie przejmujesz się, że wyglądasz jak idiotka, nie? Lubisz robić z siebie błazna? Świetnie. Rób to dzisiaj. Ile wlezie.

– Zapomina się pani, wasza wysokość – syczę. – Nie przyjmuję od ciebie rozkazów, więc możesz sobie wsadzić w dupę to plastikowe berło. Baw się dobrze w kiblu, jak będziesz robić kupę.

Kayla powstrzymuje śmiech, aż Avery z oburzeniem odchodzi, ale potem wybucha.

– Widziałaś jej minę?!

– Niestety, to nie wystarczy na długo. Ona żywi się ludzkim bólem i żalnością, a sądząc po tym, jak wszyscy wyglądają... – Rozglądam się po gościach, którzy dopiero zaczynają być wstawieni. Jakiś chłopak rysuje na latarence z dyni penisa, a dziewczyna ściąga cały sznur lampek, które wplątały się w jej anielskie skrzydła. – Tego jej dziś nie zabraknie.

Macham do Wrena, który właśnie wszedł, przebrany za zielonego Linka ze starej gry o Zeldzie. Ma nawet fajową replikę miecza. Podchodzi do nas i lekko się rumieni.

– Cz-cześć.

– Kim ty niby jesteś? – pyta Kayla.

– Linkiem? Z Zeldy? To chyba jasne – informuję ją.

– A co to? Jakiś serial?

Wywracam oczami do Wrena, ale on się tylko śmieje.

– Tak, serial. Ale stary.

– Czyli zabytkowy! Fajnie! – Kayla się uśmiecha. A sekundę później piszczy mi do ucha: – Przyszedł! Obiecuj, że dzisiaj go nie wrzucisz do fontanny, dobrze? Chciałabym spędzić z nim kilka miłych chwil.

Patrzę tam, gdzie wskazuje. Jack właśnie wszedł. W sumie, mogłam się domyślić, to dlatego wszystkie dziewczyny zaczęły nagle szeptać i głupawo się uśmiechać. Zresztą, gdybym sama nie cechowała się tak nadzwyczajną kontrolą nad mimiką, opadłaby mi szczęka. Głowę ma obwiązaną jedwabną chustką z doczepionymi dreadami i koralikami, a na tym piracki kapelusz. Luźną białą koszulę rozpiął na górze, więc widać obojczyki i górne mięśnie klatki piersiowej. Na koszulę włożył kamizelkę, a z kieszonki na piersi zwisa złoty kompas na łańcuszku. Do pasa przytroczony ma miecz. Znoszone i przybrudzone bryczesy wpuścił w równie podstarzałe skórzane buty, a lodowato błękitne oczy lśnią mroźniej niż kiedykolwiek, uwodzicielsko obwiedzione czarną kredką. Wygląda kropka w kropkę jak...

– Kapitan Jack Sparrow! – krzyczy Kayla i rzuca mu się w ramiona. On się do niej uśmiecha, a do mnie i do Wrena kiwa głową.

– Link – zauważa. – Niech moc Trójcy będzie z tobą.

Wren rozgląda się nerwowo, ale się uśmiecha.

– No tak. Z tobą też.

– Wygląda na to, że Wren ma Trójcę Mądrości. Ja Odwagi. A ty Mocy – stwierdzam. – Albo nie. Ty w ogóle nie masz żadnej Trójcy. Jesteś Ganonem.

Jack prychnął.

– Nie ma sprawy, mogę być złoczyńcą.

Wren jest pod wrażeniem.

– Grasz w gry wideo, Isis?

– A co innego mogła robić spasiona laska niemająca znajomych?

– Więc przez cały ten czas, kiedy wyzywałaś mnie od kujonów, sama nim byłaś? – Jack unosi brew.

– Isis każdego nazywa kujonem – wtrąca się Kayla. – W ten sposób daje znać, że kogoś lubi.

Rumienię się.

– Wcale, że nie!

– To najlepsza riposta, na jaką cię stać? „Wcale, że nie?” – Jack ironicznie kłaska językiem. Kayla prowadzi go do kuchni i nalewa drinka. Krzywi się, ale zerka na mnie i pije. Też idę do kuchni, nalewam rumu z colą i podchodzę do niego.

– Czyżbym zmuszała cię do alkoholizmu? Myślałam, że Lodowy Książę nie pije!

– Bo nie pije. Ale dziś są szczególne okoliczności.

– Tak? A to dlaczego?

Wskazuje brodą na Kaylę, która piszczy w towarzystwie grupki dziewczyn, wskazuje na Jacka i piszczy jeszcze głośniej.

– To emocje, odpuść jej.

– Moje ubezpieczenie zdrowotne nie pokrywa uszkodzenia słuchu w wyniku czyichś emocji.

– Każda dziewczyna jara się pierwszym chłopakiem. Niech się cieszy.

Jack milknie. Ktoś włącza house. Czuję, jak w klatce piersiowej dudnią mi basy.

– A ty? – pyta Jack.

– Co ja?

– Jarałaś się pierwszym chłopakiem?

– Początkowo. – Patrzę na uśmiech Kayli i uśmiecham się w kubeczek z drinkiem. – Na początku było super. Naprawdę super. Trzymaliśmy się za ręce. Raz poszliśmy na piknik. On nie pokazywał się ze mną publicznie, bo wyglądałam jak wieloryb. Nie całowaliśmy się, bo byłam na to zbyt nieśmiała. Głównie przesiadywaliśmy u mnie albo u niego. Gadaliśmy. Oglądaliśmy telewizję. Raz przyniósł trawę i prawie się porzygałam. Wtedy pierwszy raz paliłam.

– Buntownicza! – mruczy Jack.

– Żebyś wiedział – śmieję się. – Czuję się strasznie odważna. Ale tyle z tego miałam, że zrobiłam się głodna, a potem spałam przez piętnaście godzin. Nic zabawnego.

– Ale z nim się dobrze bawiłaś.

Patrzę, jak bąbelki coli wypływają na powierzchnię i pękają. Od coli rdzewieje metal. I rozpuszcza się kamień. Tak czytałam.

– Tak. Bawiłam się. Tylko że to nie było naprawdę. On udawał. – Jack cierpliwie milczy. Uśmiecham się szeroko i wciskam mu mój kubeczek. – Idę

tańczyć. Nie dosyp mi niczego.

Rozpływam się w fali gorąca, zatracam się w wirze spoconych ciał wypełniających parkiet, a wspomnienia ulatują. Muzyka jest najlepszym lekarstwem. Jeśli jest dostatecznie głośna, przegania wszystkie myśli, a jeśli na dodatek piosenka jest przynajmniej trochę dobra, powstrzymuje je przed powrotem. Nie tańczę dla jaj, jak wtedy z Wrenem, ale nie tańczę też na serio. Czy ktoś w ogóle tańczy serio? Nie wiem, może jakieś snoby, co stepują albo tańczą jazz. Ja po prostu tańczę. Szaleńczo. Podnoszę ręce, skaczę, obracam się, a pomarańczowe i czarne światła mieszają się przyjemnie z alkoholem. Mimo mgiełki, która mnie spowija, trochę jakby zza szyby obserwuję, co się dzieje na imprezie. Ktoś rzucił ugotowany makaron na ścianę i przygląda się nitkom spaghetti, które wcale nie spadają. Wślizgnął się Nożownik w przebraniu seryjnego mordercy, w zbryzganym krwią fartuchu i z plastikowym tasakiem. Prowadzi ożywioną rozmowę z chłopakiem w stroju samuraja, mającym plastikową katanę. Wren nerwowo podryguje wokół Kayli, która pokazuje mu upchnięte za lodówką zdjęcia Avery, ukryte, żeby nikt nie zobaczył, jakim była zenująco tłustym i łysym niemowlakiem. Ona sama uwiesiła się na wysokim, mrocznym chłopaku z drużyny pływackiej. Koleś w zielonym kostiumie kosmity zjeżdża na brzuchu z poręczy schodów, ląduje na ścianie, podrywa się i biegnie na górę, żeby zrobić to jeszcze raz. A Jack patrzy na mnie. Leci jakiś spowolniony hip-hop, impreza szaleje, Avery całuje się z pływakiem, Kayla i Wren gdzieś znikają, a ja osuwam się i opieram się o czyjąś pierś, nie obchodzi mnie, czyją, bo jestem bardzo zmęczona i bardzo pijana, ale kiedy słyszę postukiwanie koralików, podnoszę głowę i widzę Jacka.

– Cholera! – Odskakuję i wpadam na jakąś parę. Wszyscy troje padamy na podłogę w plątaniu kończyn i urażonych ego, a Jack łapie mnie mocno za rękę i podnosi.

- Postaraj się nie zabić wszystkich.
- Puść mnie albo ci wydrapię oczy.
- Jesteś pijana. Znowu się przewrócisz.
- Jestem w świetnym stanie i mogę stać sama!

Chwieję się i żeby nie wyróżnąć twarzą w zaplamiony rzygami i brokatem dywan, łapię Jacka za ramię. Biała koszula jest miękka, ale mięśnie pod nią silne i napięte.

- Musisz albo usiąść, albo... – zaczyna Jack ostrzegawczo.
- Nie! Chcę zostać tutaj, z muzyką!
- ...się o mnie oprzeć. Jesteś zbyt pijana, żeby tańczyć z zachowaniem jakiegokolwiek równowagi, a nie sądzę, żeby wszyscy się cieszyli, jak będziesz ich macać, a potem ciągnąć na podłogę.
- Pieprz się! – rzucam. – Po prostu... po prostu chcesz mnie udusić!
- Tak, we śnie. Żebyś przestała żyć i wtedy Kayla będzie moja! – tłumaczy

ze śmiertelną powagą.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Wzdycham i znów opieram się o jego pierś. Stoimy tak, on się nie rusza, ale ja się delikatnie kołyszę i po chwili on dołącza.

– Miło jest nie upadać – mruczę.

– Ogólnie rzecz biorąc tak – przyznaje. Muzyka się zmienia, robi się głośniejsza i irytująca, więc opuszczam parkiet. Chcę znaleźć ciche miejsce. Spokojne i miękkie. Otwieram po kolei drzwi do wszystkich pokojów gościnnych, aż w końcu znajduję taki bez wijącej się na łóżku pary. Wchodzę i zamykam za sobą drzwi na klucz. Padam na łóżko okryte miękką narzutą. Bardzo ładną. Lampa też jest bardzo ładna, poskręcana jak wodorosty. Na ścianach są ładne zdjęcia oceanu, a ładne poduszki pachną lawendą. Wdycham jej zapach i staram się sprawić, żeby pokój nie wirował. Muzyka na dole dudni. Czuję jakiś ciężar na brzegu łóżka. Jack. Marszczę czoło i patrzę spod przymkniętych powiek.

– Czemu za mną przylazłeś?

– Przyciągnęłaś mnie tu.

Znów opadam na poduszki i stłumionym głosem mówię:

– Aha...

Patrzę, jak zdejmuje kapelusz. Jego własne złotobrzowe włosy są trochę rozczochrane.

– Lepiej wyglądasz bez tych głupich dredów – mamrocę cicho.

– Myślałem, że lubisz Johnny'ego Deppa?

– Dlatego się za niego przebrałeś? Bo go lubię?

Jack podrywa się i ostentacyjnie kładzie kapelusz na najdalszym krześle.

– Nie. Oczywiście, że nie. Włożyłem to, co miałem w szafie od zeszłego roku.

– Przy kamizelce jest metka z ceną.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– To przecież nic takiego. – Oddycham głęboko w poduszkę. – Nie musisz się tak bronić. Jeśli zrobiłeś to dla mnie – w porządku. Trochę dziwnie, ale okej.

Oczy tracą lodowaty wyraz, wraca i siada na łóżku.

– Jesteś strasznie zarozumiała. Skąd ci przyszło do głowy, że wybrałbym kostium ze względu na ciebie!

– Wiem. Zartowałam. Wolałbyś... zepchnąć mnie w przepaść, niż zrobić coś dla mnie. Ale ja też bym nic dla ciebie nie zrobiła.

Kłamczucha.

Turlam się po łóżku i zawijam w narzutę jak w naleśnik. Ściągam maskę i rzucam gdzieś na łóżko.

– Za dużo wypiliśmy.

– Wiem. Przyniosę ci wody.

Wiem, że powinnam protestować, ale odpuszczam.

– Dobrze.

Wraca ze szklanką, a ja piję łąpczywie. Struzka wody spływa mi po brodzie, krzywię się i ją ścieram.

– Jestem obrzydliwa. Popatrz na mnie! Cała rozmemłana na oczach mojego śmiertelnego wroga. To niewykonalne... Niewykrywalne... Nie... Nie... Nie wiem.

– Niewybaczalne – podsuwa Jack.

– Właśnie! – Wskazuję na niego palcem. – Tak, tego mi było trzeba!

Z dołu dobiega rozdzierający pisk i ktoś krzyczy: „Boże, krew mi leci!”. Czyli życie płynie dalej.

– Więc jeśli... – Podnoszę się na łokciach. On siedzi przede mną, na brzegu łóżka. Jego kolano mam na wysokości oczu. – Jeśli Kayla zmusi cię do seksu, będę ci musiała dopłacić?

Prycha i patrzy na mnie z góry. Przestaje się bawić brzeżkiem koszuli.

– Nie będę z nią uprawiał seksu.

– Przecież się spotykacie.

– Nie naprawdę.

– Nie możesz... Nie możesz jej tak zwodzić. Ona cię naprawdę lubi!

– Dziesiątki innych dziewczyn też – odpowiada ze znużeniem.

– Tak? No bardzo mi przykro, że cię lubimy... – rzucam.

Jack zamiera.

– My?

Wszystko się dzieje tak szybko, jak lot spadającej gwiazdy, jak błysk pioruna. Wszystkie pogrzebane uczucia, wszystko, co chciałam powiedzieć i wszystkie lęki zamknięte za kuloodpornymi drzwiami wyrrywają się na zewnątrz, zagrzewane do walki przez alkohol, zmęczenie i posiniaczone emocje. Jestem rozmiękczone i podatna na prowokacje.

– Ja cię lubię. – Wyciągam drżącą rękę po jego dłoń. Jego palce są takie długie, smukłe i delikatne. W dotyku gładkie i ciepłe. Chwytam je, jakby od nich zależało moje życie. Jakby były tratwą na wzburzonym morzu albo liną spuszczoną na dno głębokiego dołu. – Ładnie pachniesz – dodaję. – Fajnie się można z ciebie nabijać. I lubię twoją mamę. Jesteś mądry. Chociaż głupi, ale w pewnym sensie mądry. Dobrze się bawiłam. W czasie wojny. I pocałunku. I randki. I powiedziałaś, że jestem piękna, a to było miłe. Więc nawet, jeśli już nie będziemy z sobą walczyć, jeśli mnie znienawidzisz na zawsze za to, że mówię, że cię lubię, to dziękuję ci. Dziękuję ci bardzo za...

Nie kończę tego zdania.

Jack się nachyla i dotyka ustami moich warg, ja się podnoszę na łokciach, a on mnie popycha na poduszki i całuje...

...a tym razem ona odpowiada pocałunkiem. Nie jest zszokowana i znieruchomiała. Nikt nie patrzy. A ona jest głodna. Wsuwa język, całuje kąciki moich ust, skubie moją dolną wargę i ciągnie, mocno, a ja wydaję odgłos będący czymś pomiędzy sapnięciem kogoś podduszanego i łapaniem tchu. Jest zainteresowana, niedoświadczona, ale ciekawska i uparta. Szuka czegoś, czegokolwiek, co mogłaby całować, na czym mogłaby położyć dłonie...

...jego szyja smakuje nawet lepiej, ma miękką skórę, a jabłko Adama unosi się w górę i opada, gdy nerwowo przetyka ślinę. Nerwowo?! Odsuwam się odrobinę i szczęśliwa mruczę w jego gardło:

– Czuję ustami twój puls.

...nie ma pojęcia, co mówi, jaki zamęt wywołuje, że stada dreszczy przelatują mi po plecach i przez brzuch między nogi. Cienkie pirackie spodnie wszystko zdradzają. A moje ciało mnie zaskakuje. Nie miałem pojęcia, że pragnę jej z taką wibrującą, buzującą intensywnością. Chcę jej skosztować, pieścić ją, najłagodniej, najpowolniej i najrozkoszniej, jak potrafię, tak, że podkuli palce u nóg i będzie błagać o więcej. Napieram na nią odważniej, obejmuję ją w pasie, a ona chichocze (chichocze!) i wszelkie instynkty zmuszają mnie, żebym się nią zajął, rozpiął to nieznośnie seksowne lateksowe wdzianko, ściągał centymetr po centymetrze i muskał ustami jej obojczyki, piersi i brzuch, aż będzie mnie wołać, krzyczeć moje imię między urywanymi oddechami, aż zapomni o tym gnoju, bólu i smutku. Pragnę jej. Ale jeszcze bardziej pragnę, żeby była szczęśliwa...

...ściąga mnie niżej, opiera moją głowę na poduszkach i siada na mnie okrakiem, a ja się trzęsę i jednocześnie boję się i nie boję, moje ciało zdradza to, co czuję, bo w środku pragnę go ponad wszystko, ale przecież on może mnie skrzywdzić, skrzywdzić kogoś, to złe, on kocha Sophię, nie mnie, nie mnie, nie mnie, może mnie skrzywdzić, znów mnie skrzywdzi...

...trzęsie się. Całuję jej szyję, ramię. Całe jej ciało drży.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Wykrzywia twarz i chowa ją w dłoniach.

– Przepraszam – zawodzi. – To nie w porządku. Nie w porządku.

W mojej piersi coś pęka i przełamuje się na pół. Boże, od miesiący nie czułem czegoś, co byłoby tak bardzo w porządku. Nie, nie od miesiący, od lat. Zaliczam klientkę za klientką, odcinam się, przechodzę przez to, uruchamiając automatyczne reakcje i czerpiąc jakąś chorobliwą przyjemność. Ale dotykając Isis, nie mogę być zimny. Przy niej wszystko staje w płomieniach. Rozgoryczenie, o którym nawet nie wiedziałem, że je mam, cyniczny profesjonalizm, zbudowany na lęku o Sophię... Zapomniałem już, jak to jest się cieszyć, ale każdy jej ciepły oddech na twarzy i dotyk palców przypominają mi o tym jasno i wyraźnie. I ciepło, jakbym się grzał przy ogniu. Jest w porządku. Boże, jak bardzo w porządku!

Ale ona się boi. Nie jest pewna. Została zraniona na więcej sposobów, niż

umiałbym wymienić. I jest pijana. Ja jestem napalony, ale ona jest pijana. Zrobienie czegokolwiek byłoby niewłaściwe. Od razu się wycofuję.

– Masz rację. Przepraszam. Nie chciałem...

– N-nie... – szlocha. – To moja wina. Przepraszam cię. Przepraszam.

– Hej – mówię łagodnie. – Popatrz na mnie, no już.

Drży, wyłamuje palce, ale patrzy. Oczy ma czerwone, łzy płyną po policzkach, ale tusz do rzęs, choć rozmazany, nie spływa.

– To nie twoja wina. Nic nie jest twoją winą. – Wstaję i biorę z krzesła kapelusz. – Zostań i wyśpij się. Dokończ wodę. Zamknij za mną drzwi i nie otwieraj nikomu do rana, rozumiesz? – Siada i pociąga nosem. Nie potakuje. – Rozumiesz? – pytam po raz drugi, ale ona kręci głową, a purpurowe pasma włosów przyklejają się jej do policzków.

– Nie idź.

– Lepiej będzie, jeśli pójdę. Czujesz się przy mnie nieswojo.

– Nie! – krzyczy i zaraz ścisza głos. – Nie. Ja... czułabym się lepiej, gdybyś... gdybyś został. I pilnował, żeby nikt nie wszedł.

– Kayla będzie się martwić.

Poważnieje.

– No tak. Tak, masz rację. To lepiej idź.

Obserwuję, jak oddycha głęboko i nadal się trzęsie, cały czas niepohamowanie drży. Pociera ramiona, jakby jej było zimno. Ja to zrobiłem. Nie mogę jej zostawić. Nie w takim stanie.

– Połóż się. – Podchodzę do niej. Nakrywam ją narzutą i kocem, a ona skwapliwie korzysta z ich ciepła. – Ten lateks jest wygodny? – pytam. Opuszcza wzrok, a ja od razu żałuję, że to powiedziałem. – Nie chodziło mi o to, żebyś się rozebrała. Po prostu wygląda na ciasny i może być w tym ciężko spać. Nie chciałem...

– Wiem – mruczy. – Nie szkodzi. Zdjęłabym, ale nie mam nic innego.

– Weź to. – Ściągam koszulę przez głowę i jej podaję. Ociera się o nią policzkiem jak kot.

– Jaka miękka!

– Zaczekam na zewnątrz.

– Nie, nie trzeba. Tylko się odwróć. I nie podglądaj.

– W życiu! – Podchodzę do drzwi.

– Jesteś facetem do towarzystwa, więc się tak zachowuj!

Gapię się w róg pokoju i słucham odgłosów rozpinanego zamka i szamotaniny. Isis sapie i klnie. Tłumię śmiech i żeby zapanować jakoś nad falą świństw, które podsuwa mi umysł, skupiam się na białej farbie na ścianach i na banalnym obrazie oceanu. Jakie ma piersi? Nie jest płaska, więc nie są małe. Umożliwił mi dostrzeżenie tego ten okropny, obcisły strój, jaki włożyła po akcji ze

zdjęciami. Dzisiaj lateks podkreślił lekko zaokrąglone biodra, atrakcyjne, mocne uda, wąską talię, którą mógłbym objąć dłońmi i...

– No już. Możesz patrzeć.

Odwracam się, gdy jest w połowie drogi do łóżka. W bufiastej, luźnej koszuli pirata wygląda na jeszcze drobniejszą i delikatniejszą niż zwykle. Piersi są zaznaczone subtelnie, ale są. Z rozmazanym makijażem i w samej koszuli wygląda niewinnie, aż trudno uwierzyć, że to ta sama niezmordowana i pewna siebie diablica, co przez ostatnie dwa miesiące. Gołe nogi migają mi na moment, a potem chowa je pod narzutę i podciąga pod samą brodę.

– Pachnie tobą. – Uśmiecha się do mnie sennie. Tłumię podniecenie, które ożywa na dźwięk tych słów, niesforne i nie na miejscu.

– Posiedzę tutaj. – Zajmuję miejsce na krześle.

– Dobrze. Dobranoc.

Gaszę światło.

– Dobranoc.

Powoli, bardzo powoli, przestaje się trząść. Jej oddech się uspokaja. Gdy mijają ostatnie dreszcze, siadam wygodnie i zamykam oczy.

Rozdział 15

3 lata, 19 tygodni i 1 dzień

Mózg dudni w bolesnym rytmie, usiłując uciec z komnaty tortur, jaką jest moja czaszka. Z trudem otwieram oczy, ale atakuje je światło. Mrugam i jęczę, a potem szybko naciągam narzutę na głowę. Czyje to łóżko? Czemu mam na sobie białą miękką koszulę?

Potem nagle wszystko sobie przypominam i mózg wycieka mi uszami. To dom Avery. Pokój gościnny Avery. Koszula Jacka. Mam kaca i jestem ubrana w koszulę Jacka Huntera. Zaczynam histerycznie oddychać, a panika ciąży mi na piersi jak tłusty, zły człowieczek. Obok mnie nie ma nikogo. Łóżko jest starannie pościelone, więc nikt w nim nie spał. Tylko ja. Tak sędzę. Desperacko przeszukuję umysł w poszukiwaniu wspomnień tego, co się stało wczorajszej nocy, ale mam w głowie jedną wielką pustkę. Nie pamiętam kompletnie nic.

Wychodzę z łóżka i ostrożnie staję na podłodze. W ustach mam smak rozbuchanego piekła. Idę do łazienki i wyciskam na palec trochę pasty do zębów. Na razie będzie musiało wystarczyć. Obwąchuję się. Nie pachnę seksem. To dobry znak. Ale jeszcze nie dowodzi, że nic się nie stało. Chcę sobie przypomnieć! Zdejmuję koszulę i wciągam z powrotem kostium. Jakim cudem udało mi się to zdjąć? A może wcale nie zdejmowałam? Może to ktoś inny? Może ja...

Otwierają się drzwi i zagląda on. Nie ma koszuli. Mięśnie piersi i brzucha ma pięknie wyrzeźbione. Prawie odwracają moją uwagę od jego zasmuconej twarzy. Prawie.

– Wstałaś – stwierdza.

– Co tu się do cholery wczoraj stało?

– Nie ma czasu. Kayla cię potrzebuje.

Znika za drzwiami. Czuję w brzuchu lodowaty strach i ruszam za nim. Podłogę zaścielają papierki po cukierkach i puste czerwone kubeczki. Przez okna wpada nieśmiałe światło. To jeszcze nie poranek, ale noc też nie. Sprawdzam godzinę w telefonie. Punkt szósta. Większość gości sobie poszła. Jack mnie pogania i macha ręką w stronę pokoju na końcu korytarza. Kayla siedzi na łóżku, obok niej Wren. Wygląda na przerażoną i wyczerpaną, sukienkę syreny ma przekrzywioną, a makijaż rozmazany. Wren podaje jej rolkę papieru toaletowego, a ona odrywa kawałek i głośno wydmuchuje nos.

Podbiegam do niej, klękam i łapię ją za ręce.

– Kayla! Co się stało?

– To Avery! – Wybucham płaczem. – Avery... Mój drink... Dosypała mi

czegoś!

Zerkam na Wrena.

– Pigułka gwałtu?

Kiwa głową.

– Nie mogła się ruszyć przez pół godziny.

– Czy ktoś...?

Wren kręci głową.

– Avery nas tu zamknęła we dwoje. Zabarykadowała drzwi krzesłem i powiedziała, że nie wyjdziemy, dopóki...

Kayla zawodzi i patrzy na czającego się w progu Jacka.

– Gdzie byłeś?! Tak się bałam! Dlaczego nie... Czemu nie...

– Zasnąłem w innym pokoju – odpowiada Jack łagodnie, ale nie zbliża się do niej. – Przepraszam.

– Hej, posłuchaj. Jesteś bezpieczna. Wren to porządny facet. Nie musiałaś się bać. – Podnoszę wzrok na Wrena. – Tak? Zrobiłeś jej coś? Powiedz prawdę, obiecuję, że cię nie wypatroszę.

– Przysięgam, że nie. Nigdy bym tego nie zrobił. Nie jestem potworem. – Szeroko otwiera oczy. Zalewa mnie fala wstydu i wycofuję się.

– Jasne. Wiem. Przepraszam, że zwątpiłam.

– Avery myślała... Musiała chyba myśleć... – Wren się krzywi. – Myślała, że jednak jestem.

– I że będzie cię mogła szantażować, żeby uzyskać tę dotację? – domyślam się. On kiwa głową. Na dźwięk tych słów Jack wpada do pokoju, podchodzi do gzymsu nad kominkiem. Rozsuwa ozdoby. Wybiera zegarek i rozbija go o ścianę.

– Boże! – krzyczy Wren, gdy oboje podskakujemy. Kayla piszczy i zasłania uszy. Jack się do nas odwraca, a w ręce trzyma małe czarne pudełeczko.

– Kamera – oznajmia.

– Na dowód – mamroczę. Wstaję powoli. Jestem tak wściekła, że z trudem nad sobą panuję. – Ta pieprzona suka...

– Nie mów tak! – Kayla łapie mnie za rękę. – Nie mów tak, proszę! To moja przyjaciółka! Jedyna, jaką mam.

– Mylisz się – wtrąca Jack stanowczo. – Rozejrzyj się. Ludzi, którzy są teraz z tobą w tym pokoju, nazywaj prawdziwymi przyjaciółmi.

Kayla wygląda, jakby ją spoliczkował. Znów wybucha płaczem, Wren się krzywi, bo chciałby pomóc, a nie wie, co robić. Patrzy na mnie.

– Chodźmy. Musimy doprowadzić do konfrontacji – proponuje.

Parskam.

– Konfrontacja? Nie sądzisz, że to trochę zbyt uprzejme? Odgryzę jej cycki.

Wren uśmiecha się złośliwie i wychodzimy na korytarz. Kayla i Jack zostają sami. Mijamy budzących się, jęczących ludzi, kałuże rzygowin i klejących się

rozlanych drinków. Co jakiś czas trafia się kupka naprędce zrzucanych ubrań. Docieramy do drzwi sypialni, a Wren puka. Nikt się nie odzywa. Odsuwam go na bok i z całej siły kopię w drzwi.

Pokój Avery pomalowany jest na kolor jasnej purpury. Pośrodku stoi piękne łóżko z baldachimem. Podnosi się z jedwabistej pościeli, wciąż w kostiumie księżniczki, nawet, jeśli lekko nieświeżym. Widzi mnie, wyraz mojej twarzy i rzuca się do okna. Dopadam jej jednym susem, wciągam do środka i daję w twarz na tyle mocno, że upada na podłogę.

– Niczego się nie nauczyłaś? – pytam cicho.

– C-co? – cedzi. – O czym ty mówisz?

Pochyliam się, łapię za pasmo rudych włosów i ciągnę. Mocno. Wrzeszczy i odwraca głowę.

– Dobrze, już dobrze! Bardzo żałuję!

– Nie, nie żałujesz. Ale zaraz zaczniesz.

– Nie dostaniesz żadnych funduszy – oświadcza Wren lodowato. – Ani teraz, ani nigdy. Oświadczam, że kierująca klubem francuskim jest niezdolna do pełnienia obowiązków. Dostajesz zakaz uczestnictwa w jakichkolwiek innych klubach, udziału w balu absolwentów i w studniówce.

– Nie możesz – parska Avery. – Od czterech lat jestem królową balu absolwentów. Startuję w wyborach na królową balu maturalnego i wszyscy wiedzą, że wygram. Jeśli mi zabronisz przyjść, nikt nie przyjdzie. Nikt nie przyjdzie na żaden twój głupi, żaloszny bal!

– Naprawdę myślisz, że masz na ludzi aż taki wpływ?

– Oczywiście! Tańczą, jak im zagram. Dobrze o tym wiesz.

– Nadal będą tak tańczyć, gdy powiemy, że otrułaś kogoś na własnej imprezie? Ile dziewczyn ci zaufa? Ile będzie na tyle odważnych, że podejmie ryzyko gwałtu i przyjdzie jeszcze do ciebie? – pyta lodowato Wren.

Avery blednie jak ściana. Podnoszę ją za sukienkę i syczę:

– Jeśli kiedykolwiek choćby wypuścisz powietrze w stronę Kayli, zabiję cię.

Avery się wyrywa i wskazuje palcem na Wrena.

– Zrobiłeś to! Nie kłam, świętoszkowaty dupku! Jesteś małym żaloszny tchórzem i wiem, że skorzystałeś z okazji, żeby się z nią przespać.

Wren się uśmiecha, a jego piekielne spojrzenie robi się jeszcze bardziej zdeterminowane oraz lekko rozbawione.

– Już nie jestem tamtym chłopaczkiem z lasu. Nie możesz mnie zmusić, żebym zrobił, co zechcesz. Dorośliśmy. A ja nie pozwolę, żebyś skrzywdziła jeszcze inną dziewczynę. – Avery jest w szoku i cofa się o krok. Patrzy na swoje dłonie, wykręca je wewnątrz do góry. – Tak jest – podkreśla Wren. – Byłaś tak zapatrzona w zdobycie pieniędzy, że nie zauważyłaś, co robisz. A zrobiłaś dokładnie to samo, co Sophii. Niczego się nie nauczyłaś. I pewnie zrobisz to

jeszcze wiele razy, aż kogoś zabijesz albo ktoś zabije ciebie.

– Robiłam to dla niej! – krzyczy Avery, sina z wściekłości. – Te pieniądze, ta cała wycieczka do Francji, to dla Sophii! Zostało jej mało czasu. Sam wiesz! Wiesz o tym, kurwa!

– Więc skrzywdziłaś kogoś innego?

– Zrobiłabym wszystko, żeby jej pomóc – cedzi Avery przez zaciśnięte zęby.
– Wszystko.

Wren się uśmiecha.

– Więc szkoda, że nie poprosiłaś o te środki rodziców. Ale przecież są na to zbyt cwani, prawda? W końcu sami cię wychowali. Jesteś do nich podobna jak dwie krople wody, a oni pilnują, na co idą ich pieniądze. Wiedzą, na co wydajesz, kogo gdzie zaprosiłaś... Gdyby znaleźli nazwisko Sophii, dowiedzieliby się, kim jest. I wyszłoby na jaw, co zrobiłaś. Oberwałabyś rykoszetem. Całe miasto by się dowiedziało. Zresztą, może już czas, żeby świat się dowiedział.

– Nie ośmielisz się – syczy. – Ty i Jack poszlibyście ze mną na dno.

– Może. Ale jestem pewien, że Jack zostałby uniewinniony, a ja zeznałbym, że bałem się o swoje życie. Wyszlibyśmy z tego gładko. Ale ty? Ty nie. Dłużej by ci to zajęło.

– Wynocha stąd! – wrzeszczy Avery. – Wynocha!

Zaczyna rzucać przedmiotami: wazonem, ramką ze zdjęciem... Odrywa od ściany designerską lampę i ciska w moją głowę, ale udaje mi się w samą porę uchylić. Szkło się rozpryskuje, a ja lecę za Wrenem do pokoju Kayli.

– Musimy iść – sapie Wren i pomaga jej wstać z łóżka. Opiera się na jego ramieniu. Łzy niemal wyschły, ale wciąż wydaje się skołowana.

– Co się dzieje?

– Daj mi kluczyki – polecam. Grzebie w torebce. Wren pomaga jej zejść na dół, Jack zamyka ze mną tyły. Wrzaski Avery obudziły wszystkich niedobitków. Nic dziwnego, brzmi jak strzyga uwięziona w wyżymacze.

– Ktoś ma zły humor – zauważa Jack.

– Wren zagroził, że powie prawdę o tym, co spotkało Sophię – mruczę. Jack nie wygląda już na rozbawionego, a na jego twarzy zastyga stalowa determinacja. Wren i Kayla chwiejnie idą trawnikiem do jej auta. Jack i ja właśnie wychodzimy za próg, gdy na schodach za nami rozlegają się szybkie kroki. Odwracam się w samą porę, żeby ujrzeć Avery z rozkwaszonym po moim uderzeniu nosem i furią w oczach. Rude włosy unoszą się za nią jak płonąca grzywa bogini ognia, a w ręce trzyma uniesiony baseballowy kij, wycelowany w moje plecy. Uchylam się i kij tylko nade mną przelatuje, ale rozlega się dźwięk, jakby jednak w coś uderzył. Jack go przechwycił. Avery ciężko dyszy i odsuwa się, gdy Jack badawczo przygląda się kijowi.

– Jak za dawnych dobrych czasów, co? – uśmiecha się drapieźnie. – Tylko że

tamten był metalowy.

Furia ulatuje w takim tempie, że Avery przypomina przekłuty balonik. Twarz ma śmiertelnie przerażoną, cofa się, a potem wbiega do domu, zatrzaskuje za sobą drzwi i zamyka.

Jack odzywa się dopiero, gdy wysadzamy Kaylę. Wren jechał za nami i teraz pomaga jej dotrzeć do drzwi. Dziękuje mu cicho, a on patrzy, jak znika we wnętrzu domu. Kiwamy sobie głowami na pożegnanie, nawet Wren Jackowi. Potem, już na autostradzie, którą jadę w stronę jego domu, ryzykuję rzut oka. Oddałam mu koszulę. Siedzi z brodą opartą na dłoni, w zamyśleniu zakrywa palcami usta i patrzy, jak świat miga za oknem.

Odzywa się pierwszy.

– Zerwałem z Kaylą.

– Nie wierzę! Myślałam, że będziecie razem na zawsze!

Parska złośliwie.

– Nie słyszałaś? Wszystko, co dobre, szybko się kończy.

Zmieniam pas, a on włącza ogrzewanie. Roznosi się smród skunksa. Szybko je wyłącza.

– Co się wczoraj stało? – pytam.

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam, że byłam... byłam przerażona. Trzęsłam się.

– I już?

Kiwam głową. Jack zamiera. Jego oczy są nieprzeniknione niczym dwa sople lodu, niby jak zawsze, ale wydaje mi się, że przez ułamek sekundy widzę, jak rozrywa je ból.

Bała się. Ani jedna chwila nie sprawiła jej przyjemności. Gdyby tak było, zapamiętałaby. Jednak przerażenie wyparło wspomnienia.

Rana jest głębsza niż się spodziewałem.

Patrzę w jej twarz, gdy prowadzi auto. Zaciśnięte na kierownicy palce bieleją. Czeka, jest zagubiona, usiłuje poskładać elementy układanki. Wyparła to. Poprzednia noc była zbyt podobna do tamtej, która ją zraniła. Chcę jej powiedzieć, że zamierzałem tylko poprawić jej humor, chciałem pomóc... (Kłamca, wykorzystałem moją przewagę, tak jak tamten).

W przenikliwym świetle poranka to, co zrobiłem, uderza we mnie ze zdwojoną siłą. Zmusiłem do pocałunku pijaną dziewczynę, która już wcześniej była do czegoś zmuszona. Dotykałem dziewczynę bojącą się dotyku. Straciłem nad sobą panowanie. Ja, Jack Hunter, jedyna na świecie osoba, która zawsze jest opanowana, straciła kontrolę. A to zabolowało Isis tak bardzo, że wyparła tę chwilę z pamięci.

Będzie lepiej, jeśli sobie nie przypomni.

To wrażenie szybko jednak znika i lekceważąco wzdusza ramionami.

– Byłaś porządnie pijana. Jakiś koleś w przerażającej masce wyskoczył na ciebie zza rogu. Trzęsłaś się prawie przez cały wieczór.

– A czemu miałam na sobie twoją koszulę?

– Wpadłaś na kogoś w czasie tańca i wylałaś na siebie colę. Lateks się kleił. Zaoferowałam ci koszulę, a ty przeprałaś kostium i rzuciłaś na podłogę, żeby wysechł.

Brzmi prawdopodobnie. Kiwam głową.

– No tak.

Zatrzymuje się pod moim domem. Wysiadam, ale jeszcze na chwilę stoję przy oknie.

– Opiekuj się Kaylą przez następne kilka dni – mówię. – Będzie cię potrzebowała.

– Od kiedy się nią przejmujesz?

Jest ważna dla ciebie. Więc się przejmuję.

Ale nie mówię tego na głos. Wzruszam tylko ramionami i wymyślam kolejne kłamstwo:

– Wiem, jak to jest. Rozstanie... i pigułka gwałtu.

– Jakaś klientka była zbyt wylewna?

– Można tak powiedzieć.

Zerkam na jej szyję i aż mnie zatyka. Tuż pod dolną szczęką ma delikatną, ale czerwoną malinkę.

– Coś nie tak? – pyta.

Jeśli nie będzie się zbyt starannie przeglądać w lustrze i nie podniesie głowy, nie zauważy.

– Nie, nic. Dzięki za podwózkę.

– Dzięki za pomoc. Z Avery. I za koszulę. I... umawianie się z Kaylą. Była naprawdę szczęśliwa.

Ty byłaś szczęśliwa.

Uśmiecham się krzywo.

– Jeśli jeszcze kiedyś będziesz mi chciała podarować dwieście dolarów, żebym się umówił z jakąś twoją przyjaciółką, daj znać.

Parska tylko, a ja się cofam i patrzę, jak odjeżdża. W piersi szaleje mi coś na kształt żalu. Wczorajszą noc zepchnąłem na dno pamięci i porządnie zamknąłem. Może tam zajrzę, jak tęsknota robi się nieznośna. Ale póki co nie ma o czym mówić. Jakby się nic nie stało. Tak będzie lepiej.

Tylko ja wiem, co się wydarzyło.

Tak będzie lepiej.

Northplains w Ohio to miasto pełne tajemnic.

Można by pomyśleć, że na nudnym Midwest nie mają dzikich dziewczyn wymachujących kijami do baseballu i mrocznych sprawek, o których nikt nie chce

mówić. Ale tu jest tego pod dostatkiem. Oszustwo, zemsta, kłamstwa. Mieszanka wszystkich trzech w poniedziałek przetacza się przez szkołę jak trąba powietrzna i ciężko zawisa w powietrzu.

Jack wchodzi, na głównym korytarzu dostrzega mnie z Kaylą, jak siedzimy na ławce, ale mijają nas bez słowa. Oczywiście ona wybucha płaczem. W niedzielę kosztowało mnie mnóstwo ćwierkania i tyleż czekolady, żeby przekonać ją do przyścia dzisiaj do szkoły. Jestem rozdarta między ochotę przywalenia mu za to, że znów ją doprowadził do łez oraz świadomością, że to najlepsze rozwiązanie dla nich obojga. Nieuniknione. Tacy kolesie jak Jack Hunter po prostu nie umawiają się z dziewczynami w swoim wieku. Wszyscy o tym wiedzą. A i tak Kayla przetrwała aż dwa tygodnie! Ale Jack Hunter to Jack Hunter. Lansuje się w mieście z bogatymi laskami jeżdżącymi porsche. I już go przyjęli na Harvard, o czym pan Evans przypomina każdemu uczniowi, który wygląda na choćby odrobinę zdemotywowanego.

Jack Hunter został stworzony do większych i lepszych rzeczy niż Northplains w Ohio.

Zastępy jego wielbicielki błyskawicznie zmartwychwstają. Z rzeźby ściągnięto prześcieradło, znów wróciła na środek pracowni plastycznej, a artystka radośnie pracuje nad rysami twarzy. Płaczka z kółka teatralnego mizdrzy się przed lustrem w toalecie jak siedmiolatka, która odkryła kosmetyki mamy. Dziewczęta powróciły i są gotowe do zemsty honorowej.

Avery od trzech dni nie było w szkole. Nikt nie mówi o jej furii i wymachiwaniu kijem do baseballu, więc zakładam, że wszystkich zastraszyła. Ale słyszałam, że źle się czuje. Oficjalna wersja głosi, że jest chora, ale ja wiem lepiej. Liże rany i zastanawia się, która z jej drogich, markowych kiecek lepiej zasłoni diabelski ogon, gdy już wróci do szkoły. To tylko kwestia czasu. Czasem nawet mi jej trochę szkoda, ale wtedy przypominam sobie, co zrobiła i współczuję już tylko częściom jej ciała, które mogą zostać uszkodzone.

Oddycham głęboko, żeby zapanować nad złością i skupiam się na czymś innym. Pani Gregory coś brzęczy. Rysuję na kartce jej twarz, a zamiast nosa obdarzam ją bananem. Wciąż nie pamiętam, co się stało na imprezie. Byłam dość pijana, więc nic w tym dziwnego, ale pijana byłam już w życiu nie raz i chociaż wspomnienia stawały się wówczas nieco zamglone, jednak coś tam mi w głowie pozostawało. Ale tamten wieczór? Nic. Wielka czarna dziura. Ja tak nie działałam. Mój umysł jest zachwycająco seksownym sprzętem, który utrzymuję w świetnym stanie. Czemu więc nie jest w stanie przywołać ani jednej sceny? To pewnie przez alkohol. Wypiłam więcej niż od bardzo, bardzo dawna.

Kayla tymczasowo zajęła piastowane przez Avery stanowisko królowej pszczoł. Obserwuję, jak ze zwieszoną głową przesuwa się w kolejce do bufetu, a koleżanki ze świergotliwym współczuciem zapewniają, że znajdzie kogoś

lepszego. Co nie przeszkadza im rzucać tęsknych spojrzeń w kierunku Jacka. Jak zwykle siedzi sam, żuje kanapkę i czyta książkę. Zastanawiam się, co by te dziewczyny zrobiły, gdyby się dowiedziały, że miałam na sobie jego koszulę. Pewnie wcisnęłyby mi jabłko do ust i piekły na ruszcie, aż stałabym się chrupiącą pysznością. Jestem gotowa na śmierć, ale nie z owocem w ustach. To zupełnie inna bajka.

– Co jest zupełnie inną bajką? – pyta Wren. Stawia tacę na moim stoliku i dosiada się.

– A, nic takiego. – Macham ręką. – Co tam u ciebie, szlachetny szefuńciu? Zajęty podpisywaniem traktatów pokojowych z Iranem? Poszukiwaniem alternatywnych źródeł energii dla naszej planety?

– Pilnuję, żeby po powrocie Avery miała nieco mniejszy wpływ na wszystkich wokoło. Zdziwiłabyś się, ilu nauczycieli trzyma w garści dzięki szantażowi. Wiedziałaś na przykład, że pani Hall ma romans? Z dwoma facetami naraz? I że pan Ulfric na przerwach popija w schowku sprzątaczek?

– W takim razie nic dziwnego, że robią, co każe. Widziałam, na co ją stać.

– Liczę, że na jakiś czas sobie odpuści – wzdycha. – Nie mam ochoty mówić Evansowi o pigułkach gwałtu.

– Ani o tym, co się wtedy stało.

Widzę błysk oczu za szklami okularów.

– To był blef.

– Tak się nadymałeś, tak straszyleś, a to był tylko blef!

Przygląda mi się przez chwilę, a potem ścisza głos niemal do pomruku:

– Ona była naszą przyjaciółką.

Podnoszę wzrok znad hot doga.

– Kto?

– Sophia – wyjaśnia. – Jack, Sophia i ja. W podstawówce byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Mieszkaliśmy niedaleko siebie. Bawiliśmy się na tej samej ulicy, codziennie w innym ogródku. W wakacje i ferie zimowe spędzaliśmy razem całe dni, do wieczora. To był najszczęśliwszy czas w moim życiu. – Oddycha głęboko i odsuwa tacę. – Avery mieszkała dalej, na obrzeżach. Czasem dołączała, bo była najlepszą przyjaciółką Sophii. Zupełnie nie była taka jak teraz. Dawna Avery była głośna i lubiła się rządzić, ale była dobra. Zrobiłaby wszystko, żeby rozbawić Sophię. Nienawidziła Jacka, ale to dlatego, że go lubiła i nie podobało jej się, jak lubi go Sophia. Zazdrościła Sophii, że on zwraca na nią uwagę i jemu, że jest ważny dla niej. Została w środku i jak dorośliśmy, zżarło ją to. Tak myślę.

Próbuję się nie poruszyć ani nawet nie oddychać zbyt głośno. To byłoby straszne, gdyby teraz przestał mówić. Podnosi wzrok.

– Chciałbym ci coś pokazać. Po szkole. Będiesz mogła nas zawieźć? –

Kiwam głową, a on się uśmiecha. – Dobrze. W takim razie do zobaczenia. Mam na głowie rajd charytatywny, więc będę leciał.

– Na razie. – Staram się brzmieć zwyczajnie. Patrzę, jak wychodzi ze stołówki, a mnie zjada ciekawość.

Wren mówi, gdzie mamy jechać. Ruszamy w stronę lotniska, tak daleko, że prawie wjeżdżamy do Columbus. Po jeszcze kilku zakrętach jesteśmy w przylegającej do lotniska dzielnicy. Asfalt jest popękany, nad głową ciągle huczą samoloty, a w ogródkach straszy pożółkła trawa. Wzdłuż ulic stoją domy z obłazącą farbą, przy krawężnikach walają się śmieci. Z linii wysokiego napięcia żalobnie zwisa para tenisówek związanych sznurówkami. Parkuję i idę za Wrenem. Prowadzi mnie po schodkach do małego piętrowego domku z czystymi, choć starymi, oknami. Ganek jest doświadczony warunkami atmosferycznymi i zasypany plastikowymi zabawkami. Do drzwi podchodzi kobieta i wygląda na zewnątrz.

– Wren! – Rozpromienia się. – Wejdz, wejdz!

– Dziękuję bardzo.

– Przyprowadziłeś koleżankę?

– Tak, pomaga mi w banku żywności.

– Jak miło. – Kobieta ociera rękę o fartuch i wyciąga do mnie. – Belina Hernandez. Miło cię poznać.

– Isis. Mnie też jest bardzo miło.

– Chodźcie, nie stójcie na zimnie!

Wprowadza nas do ciasnego wnętrza. Pachnie pieczeniem i świeżym praniem. Prawie na każdej ścianie wisi porcelanowy wizerunek Matki Boskiej, a kanapy, krzesła i stół są zużyte, ale czyste. Przebiega z wrzaskiem dwoje dzieci, tłukących się szczotkami do mycia toalety. Pani Hernandez mówi coś szybko po hiszpańsku. Oboje markotnieją i biegną do łazienek odłożyć swoje miecze.

– Bardzo przepraszam – uśmiecha się. – Cały dzień piekę tostady i pozwoliłam im się bawić, czym będą chcieli.

– Niech się bawią, dopóki nie zaczną wymachiwać mieczami w pobliżu jedzenia – żartuje Wren. Ona uśmiecha się i wskazuje, żebyśmy weszli do kuchni.

– Napijecie się soku? Mam też mleko.

– Nie, dziękujemy – odpowiada Wren. – Wpadliśmy tylko na chwilę. Chciałbym poprosić o dokumentację fundacyjną. Muszę podać numer PIN do aktualizacji konta, a ponieważ byliśmy w pobliżu, postanowiłem wpaść.

– Jasne! Momencik.

Wchodzi po schodach. Wren odwraca się do mnie i ruchem ręki wskazuje na wnętrze.

– Przytulny, prawda? Cztery pokoje. Trzy łazienki. Nieźle, jak na samotną mamę z dwojgiem dzieci.

- Miło, ale nie rozumiem...
- Pracuje jako pokojówka. Za stawkę minimalną.
- Więc skąd bierze...
- Od Jacka.

Zaczynam się krztusić, choć nic nie jadłam.

– Co?!

– Wysyła jej pieniądze. Przeze mnie. Współpracuję z fundacją podlegającą bankowi żywności, która pomaga samotnym matkom. Ale zapomogę dostaje tylko ona.

– Ale czemu...?

– Nie wiem, skąd Jack bierze kasę – przerywa mi stanowczo – ale mam pewne przypuszczenie. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby ktoś potwierdził moje podejrzenia.

Zagryzam wargę.

– Nie mogę. Zmusił mnie do obietnicy, że nie powiem. Nagrał mój głos na taśmie...

– Rozumiem. To wystarczy. Dziękuję.

– Nie możesz mu powiedzieć, że wiesz!

Chichocze.

– A wyglądam, jakbym chciał zginąć?

– No więc... – zniżam głos i pytam z niedowierzaniem. – Czemu Belina? Co takiego zrobiła?

– Nie chodzi o to, co ona zrobiła. Tylko, co Jack zrobił.

Nagle to do mnie dociera. Olśnienie rozbłyskuje powoli.

– O to, co zrobił w gimnazjum? To się jakoś wiąże z Beliną?

Wren kiwa głową. Już mam zadać kolejne pytanie, ale ona schodzi po schodach. Wren odstawia szopkę, sprawdzając coś w jej papierach i prowadząc towarzyską rozmowę. Czyli pieniądze nie są tylko dla Sophii. Skłamał. Ale dlaczego? Nie chciał, żebym wiedziała. Czemu do diabła Jack uważa, że jest Belinie winien pieniądze? To bardzo miłe, ale na pewno jest powód. Czuję, że czegoś mi tu brak, dużego elementu układanki, który spaja wszystkie pozostałe.

– Przepraszam, że do tego wracam, ale czy masz jakieś wieści? – pyta nieśmiało Wren. – W sprawie twojego męża.

W jej ciemnych oczach pojawia się żal.

– Minęło pięć lat. Policja już mnie tak często nie informuje.

Wren kiwa głową

– No tak. Przykro mi. Mam nadzieję, że wkrótce się czegoś dowiedzą.

Ona słabo się uśmiecha do niego, a potem do dzieciaków.

– Modłę się o jakiś znak, chociaż o jedno słowo. Czasem sobie wyobrażam, że wejdzie do domu, jakby nigdy nie odszedł. Jakby po prostu wrócił z pracy. Ale

nie wraca. – Wren milknie, a Belina uśmiecha się tym razem do mnie. – Przepraszam, to nieuprzejme robić tajemnice przy gościu. Mój mąż zaginął pięć lat temu. Robimy co w naszej mocy, żeby żyć dalej, mimo bólu.

Kiwam głową.

– Jest pani bardzo dzielna – mówię cicho.

– Nie. – Kręci głową. – Po prostu muszę. Dla dzieci. Dla siebie. To nie ma nic wspólnego z odwagą, to konieczność.

Rozumiem, ale powiedzenie tego na głos zabrzmiałoby płytko, pusto, nieszczerze. Zmuszam się więc do uśmiechu i oczami staram się jej dać do zrozumienia, że czuję, o czym mówi.

Potem wychodzimy, a Belina stoi na ganku i macha. W głowie kłębi mi się masa pytań, jak chyba jeszcze nigdy. Wren nie odpowiada na żadne z nich, przez całą drogę powrotną.

W domu siadam i bazgrzę na kartce w nadziei, że ta pisanina pomoże mi powiązać wątki.

Dwóch facetów wynajętych przez AveryKijDoBaseballu+SophiaWren z aparatemJackBelina Belina pieniądzeMąż? JackAveryWren strach SophiaJack Jack jack Jack Jack??? jack

Sophia

Sophia jest ważna

Jack ją kocha

Żołądek mi się skręca.

Jack ją kocha

Zbliża się Święto Dziękczynienia, a z nim jakaś globalna ostateczność. Wszyscy zaczynają panikować w związku z terminami składania papierów na studia. Nauczyciele nas dręczą, żebyśmy kończyli aplikacje. Robi się coraz zimniej, drzewa zrzucają ostatnie złote liście. Ich stopy gniją, potem zmieniają się w błoto, a jesienno-zimowe deszcze wypłukują je z rynien i chodników. Nic już nie jest ładne. Niebo jest szare, ziemia też szara i naga, trzęsie się z zimna, a drzewa z nią.

Po dwóch tygodniach Kayla zdobyła się na akt niezwykłego opanowania i spojrzała na Jacka, nie wybuchając przy tym płaczem. Przez cały czas, gdy dochodziła do tego mistrzostwa, był z nią Wren i trzymał w pogotowiu pudełko chusteczek. Ona uśmiecha się do niego częściej i nawet dosiada się do nas w czasie lunchu. Coś się między tą dwójką zaczyna dziać, a ja uśmiecham się z zadowoleniem, bo nawet, jeśli są parą beznadziejnych głupków, są to moje beznadziejne głupki, a wszystkiemu, co do mnie należy, życzę jak najlepiej.

Powrót Avery odbył się znacznie mniej spektakularnie, niż się wszyscy spodziewali. Po prostu pewnego dnia przyszła, ubrana równie modnie jak zawsze, z tym samym złowróżbnym uśmiechem. Dziewczyny zgromadzone wokół Kayli

błyskawicznie odpłynęły, ale Kayla została. Poczułam dreszcz dumy, gdy odwróciła się do Avery plecami, gdy ta nakazywała gestem, że ma się zbliżyć. Wzięła mnie pod rękę i odeszliśmy jak dwie zimne suki, którymi przecież jesteśmy.

Jack nie zwraca na mnie uwagi. Co mnie nie dziwi, w końcu wiem, że nie jestem godna sznurować mu butów i tak dalej, ale dziwi mnie odrobinę, że nie chce nawet przebywać w tym samym pomieszczeniu co ja. Najgorzej jest na historii powszechnej. Albo ściemnia, że musi iść do pielęgniarki, albo po prostu urywa się i w ogóle nie przychodzi. Ale widuję go w szkole i wiem, że na inne lekcje chodzi. Opuściła tylko te, na których jesteśmy razem. Zapytałabym, ale wciąż mam uraz na tle tamtej nocy. Co prawda jego wyjaśnienie jakoś tam się trzymało kupy, ale nie wydaje mi się prawdziwe. Coś jest nie tak.

Poza tym mi się nudzi. Chryste, jak mi się strasznie nudzi. Teraz, jak już nie toczymy wojny, moje dni wypełnia odrabianie lekcji oraz gapienie się na czoła nauczycieli i zastanawianie się, gdzie mieli najgorsze pryszcze.

Siedzę w gabinecie Evansa i odpracowuję ostatni dzień kary. Jeszcze raz i nie będę już musiała sprawdzać banalnych kartkówek i przyglądać się jego łysej głowie lśniącej w blasku rzucanej przez niego samego chwały.

– No więc, Isis – odchrząkuje. – W przyszłym tygodniu upływa termin składania dokumentów do Yale.

– Nie idę na uczelnię z Ligi, mówiłam panu. Milion razy.

– Życie nie ma sensu, jeśli człowiek nie studiował na dobrej uczelni – upiera się

– Oglądał pan ostatnio Fabryki smaku? Jedzenie jest fantastycznym sensem życia.

– Będę z tobą szczerzy: studia polegają w dużej mierze na picciu i płakaniu. – Tłumię wybuch śmiechu, a on znów zaczyna na poważnie: – Ale to, gdzie pijesz i płaczesz może mieć decydujące znaczenie. Na przykład, Harvard. Możesz mieć średnią ocenę końcową na średnio prestiżowym kierunku, ale zawsze to będzie dyplom z Harvardu, rozumiesz? Powie znacznie więcej o twoim podejściu do życia niż dyplom z Redfield.

– I o moim snobizmie – burczę.

– Nieważne. – Macha ręką. – Już za późno. Zgłosiłem cię do Harvardu, Yale i Standforda.

– Co? – Aż mnie zatyka. – Ale jak...

– Twój ojciec bardzo mi pomógł. Chce dla ciebie wszystkiego, co najlepsze i dostarczył mi wszystkich koniecznych danych.

– Ale esej...

– Złożyłem w całość kilka twoich nadzwyczaj zabawnych, ale i celnych wypracowań z angielskiego i historii powszechnej. Doskonale się nadały.

– A wyniki testu kompetencyjnego?

Podnosi jakiś papier.

– Twój ojciec poinformował mnie, że przed wyjazdem z Florydy przystąpiłaś na jego żądanie do testu ACT. Nie odebrałaś wyników, ale twoja ciocia nam je przysłała. Zerknij. – Zieją na mnie cztery wielkie, czarne liczby: 32, 35, 33 i 9. – Celujące od góry do dołu! Cudownie! Tym razem musiałaś być w znacznie lepszym stanie.

– Nie mogę... – Nie wiem, co powiedzieć. – Dlaczego pan decyduje, gdzie mam iść na studia?

– Twój ojciec powiedział mi, że jesteś nadzwyczaj obowiązkową córką i że twoja matka ma gorszy czas w życiu. Zaufaj mi, wiem, co przeżywasz...

– Tak? – warczę. – Jakoś mi się nie wydaje.

Uśmiecha się wyrozumiale.

– Mój ojciec był chory. Miał raka. Zostałem w domu na trzy lata, żeby się nim zajmować, podczas gdy moi koledzy rozpoczęli studia. Powtarzał mi, żebym też jechał, ale nie potrafiłem. Gdy umarł, zmiażdżyło mnie poczucie winy, że nie zdołałem go ocalić. A chyba jeszcze większe, że mimo wszystko był ze mnie dumny. Ze mnie, dzieciaka, który pracował po nocach na stacji benzynowej.

Milknę, gniew przygasa, zamiast się rozbuchać. Nie miałam pojęcia.

– Czyli co, pan mi opowie swoje łzawe życie, a ja się wzruszę i pójdę na Stanford, tak to pan widzi? – pytam cicho.

– Nie. Chciałem ci po prostu powiedzieć, że rozumiem. Domyślam się, jak to jest, gdy się działa wbrew swojej woli, bo serce chce zostać. Nie bierzesz pod uwagę wyjazdu poza stan. Jesteś gotowa iść do szkoły, która nie wykorzysta twojego potencjału, żeby tu zająć się kimś, kogo kochasz. Jack niemal zrobił to samo. – Zaciskam dłonie na podłokietnikach. Evans się uśmiecha. – Czasem nie potrafimy zrobić dla siebie tego, o czym marzymy. Czasem czekamy, aż ktoś zrobi to za nas. Pracuj nad sobą, żeby się zmienić, a tymczasem ja wkroczyłem do akcji. – Parskam, ale on mówi dalej. – Nawet, jeśli cię przyjmą, nie musisz tam iść. Wybierzesz drogę, jaka ci pasuje. Ale ja będę mógł spać spokojnie, wiedząc, że dałem ci kilka dróg do wyboru.

– Więc nie ma to nic wspólnego z dotacją, jaką pan dostanie za uczniów studiujących na uczelni z Ligi? – wybucham.

– Pewnie, że i o to chodzi. Ale w niewielkim stopniu – uśmiecha się.

Dzwoni dzwonek. Odkładam długopis i zbieram rzeczy. Czuję na sobie wzrok Evansa, wielkiego, łysiejącego słonia, który cuchnie kupą. I wtrąca się w nie swoje sprawy.

Zatrzymuję się przy drzwiach i zerkam przez ramię.

– W sumie dziękuję.

– Potraktuj to jako przeprosiny za zdjęcia.

- To nie wystarczy. Musiałby mi pan upiec milion tortów i dostarczyć dziesięć klonów Johnny’ego Deppa, żebym chociaż zaczęła brać pod uwagę wybaczenie panu.
- Bardzo dobry fakultet dotyczący klonowania mają w Duke...
- Uch! – warczę uprzejmie i trzaskam drzwiami.

Rozdział 16

3 lata, 22 tygodnie, 4 dni

Cztery tygodnie po imprezie u Avery, tuż przed Świętem Dziękczynienia i przerwą w nauce, podchodzi do mnie Nożownik. Na angielskim oglądamy film, mamy torby chipsów i pełno babeczek, bo pani Teller pozwoliła nam ostatniego dnia przed feriami zrobić imprezę. W klasie jest ciemno, wszyscy szepczą, śmieją się i robią plany na wolne dni. Nikt nie zwraca uwagi na film.

Nożownik siada obok mnie.

– Cześć, Wasza Ostrość – mówię. – Co cię sprowadza na grzędzawiska otaczające Tą Nową?

– Już nie jesteś Tą Nową.

– Nie? A kim teraz jestem?

– Tą Dziwną.

Wybucham śmiechem.

– Zawsze to lepsze niż Ta Gruba.

– A, tak też mówią. Ale Dziwna częściej. – Przez chwilę patrzymy na ekran, a potem on mówi dalej. – Lubicie się z Jackiem.

Kulę ramiona i robię groźną minę.

– Czyś ty się czegoś naćpał?

– Widziałem was na imprezie halloweenowej. Tańczyliście razem, a potem zaciągnęłaś go do pokoju.

Opada mi szczeka.

– Nigdzie go nie ciągnęłam!

– Przecież widziałem – upiera się. – Mówię o tym tylko dlatego, że Jack jest spoko. Tylko on w całej tej szkole nigdy się mnie nie czepiał. A ostatnio jest przybity. Od tej imprezy.

– P-przybity? – powtarzam z niedowierzaniem. – Jack? Przecież on ma porażone mięśnie twarzy, nie wyraża uczuć! A już na pewno nie wie, jak wyglądać na przybitego.

Nożownik wzrusza ramionami.

– Ma doła. A ja tylko o tobie i o nim nie fantazuję, że was dźgam, więc pomyślałem, że ci powiem.

– Jasne. Fajnie się gadało. Muszę lecieć. Wyjeżdżam do Indii.

Mówię, że muszę iść do toalety, ale po wyjściu z klasy ruszam korytarzem. Jack ma teraz WF. Wiem, bo Kayla nawet przez sen recytuje jego plan zajęć, jakby odprawiała jakiś rytuał poświęcony byłemu chłopakowi. Jestem wściekła i

napchana co najmniej siedmioma babeczkami, które upiekła czyjaś utalentowana matka. Jak śmiał mnie okłamać! To był standard, gdy prowadziliśmy wojnę i może to nawet ogólnie jest standard w liceum, ale bez przesady! Ufałam mu! Niesłusznie, jak widzę, ale mimo wszystko. Nie panikuję z powodu tego, co się mogło stać w tym pokoju, po prostu się martwię. Trochę. I wydaję dziwne, wysokie dźwięki.

Wypadam na zewnątrz. Kąsa mnie zimny wiatr, gdy lecę na boisko. Klasa mająca WF gra w zbijaka. Widzę, że specjalnie dają się zbijać, żeby móc zejść i pogadać albo poesemesować. Jack leży na trawie i gapi się w chmury. Podchodzę i z wdziękiem kopię go w żebra.

– Au! Cholera...! – syczy i się podrywa. Wściekłość mu mija, gdy widzi, że to ja.

– Co się stało w tamtym pokoju?

– Isis...

– Co się stało w tamtym pokoju?! – wrzeszczę. Nauczyciel WF-u jest za głęboko pogrążony w rozmowie z trenerem futbolu, żeby zwrócić uwagę, ale uczniowie lypią na mnie nieufnie.

Jack przeczesuje włosy i powoli wypuszcza powietrze. Teraz, kiedy jestem blisko, widzę, że ma pod oczami cienie. Dlaczego? I czemu wygląda, jakby schudł? Kości policzkowe sterczą mu aż niezdrowo.

– Nic się nie stało – szepcze. – Dobra? Nic. Po prostu zasnął.

– Nożownik mówi, że widział, jak cię za sobą ciągnęłam. Byłam pijana. Nic nie pamiętam. Powiedz mi prawdę albo przysięgam, że wojna znów się zacznie.

– Co mam ci powiedzieć? – warczy. – Chcesz ze mnie zrobić potwora? Myślisz, że cię wykorzystałem?

Daję mu w twarz, ale szybko dochodzi do siebie. Za to wszyscy zgromadzeni milkną, a na dźwięk dłoni uderzającej w twarz gra w zbijaka całkowicie zamiera.

– Powiedz mi, co zrobiłeś.

– Nic nie zrobiłem! – krzyczy. – Nic nie zrobiłem, przysięgam na moje życie!

Jego wiecznie beznamiętna maska pęka. Nie jest już ani trochę spokojny czy opanowany. Już nie zasługuje na miano Lodowego Księcia. Wściekł się, ma ściągnięte brwi, bezdusznie wykrzywia usta.

– Już nie mogę wierzyć w twoje słowa – odpowiadam.

– Więc nie wierz! Nie ufaj mi! Nie ufaj nikomu! Przecież tak lubisz, prawda? Tak idziesz przez życie od trzech lat! Dobrze ci to robi, więc powodzenia. Będzie zajebiście, jak nikomu nie zaufasz do końca życia! – ryczy.

Jego słowa przeszywają mi serce lodowatym ogniem. Zostają po nich ciemne blizny. Biegnę. Odwracam się na pięcie i uciekam. Nic nie czuję. Prawie nie słyszę, że za mną woła. Jestem pod wodą, głęboko w oceanie przeszłości. Głos Jacka

zmienia się w głos Bezimiennego.

Brzydka.

Myślałaś, że co to było? Miłość?

Zatrząskuję za sobą drzwiczki do samochodu i włączam silnik. Przemykam obok budki ochroniarza i pędzę do domu. Na szczęście światła są w większości zielone, a jeśli nie są, i tak przejeżdżam.

Brzydka.

Nie pamiętam, że zaparkowałam. Jak wysiadłam i biegłam na górę, żeby się zamknąć w pokoju.

I nie pamiętam, co się stało tamtej nocy.

Tak, to jest, jak się komuś zaufa.

Mama mnie rozumie. Wie, że przechodzę załamanie. Poprzednie było tylko rozgrzewką. Wie, z czym to się je lepiej niż moja ciocia i o wiele lepiej niż tata. Małe załamania prowadzą do wielkiego. Oto moje Wielkie Załamanie. Całymi dniami śpię. Nie myję się. Włosy mam całe w rozczochranych strąkach. Mama czasem przynosi mi jedzenie, trochę skubię i zostawiam. Cieszy się, że może mi pomóc tak, jak ja pomagałam jej. Czasem płaczę. Czasem nie płaczę, ale chwile nieplakania są gorsze niż te we łzach. Czasem mama mnie przytula, czasem się przed nią zamykam. Odwiedza mnie Kayla, przynosi słodczyce, pracę domową i trajkocze o jakichś pierdołach, co mi dobrze robi. Pomaga nawet bardziej niż sen i płacz. Przypominam sobie, że nie tylko ja jedna mam problemy, że życie Kayli też jest najeżone kłopotami, które dla niej są równie znaczące. Jak to, że w Sephorze nie ma jej odcienia różu, że zapomniała o wyprzedazy w Macy's, chociaż cały rok na nią czekała, że jej mały braciszek bez przerwy dobiera się do jej staników i rozciąga je, naciągając sobie na głowę. Gdy mówi coś o Jacku, ostro ją upominam, że ma o nim więcej nie wspominać.

– Jezu, wiem, że go nienawidzisz, ale wypowiedzenie jego imienia nie jest chyba przestępstwem?

– Może niedługo będzie – mruczę.

– To dlatego... Z jego powodu jesteś smutna?

Parskam.

– Chyba żartujesz. Poza tym nie jestem smutna. Mam anginę.

– Bardzo czysto mówisz jak na kogoś z anginą.

Łypię wściekle, a ona się uśmiecha i podaje mi kolejne ciasteczko.

– Muszę iść. Mama prosiła, żebyśmy wieczorem posiedziały ze Ślinotokiem, bo ona wychodzi. Napisz do mnie.

Gniew od razu mi mija.

– Dobra. Dzięki, że przyszłaś.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. – Obejmuje mnie, a potem marszczy nos. – Cuchniesz. Ale i tak cię Kocham.

Patrzę przez okno, jak odchodzi. Z jednej strony chcę, żeby wróciła, a z drugiej, żeby nie przychodziła już nigdy więcej. Po wszystkim, co jej zafundowałam, po złośliwych docinkach i tajonej zazdrości, nadal jest moją przyjaciółką. Daleko mi do ideału, a jednak ona jest przy mnie.

Dni mijają jak rozmazana smuga. Wydaje mi się, że nie byłam w szkole od tygodni, choć minęło tylko kilka dni. Jak nie śpię, szukam w internecie wiadomości z Northplains, bo usiłuję się dowiedzieć, co zrobił Jack. Archiwa gazet z tamtego roku nie pomagają. Nie wiem nawet, czego szukam. Dwóch facetów. Kij do baseballu. Coś, co tak przeraziło Avery i Wrena, że milczą jak zakłęci. Jack kogoś pobił? Ale czemu w takim razie daje pieniądze Belinie? Była żoną jednego z nich?

Belina była żoną. Nagle wszystko układa się w sensowną całość. Była żoną jednego z facetów, którego Jack...

Mama krzyczy, a jej wrzask odbija się echem i dociera z dołu do mojego pokoju. Krew przestaje mi krążyć.

Mama tak nie krzyczy, chyba że ma koszmar senny.

– Zostaw mnie!

Sfruwam po schodach, z kilku ostatnich stopni zeskakuję i ląduję tak mocno, że aż boli, ale ból nie ma w tej chwili znaczenia, liczy się tylko dotarcie do drzwi, do niej, pokonanie tego, kto doprowadził ją do krzyku.

– Wezwę policję!

– Daj spokój, Patricio. Oboje wiemy, że nie wezwiesz. Bądź rozsądna.

Mama kurczowo trzyma się drzwi, żeby się nie przewrócić. Kuli się w progu. Naprzeciwko stoi potężny mężczyzna w wojskowych ciuchach. Ma czarną brodę i najmiłszy wyraz twarzy, jaki w życiu widziałam. Uśmiecha się, a wokół oczu pojawiają się kurze łapki. Ja jednak wiem, jaka prawda kryje się za tym uśmiechem. I mdli mnie od tego. Facet mnie dostrzega i jego twarz jeszcze bardziej się rozpromienia.

– Isis! Dobrze cię widzieć...

Wciągam mamę do środka, zatraskuję drzwi i szybko przekręcam zamek. Ona się trzęsie, jest przerażona, trzyma się mnie desperacko, gdy prowadzę ją na kanapę. Zaciągam zasłony, zamykam tylne drzwi i okna, zaciskam w dłoni komórkę i podchodzę do frontowych drzwi, sprawdzić, czy sobie poszedł. Ale nie. Przez szybkę w drzwiach wciąż widzę jego tłusty tyłek.

– Isis, przestań! Patricio, powiedz jej, żeby otworzyła. Chcę tylko porozmawiać!

– Nie! – krzyczę. – Nikt nie będzie z tobą rozmawiał. Daj nam spokój!

– Chyba żartujesz! Przyjechałem do kumpla. Cały tydzień byłem w drodze. Jestem spocony i brudny. Pomyślałem, że wpadnę, skoro już i tak byłem niedaleko. Że poczęstujesz mnie szklanką wody. Może okażesz odrobinę gościnności?

– A może pójdziesz sobie z mojego ganku, zanim wezwę gliny?

– Nie zrobiłem nic złego, mała zdiro! – Głos Leo w ułamku sekundy zmienia się z przyjacielskiego w pełen wściekłości. – Otwieraj drzwi i daj mi porozmawiać z matką.

– Ostrzegam po raz ostatni. Odejdź albo dzwonię na policję.

– To sprawa dorosłych, nie smarkatych gówniar. Powtarzam: otwieraj drzwi albo je wyważę! – Zatyka mnie. – No dalej! Otwieraj!

Stuka, mocno, a po chwili stukanie zmienia się w dudnienie. Mama krzyczy i zatyka uszy. Z każdym kolejnym uderzeniem podskakuje i krzyczy głośniej, wciska się w kanapę i drży, jakby to ją bił. Wcale nie jest lepiej. Nie doszła do siebie. On robi jej krzywdę samą obecnością. Zaczyna się dobijać coraz głośniej, a ja jedną ręką łapię ciężką figurkę z porcelany, a drugą wybieram w komórce numer alarmowy.

– Słucham?

– Jakiś... Nazywam się Isis Blake. – Nie mogę znieść swojego rozedrganego głosu, rozedrganych rąk. – 1099 Thorton Avenue, Northplains. Jakiś mężczyzna próbuje się wedrzeć do mojego domu.

– Rozumiem. Zamknij drzwi i okna i idź do oddalonego pokoju. – Leo ryczy i zaczyna nacierać na drzwi barkiem jak rozwścieczony buldożer. – Isis? – Kobieta z dyspozytorni jest stanowcza. – Odezwij się do mnie. Znasz tego mężczyznę?

– To były chłopak mojej mamy. Pośpieszcie się, proszę!

Słyszę brzęk tłuczonego szkła, telefon wypada mi z ręki. Leo stłukł pięściami ozdobną szybkę. Takie same są po obu stronach drzwi. Teraz wkłada rękę do środka i przekręca klamkę. Krzyk mamy staje się zwierzęcy, świdrujący. Podrywa się z kanapy i biegnie na górę, do swojego pokoju.

Drzwi otwierają się powoli. Leo stoi w drzwiach, oczy pałają mu gniewem. Jestem jedyną przeszkodą do pokonania. Ja, siedemnastolatka, trzymająca za plecami porcelanową figurkę i drżąca jak motyl w huraganie.

– Odsuń się, gówniaro. Przyjechałem do twojej matki, nie do ciebie. Nie chcę ci zrobić krzywdy.

Podnoszę wzrok. Przypominam sobie przepłakane przez mamę noce, jej smutne uśmiechy i dni, kiedy nie mogła się zmobilizować do wyjścia z pokoju i popatrzenia na mnie.

– Już zrobiłeś, dupku.

Mruży oczy i robi krok w moją stronę. Ciężki krok. Serce mi się prawie zatrzymuje. Jaką mam szansę z mężczyzną ważącym ze sto kilo? On rąbie drewno. Poluje na jelenie. Jest groźny.

– Ostatnie ostrzeżenie. Zejdź mi z drogi.

– Po moim trupie – cedzę.

Śmieje się, gorzko i złowrogo.

– Masz jaja. Lubię to.

Trzęsę się. Tak bardzo, że słyszę dźwięk swoich szczękających zębów i czuję, jak podskakują mi palce. Nie dam rady sama. Nie zwalczę tego demona. Z trudem daję sobie radę z własnymi.

Słyszę z góry zawrodozenie i mocniej zaciskam palce na figurce.

Muszę walczyć. Nikt mnie nie uratuje. Nikt mi nie pomoże. Nikt nie pomógł, kiedy Bezimienny mnie unieruchomił. I kiedy po wszystkim stałam pod prysznicem. Ani mama, ani tata, ani ciotka. Jestem sama. Nikt nigdy nie próbował mnie ocalić.

Więc zrobię to sama.

Leo rusza w moim kierunku. Uskakuję i walę go figurką w kark. Kuli się, ryczy z bólu, obraca się i mnie chwyta. Podnosi mnie jak papierową lalkę, jak worek puchu, coś lekkiego w każdym razie. Odrzuca bez wysiłku. Frunę, żegluję w powietrzu przez kilka sekund, a potem ostry ból rozrywa mi kręgosłup. Opieram się na łokciach i kolanach, wpatruję się w podłogę, która się chwieje, potem znika, a potem znów rozjaśnia się, ale po to tylko, żeby po chwili zniknąć w mroku.

Mama. Muszę pomóc mamie.

Słyszę ciężkie kroki Leo wspinającego się po schodach.

Próbuję krzyknąć, żeby ją ostrzec, ale ciemność mnie pożera.

Dom Isis Blake mnie onieśmiela.

Chociaż nie powinien: to mały piętrowy domek wyglądający, jakby przeżył co najmniej trzy pożary i tornado. Ogródek jest zaniedbany, poręcze przy schodkach zardzewiały. Rynny też, całe zatkane liśćmi. Farba obłazi płatami, jak kiepska opalenizna. Szyby są zamglone od wieku i dymu. Dzwonek powietrzny brzęczy żałośnie jakby wbrew swojej woli.

Ona naprawdę tu mieszka? Dla pewności jeszcze raz zerkam na adres, który podała mi Kayla. GPS przyprowadził mnie prosto tutaj. Ale to jakieś zadupie, nora. Sądząc po tym, z jaką pewnością siebie porusza się po świecie Isis, spodziewałem się pałacu. A ta ruina prawie się rozpada. Całkowite przeciwieństwo jej.

A mimo to mnie onieśmiela.

Może dlatego, że wiem, że jest w środku. Dziewczyna, która wypowiedziała mi wojnę, która uśmiecha się do mnie cynicznie i która pocałowała mnie tak, że wciąż mam dreszcze, gdy o tym pomyślę.

Dziewczyna, którą zraniłem. Dwa razy. Nie, chyba trzy? Ile razy przekroczyłem granicę, a ona nie powiedziała słowa?

Wysiadam z samochodu i podchodzę do drzwi. Ktoś krzyczy, cicho, ale niepokojąco. Rozglądam się, ale na ulicy nikogo nie ma. Pewnie ktoś głośno ogląda horror w telewizji. Kręcę głową. Opanuj się, Jack. Nie dekoncentruj się. Przeprosisz ją za to, co powiedziałaś i zrobisz to teraz.

Tak bardzo skupiam się na tym, co powiedziec, jak ją zobaczę i jak sprawiać wrażenie wyluzowanego i opanowanego, że nie od razu zauważam szkło. Dopiero

po wejściu na ganek zamieram. Depczę po odłamkach. Jedna z ozdobnych szybek w drzwiach jest stłuczona.

A krzyki są coraz głośniejsze. To na pewno nie film.

Lodowaty strach chwyta mnie za gardło. Otwieram drzwi.

– Cholera. Isis!

Dopadam do niej. Leży nieprzytomna. Odgarniam jej włosy z twarzy i szukam krwi. Ma ciemną wilgotną plamę na potylicy, rozmazała się po ścianie.

– Nie – mówię łamiącym się głosem. – Nie, nie, nie możesz. Nie możesz!

Drżącymi rękami sięgam po telefon i dzwonię na 911. Dyspozytorka przekonuje, że pomoc jest w drodze.

– Więc niech się pośpieszą! – wrzeszczę. – Przyślijcie karetkę!

– Zrobiliśmy co w naszej mocy. Pomoc już jedzie.

– Jeśli ona umrze... Jeśli ona umrze, pożałuje pani...

Krzyk dobiegający z góry jest coraz głośniejszy. Klnę pod nosem i rozglądam się za czymś, czego mógłbym użyć, ale nic nie widzę.

Wypadam na zewnątrz i w panice otwieram bagażnik mojego auta. Kij do baseballu, którym ostatnio wymachiwała Avery, wciąż tu leży, od tamtej pory nietknięty.

Łapię go i pędzę po schodach, po dwa naraz, a furia buzuje mi w żyłach jak czerwona lawa. Umysł wrzeszczy, że mam się uspokoić i poczekać na policję, ale inna część mnie, która już od tak dawna leżała w uśpieniu, wysyła zachęcające okrzyki. Popędza. Chce tego. Tęskniła.

Jakiś facet góruje nad kulącą się na łóżku kobietą. Domyślam się, że to matka Isis. On rozpiną pasek i przytrzymuje jej nogi w odpowiedniej pozycji.

Powraca zapach lasu. Doznanie sosnowych igieł pod stopami. Kątem oka widzę, jak podpełza miękka, biała mgła. Sophia kuli się pod pniem drzewa, zbliżając się do niej cienie kilku mężczyzn.

Staję za tym facetem. Matka Isis mnie dostrzega. Widzę ponad jego ramieniem jej szeroko otwarte i przerażone oczy, wielkie jak u konającej ryby. Jest gigantyczny. Co najmniej dwa razy cięższy ode mnie i niemal mojego wzrostu. Ramiona ma grube i umięśnione, zryte ścięgnami i bliznami. To dowody ciężkiej pracy. Złej pracy.

Sophia płakała, chowała głowę w dłoniach, a nadgarstki miała delikatne jak ptasie skrzydełka.

– Pomóż mi, Jack.

Złapał mnie jakiś facet, przytrzymał mi ręce za plecami. Chcieli, żebym patrzył.

– Nie ruszaj się, księżniczko. Wkrótce będzie po wszystkim – zaćwierkał słodko jeden z nich. Któryś się zatoczył, był pijany. Pięciu. Pięciu wielkich facetów o szerokich barach i obleśnych uśmiechach lśniących w świetle księżyca.

Matka Isis patrzy na mnie.

– Pomóż mi – prosi przez zaciśnięte gardło.

Zaczęli ściągać Sophii sukienkę. Ugryzłem faceta, który mnie trzymał i podniosłem kij, który upuścił. Zamachnąłem się. I jeszcze raz. Machałem wśród krzyków i krwi.

Zaciskam dłonie na kiju, ustawiam się i walę.

Pierwszy cios trafia w bok jego głowy. W ucho. Błona bębenkowa pęka od razu, krew tryska. Czuję na twarzy gorące krople. Odwraca się do mnie, a ja się uśmiecham.

Uderzam raz jeszcze.

Kolana. Próbowali mnie złapać, ale byłem szybki i silny, silniejszy, niż myśleli. Za młody, żeby im zagrozić, tak pewnie kombinowali. Pierwszy i drugi mieli słabe czaszki. Trzeci wyciągnął pistolet, żeby mnie postrzelić, ale strzelił do czwartego. Uśmiechnąłem się i rozprawiłem się z trzecim, nacierając kijem na jego szyję. Rozległ się obrzydliwy trzask i gość znieruchomiał. Piąty miał portki spuszczone prawie do kostek, gdy przywaliłem mu w bok. Zachwiał się i sięgnął po broń, ale ja zamachnąłem się raz jeszcze.

Ciemne oczy tego mężczyzny otwierają się szerzej, gdy kij trafia go w rękę. W łokieć. Walę trzy razy, jeden za drugim, aż wreszcie rozlega się odgłos pęknięcia kości. Wyje i chwiejnie odchodzi. Matka Isis z płaczem wczołguje się pod łóżko. On łapie się za rękę zgiętą pod nienaturalnym kątem.

– Ty pieprzony gnoju! – wrzeszczy, nachyla się i rusza, żeby natrzeć na mnie barkiem. Śmieję się i w ostatniej chwili się odsuwam, a on z pełnym impetem wpada na komodę. Jest przez kilka sekund oszołomiony. Dobrze wykorzystuję ten czas.

Uderzyłem go w rękę, w której trzymał pistolet. Był zszokowany, patrzył na nią, jakby to się działo w telewizji. Kolejny cios. Trzask kości, otwarta rana, krew i mięso rozpryskują się po sosnowych igłach. Płakał. Odczołgał się ode mnie i błagał z płaczem:

– Stary, proszę, ja nie chciałem... Nie zamierzaliśmy...

– Posłuchaj, dzieciaku, odpuść, dobra? Nie ma potrzeby...

Ten tutaj obrywa po raz kolejny, w brzuch. I jeszcze raz, między nogi. Pada na podłogę i wyje, a ja stoję na jego piersi i patrzę z góry.

– Istnieje zbrodnia. A skoro tak, musi też istnieć kara.

– Proszę...

Uśmiecham się i końcem kija lekko klepię go po nosie.

– Tylko mnie nie proś.

Unoszę kij i zamierzam się na jego głowę, a on krzyczy i zakrywa twarz zdrowym ramieniem.

To coś we mnie piszczy z zachwyty.

Rozdział 17

3 lata, 23 tygodnie, 2 dni

Budzę się w szatańskiej dupie. Wszystko jest białe: ściany, łóżka i światło. Może to Narnia? Tak, to może być Narnia. Czyli umarłam i poszłam do Narnii? Byłoby zajebiście! Ale potem dostrzegam rurkę od kroplówki biegnącą do mojej ręki i słyszę miarowe pik pik oznaczające rytm mojego serca. Nadzieja ulatuje. Nie. To jednak szatańska dupa, zwana też szpitalem.

Siadam, ale moja głowa chce się wywrócić na drugą stronę i oderwać od szyi. Ból niemal zgina mnie w pół, a ciało przeszywa elektryczny ból.

– Na owłosione małpie jaja! – syczę. – Na psie gównu na patyku! Na naleśniki z rzygów!

Ktoś zagląda do pokoju. Wren, jego orzechowe oczy się śmieją. Podchodzi do łóżka.

– Wiedziałem, że się obudziłaś. Kto inny rzucałby tak oryginalnymi bluzgami?

Dotykam głowy. Jest owinięta opatrunkiem przypominającym wielki turban. Na małym stoliku obok mnie stoją kwiaty, a z kąta uśmiecha się balon z wymalowaną wesołą mordką. Obraca się powoli, chcąc mnie sobie obejrzeć. Pod każdym kątem.

– Gdzie ja jestem? Poza tym, że w piekle?

– W szpitalu. – Wren przysuwa sobie krzesło i siada. – Byłaś nieprzytomna chyba przez tydzień.

– Mama! – Podrywam się. – Czy mama...

– Wszystko z nią dobrze. – Łapie mnie za rękę, żeby mnie uspokoić. – Dzisiaj poszła do pracy, ale przyjdzie wieczorem. Odwiedzamy cię wszyscy. Ja, Kayla, Avery...

– Avery? Ta ruda? Która mnie nienawidzi? Którą zastraszyliśmy?

– Wiem, że to dziwne. Ale przyniosła ci kwiaty. – Wskazuje na bukiet białych kamelii.

– A co z Leo? Tym facetem, który się włamał...

– Policja mówi, że cię spacyfikował, a potem poszedł na górę. I wtedy... – Robi niepewną minę.

– I co wtedy? Co się stało?

Wren powoli podnosi na mnie wzrok.

– Jack. Mówił, że przyjechał z tobą porozmawiać i znalazł cię nieprzytomną na podłodze.

- Kto?
- Co kto?
- Co za Jack?

Wren się uśmiecha.

– Przestań, nie wygłupiaj się. No Jack! Przyjechał i zajął się Leo. Ma dwa złamane żebra. Złamaną rękę. Pęknięty bębenek. I uszkodzoną czaszkę. – Wciągam powietrze. Wren kręci głową i próbuje się uśmiechnąć. – Zresztą ty też masz. Pękniętą czaszkę. Mocno walnęłaś w ścianę. Przez pierwsze kilka dni lekarze nie mieli pewności, czy nie zapadniesz w śpiączkę. Ale się wywinęłaś. Miałaś krwotok wewnętrzny i byłaś potłuczona. Ale załatali cię i wszystko jest dobrze. – Przyglądam się rękom, a potem podnoszę kołdrę i sprawdzam, jak wygląda reszta. Na nogach też mam prawie zagojone siniaki. – Leo jest w areszcie – kontynuuje Wren. – Matka Jacka załatwiła mu prawnika. Nie zamknęli go, ale ma nadzór. Policjanci mówią, że jeśli będziecie z mamą zeznawać, jest duża szansa, że nie zostanie oskarżony. Leo z pewnością pójdzie do więzienia.

– Chętnie bym uściskała tego całego Jacka. Okazała wdzięczność. A na pewno dam mu kartę podarunkową do Starbucksa.

Wren parska.

– No co ty? Myślałem, że jesteście w stanie wojny. Wrogowie się przytulają?

– Wojny? Nie, ja z nikim nie walczę. I tak mam dość problemów z walką, żeby się z sobą nie ożenić. Nie wszczynam żadnych wojen. – Śmieję się. – A już na pewno nie z tym całym Jackiem. Muszę wymyślić dobry sposób, żeby mu podziękować. Uratował skórę mnie i mojej mamie. Jest stary? Młody? Chodzi do naszej szkoły? Czekaj... Jak się nazywa nasza szkoła?

Marszczę nos. Wiem, że chodzę do liceum, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwy. Mam ją na końcu języka, ale nie potrafię jej uchwycić.

Wren się krzywi.

– East Summit High.

– Właśnie! – uśmiecham się. – Tego mi brakowało!

– Lekarze mówili, że możesz być trochę dezorientowana – mruczy. – Ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Pamiętasz, co się stało?

– Tak. Leo zaatakował mamę.

– A wcześniej? Pamiętasz imprezę?

Mrużę oczy i wysilam pamięć. Ale zamiast krystalicznie wyraźnych wspomnień, zastaję tylko szum.

– Chyba... Chyba nie. To dziwne. Czuję, jakbym pamiętała, ale nie mogę... Nie mogę namierzyć konkretów.

– A co z Jackiem? – naciska Wren.

– Jak to co? Jack jest super, bo uratował mamę.

– Dobra, Isis, daruj sobie. To było zabawne za pierwszym razem.

– Co mam sobie darować?

– Przecież znasz Jacka Huntera. Nie udawaj, że go nie pamiętasz.

– Jack Hunter, tak? Ale się nazywa. Brzmi jak nazwisko jakiegoś pretensjonalnego dupka z Wall Street. No ale uratował mamę. Ja nie dałam rady. Więc musi być absolutnym przeciwieństwem dupka.

Otwierają się drzwi i wchodzi lekarz. Uśmiecha się do mnie i zerka na monitory.

– Dobrze, że się obudziłaś, Isis. Masz ochotę na szybkie badania?

– Będzie mi pan świecił oślepiającym światłem po oczach?

– Tak.

– Super.

– Panie doktorze? – Wren odciąga go za łokieć. Szepczą coś w kącie.

– Przepraszam, ale ja tu jestem! Zachowujecie się bardzo niegrzecznie! – krzyczę. Ale nie zwracają na mnie uwagi. Parskam, krzyżuję ramiona na piersi i patrzę na drzwi.

Nagle w progu staje cholernie przystojny chłopak. Mówię to jednocześnie z obrzydzeniem i podziwem. Tacy śliczni chłoptasie są dla mnie nieznośni, ale on jest tak atrakcyjny, że nawet ja, nielubiąca męskiej ładności, muszę przyznać, że jest powalający. Wysoki. Ile ma? Metr osiemdziesiąt osiem? Metr dziewięćdziesiąt? Smukły, nienapakowany, ale pod czarną koszulką i dżinsami widać ładnie wyrzeźbione mięśnie. Jego twarz wygląda jakby została żywcem przeniesiona z rzymskiego panteonu, ale ma całkiem prosty nos i miękkie usta. Złotobrazowe włosy podcina tak, żeby podkreślały wąskie, prawie przezroczyste oczy, które się we mnie wpatrują. Są zimne i nieprzeniknione, ale widzę w nich cień smutku.

Patrzemy na siebie przez jakieś cztery sekundy, a potem ja wykrzykuję:

– No dobra, wiem, że chcieliście poprawić mi humor, ale zamawianie striptizera to już przesada!

Chłopak nie czuje się urażony, tylko się krzywo uśmiecha. Smutek w oczach trochę się rozmywa. Wchodzi do pokoju.

Wren zauważa go z kąta i podbiega do niego.

– Jack, słuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

Jack go ignoruje i podaje mi czarną różę.

– Czułem, że nie znosisz kwiatów, więc postanowiłem dać ci taki, który pasuje do twojej duszy – oświadcza.

Biorę od niego różę, uważając, żeby nie dotknąć jego długich palców.

– Rany, dzięki – uśmiecham się. – Ty pewnie jesteś Jack? Miło cię poznać. I wielkie dzięki, za przyjście mi z pomocą. I mojej mamie. Podobno nieźle potarmosiłeś tego gościa. Brawo dla ciebie!

Klaszczę w dłonie, a uśmieszek Jacka znika mu z twarzy. Lekarz szybko

pochodzi do mojego łóżka, sprawdza coś na monitorach i gryzmoli w dokumentacji.

– Będziemy musieli zrobić ci tomografię. Sprawdzimy, czy nic się nie zmieniło. I trzeba wymienić kroplówkę, więc się nie ruszaj.

– Jasne! Dzięki, doktoru. – Macham, a on wychodzi. Wren tymczasem odciąga Jacka od mojego łóżka.

– Dowiedzą się, co jest nie tak, słyszysz? – przekonuje go desperacko. – Muszą zrobić więcej badań. Mówią, że to prawdopodobnie nie jest trwały zanik...

– Isis? – Jack odzywa się do mnie ponad Wrenem. Podnoszę na niego wzrok.

– Tak?

– Przestań!

– Mam przestać być taka seksowna? Wiem, że to trudne do zniesienia, ale niestety...

– Przestań – warczy. – Znasz mnie.

– Tak? No w sumie, poznaliśmy się trzydzieści sekund temu – chichoczę. – Więc można powiedzieć, że cię znam.

– Kłamiesz – syczy.

– Że co? – marszczę czoło. – Słuchaj, kolego, jestem ci bardzo wdzięczna, że zrobiłeś to, co zrobiłeś, ale nazywanie kłamczuchą dziewczyny leżącej w szpitalnym łóżku jest trochę nieuczciwe, nie wydaje ci się?

Jack szeroko otwiera oczy. Zaciska dłonie w pięści. Wren odpycha go jeszcze dalej.

– Jack, proszę cię, jedź do domu. Zadzwoń do ciebie, jak zrobią badania, dobra? – szepcze.

– Kłamiesz! Ciągłe jesteś na mnie wściekła, więc kłamiesz, żeby patrzeć, jak się wiję! – krzyczy Jack. Do pokoju wchodzi pielęgniarki. Sprawdzają, co to za zamieszanie.

– Nie kłamie! Nawet nie wiem, o czym mówisz! – odkrzykuję. Głowa zaczyna mi pękać pod wpływem nowej fali bólu, więc się krzywię i obejmuję ją rękami. – Czy ktoś może go zabrać? Gorzej się przez niego czuję.

Twarz Jacka nieruchomieje, w ciągu ułamka sekundy odpływają z niej wszystkie emocje.

– Poprosimy pana z nami – mówi jeden z pielęgniarzy.

– Zostanę tu – zapewnia go Wren. – Zadzwoń, jak tylko coś się zmieni, więc proszę cię...

– Isis – odzywa się Jack łagodnie. Patrzę na niego.

– Co?

– Pamiętasz mnie?

– Jakoś nie. Jak przyszedłeś, żeby nas uratować, byłam nieprzytomna. Przykro mi. Ale wiesz. Już się obudziłam. Możemy się poznać. Kupię ci

szczeniaka albo co. Zasłużyłeś! Żeby tak pomagać komuś całkiem obcemu...

Wpatruje się we mnie bez mrugnięcia, a w jego oczach znów pojawia się smutek. Zasnuwa je, sprawia, że stają cię ciemne i stanowcze. Potem Jack wychodzi.

I już nie wraca.

Lekarze robią badania. Mama wreszcie widzi mnie przytomną i zaczyna płakać. Załamuje się, obejmuje mnie całymi godzinami i przeprasza. Zasypiamy przytulone. Najczęściej jest przy mnie Wren, Kayla też. Uważa, że to dziwne, że nie pamiętam Jacka i choć powtarzam jej, że byłam nieprzytomna, kiedy przyszedł, i tak nie rozumie. Avery przychodzi jeszcze tylko dwa razy. Za pierwszym udaję, że śpię. Siedzi kilka minut i ogląda telewizję. Za drugim razem otwieram oczy i zaczynam do niej mówić, a wtedy ona ucieka.

Lekarze zapisują mi leki i fizjoterapię. Zapewniają, że jeśli będę próbowała sobie przypomnieć, wspomnienia powrócą. Dwa razy dziennie biegam na bieżni, a jakaś pani przychodzi rozmawiać ze mną o tym, co się wydarzyło w domu, ale ja nie chcę z nią gadać. Mama mówi, że powinnam, ja mówię, że nie znoszę psychiatrów, ona powtarza, że wie, ale że to mi pomoże dojść do siebie. Ale przecież ja jestem tylko popękana, nie złamana. Mam pękniętą czaszkę. Goi się nieźle, ale lekarze zatrzymują mnie na obserwacji i rekonwalescencji, cokolwiek to znaczy.

Wspomnienia z ostatnich miesięcy są popękane gorzej niż moja czaszka. Pamiętam jakieś urywki, lekcje, imprezy, ludzi machających do mnie albo niezwracających na mnie uwagi, jedzone na lunch kanapki z tuńczykiem, uśmiech mamy, płacz mamy. Jak tylko pojawia się jakiś nowy fragment, zagarniam go łapczywie. To jak puzzle. Desperacko wyszukuję skrajnych fragmentów, żeby ułożyć ramkę i spokojnie ją uzupełniać. Chętnie bym się załamała i zaczęła nad sobą użalać, ale coś czuję, że już wystarczająco dużo czasu poświęciłam temu w tym roku.

Któregoś dnia zabieram tacę z lunchem i idę na drugie piętro. Mają tam otwarty balkon i kilka plastikowych stolików. Wokół szumi miasto, nade mną wisi pochmurne niebo, a wiatr jest chłodny, ale odświeżający. Dziabię widelcem w galaretkę i pasztet z kurczaka i po raz milionowy w tym miesiącu staram się nie umrzeć z nudów ani/i z powodu rozrastającej się pod wpływem wody proteinowej papki dla kosmonautów, którą mnie tu karmią.

– Cześć – słyszę za plecami damski głos. Odwracam się. Uśmiecha się do mnie ładna, niska dziewczyna z platynowymi włosami. Skórę ma białą jak mleko, a oczy granatowe. Jest szczupła, ubrana w sweter i spódnicę w kwiaty. Ale na nadgarstku ma szpitalną opaskę. Wygląda bardzo delikatnie, jak dmuchawiec albo śliczny duch.

– Cześć – odpowiadam. – Ładny dzisiaj dzień.

Od uśmiechu marszczy jej się nos.

– Tak, ale jeśli zaczniesz znowu padać, to oszaleję.

– Nic dziwnego. – Atakuję pasztet i wskazuję na niego palcem. – Siadaj, jak chcesz. Możesz popatrzeć, jak jem kosmicznego kurczaka.

Dziewczyna się śmieje, melodyjnie i słodko. Zajmuje miejsce naprzeciwko mnie i zaczyna skubać suchy liść leżący na stoliku. Częstuję ją jabłkiem. Przyjmuje je z wdzięcznością, ale nie je.

– Mam na imię Isis – przedstawiam się. – A ty?

Uśmiecha się. Promień słabego słońca pada na jej włosy i sprawia, że lśnią jak białe złoto.

– Sophia.

Podziękowania

Dziękuję, że przeczytaliście tę książkę. Jesteście cudowni! Najbardziej dziękuję, że ją skończyliście. W tych czasach nie jest tak łatwo coś skończyć. Dobrze o tym wiem. Sama ledwie skończyłam tę kobylę.

Ale dzięki pomocy cudownych ludzi z Entangled, książka wylądowała w waszych rękach, gotowa i pełna Isis oraz dowcipów o kupie, za które nie mam zamiaru przeproszać. Dziękuję Stacy Abrams i Lydii Sharp za ostre, nomen omen, redaktorskie pióra. Można tu wstawić mrugającą buźkę, ze sto emocji i może nawet ikonkę bakłażana.

Największe podziękowania wędrują jednak do tych, którzy czytali tę książkę, gdy była dopiero zalążkiem powieści, wydaną przeze mnie na Amazonie książką z minimalną porcją reklamy, ale gigantyczną dawką nadziei. To dzięki wam wszystko stało się możliwe, wy spełniliście moje marzenia. Dziękuję.

Jeśli czegoś się z tej książki nauczyłam, to że wszyscy jesteśmy lepsi, niż myślimy. Świat chce nam wmówić co innego, ale jesteśmy piękni, silni i zabawni. Pełni dobrego i złego, taka mieszanka sprawia, że jesteśmy kimś, a ktoś jest wart znacznie więcej niż nikt. Jesteście kimś. Jesteście warci więcej, niż sądzą. Świat będzie was przekonywał, że jesteście bezwartościowi, ale Isis i Jack będą tu wtedy na was czekać.

Będziemy tu zawsze.

Przypisy

^[1] Szeloba – fikcyjna postać ze stworzonej przez J. R. R. Tolkiena mitologii Śródziemia. Była to zła istota, o postaci olbrzymiego pająka, która żyła na pograniczu Mordoru. Nienawidziła i pożerała wszystkie żywe istoty, nie była jednak sługą Saurona.

